

MIKOŁAJ MAZANOWSKI

DUCH PUSZCZY
PODLASKIEJ



DUCH PUSZCZY PODLASKIEJ

DUCH PUSZCZY PODLASKIEJ

POWIEŚĆ Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI
DLA MŁODZIEŻY

„Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze“...

Mickiewicz.



WARSZAWA — KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO



I.

OCZEKIWANIE

We wsi Gnójnie, nad Bugiem, po deszczach majowych wcześniej tego roku okłosiły się żyta, ule zapełniły miodem, co więcej, nawet lipy tu i ówdzie już jęły zakwitać. Pod czarną ścianą borów, zasłaniających półkolem horyzont, na soczystych łąkach nadburzańskich, od świtu do zmroku pobrzękiwały kosy Podlasiaków; Bugiem gęsto szły berlinki i tratwy.

Zapadał wieczór; zrzadka zrazu dochodziły z błot kumkania żab, to kłekot bociana, to znowu beczący tremol kszyka, który, spłoszony ze swego gniazda, zygzakami uwijał się w powietrzu, by wnet wrócić do własnej siedziby. Na skłonie widnokregu, nad czarnym dachem puszczy płonął coraz silniejszy pożar zachodzącego słońca.

Ale na przyzbach dworku pod lipami wśród cudu kwitnących jabłoni, wiodąc rozmowę, siedziało dwóch starszego wieku panów. Jeden barczysty, w tuszy, gładził podgoloną czuprynę i niecierpliwie odpędzał komary, uporczywie siadające mu na czole; drugi miał rysy twarzy ostre, skórę na niej brunatną, mocno słońcem opaloną, szpakowate wąsy i brodę ze szwedzka przyciętą. Ten mówił:

— Jak kamień w wodzie, zgiął w tej puszczy i już blisko miesiąc tak siedzimy u ciebie, bracie Janie, z założonemi rękami, czekając jego powrotu, aż niecierpliwość bierze.

— Do podróżowania przywykłeś, przeto ciężko ci czekać.

— Mógłbym i tu uzupełniać swoje zbiory i robić notatki. Lecz rozwijać toboły, gdy lada dzień przyjdzie ruszać w bory i znów się pakować? Do tego sama niepewność dręczy. Radbym już wiedzieć, co i jak się postanowi.

— Zważ, mój uczony doktorze, że Jerzy poszedł w puszcę bez przewodnika: to tak samo, jak kulą na wiatry. Bo cóż wiedział? Wedle opowiadań smolarzy „Dolna Toń“ ma być wielkie jezioro, zwane także Łuzańskiem, stąd o jakie 20 mil drogi w zaszytej kniei. Być ci ono zapewne

musi, skoro tak wykaligrafowali na pergaminie danej wam królewskiej panie i wycisnęli pod pismem pieczęć. Lecz trafić tam nie łatwo. Ani dróg, ani znaku, po gwiazdach chyba kierować się, jak po morzu. Do tego zwierzę dziki, wykroty, moczarzyska, zbójnicy! Na to, wierzej mi, nie za dużo choćby i miesiąca nawet dla takiego, jak Jerzy, junaka.

Czekajmy cierpliwie, może lada dzień powróci. Zresztą, mój drogi, nie mogę ja zgłębić zrozumieć tych waszych projektów, co jeszcze raz powtarzam. Królewskiej panie, szmat lasu! Dyabli mi po takim darze! Nie wiecie, co to trzebić puszcę i zdala od całego świata, tylko w towarzystwie dębów i dzikich zwierząt, siedlisko zakładać! Czas i zdrowie zmarnujecie! Do tego Hankę i Zygmunta w dzicz głuchą brać! Jezus, Marja! Nigdy nie pojmę, jak ty, Adamie, coś po świecie tyle zebrał doświadczenia, nie chcesz zrozumieć, na co się ważycie!

— Mój kochany, nie lekceważę ja twoich przestroż. Wierzej mi jednak, dobrze wszystko rozważyłem i mam nadzieję, że nam nienajgorzej się powiedzie.

Co do królewskiej panie, że ladażona, prawda. Inni za mniejsze zasługi pobrali orne pola z pałacami; nam — szmat dzikiego boru. Trudno! Darowanemu koniowi nie zaglądać w zęby. Nigdyśmy nie zwieszali się u dworskich klamek. Niechże będzie bór! Ma tam podobno być nad jeziorem zdrowe położenie i rodzajna ziemia, a przed laty wielka kolonia smolarzy domy nawet mieszkalne i jakieś szopy stawiała, bór trzebiąc, smołę topiąc i dziegiecie.

Wiadomo, na gotowe dostatki nie pójdziemy, jeno na trudy, na walkę z borem i niedźwiedziem. Ktoś pierwszy i na to ważyć się musi.

Powiadasz: daleko od ludzi! Tak! Ale ja znów powiadam: bliżej Boga i przyrody! Dla moich badań — nowe światy. Hankę i Zygmunta nie takie znów szaleństwo brać w dziką puszcę, jak się wydaje. Kości im, co prawda, nie pomdleją tam, ani rączki nie zbieleją. O to też nie stoimy. Nauczą się na kawał razowego chleba ciężko pracować, w czym grunt wszystkiego w życiu dobrego. Hanka nigdy nie była z tych, co z francuskim romansem na dywanach marzą o amorach i strojach. Kobieta, jak rydz, zdrowa, zawsze się rwała do sierpa, do strzelby, do konnej jazdy.

A Zygmunt z niemocy, w którą popadł w konwikcie Pijarów, ozdrowieje i zahartuje się, nauką zaś jego zajmę się sam, w czym matka mi w wolnej chwili pomoże.

Zresztą, co tu dużo mówić! Wiadomo! Prócz moich książek i zbiorów, a Jerzego trzosa zdobyczego — goli jesteśmy, jak tureccy święci. Po śmierci mojej niebogiej, matki Jerzego, przez te wojny, trochę przez moje włóczęgi... Życ nam na twoim dorobku...

Nasrożył się pan Jan:

— Cóż znowu? Na moim dorobku? Czy nie ja z twojej mam wszystko łaski? Czy nie nasze wspólne wszystko? Nie dla Jerzego, Hanka i Zy-

gmusia? Niestworzone rzeczy, aż złości biorą! Mnie bezzennemu po co to? Do grobu zabiorę z sobą grunt i dobytek?

— Co zrobisz, twoja wola. Wiem, że pocziwie masz serce dla nas. Ale my możemy i powinniśmy dorabiać się na swoim sami. Zdrowiej tak, lepiej, milej, pożyteczniej, co wszystko nie jest rzecz mała.

Powiem ci nawet, że się z tej królewszczyzny cieszę. Nie to, że duży jednak szmat ziemi, ale właśnie, że w tak zapadłej puszczy, że go trzeba uznoić i zdobyć, że wreszcie tak daleko od mrowiska ludzi.

Bo com widział między ludźmi? Przykro mówić, ale po różnych doświadczeniach, zaprawdę, do bolesnych dochodzę wniosków. Przyroda jest dzika, materialna, surowością praw i pomyłek swoich nieraz człowiekowi dolegliwa: ale nigdy nie kłamie, ni sama da się podstępnie okłamywać. Jak zaś żywotna, bujna, jak ustawicznie się odradzająca, jak niezgłębiona w różnaitości zjawisk i przezczysta w swojej nagości!

A człowiek? Ogółem biorąc... No, nie mówmy o tem!... To jeno wiem, że dość mam ludzi i świata. Uciec mi bodaj na jakiś czas od tego wszystkiego w dziką puszcę i wykapać się w zdrowej naturze, krzepiąc siły fizyczne pracą, a płuca oddechem ziół leśnych. Jerzy zgadza się w tem ze mną, dosyć już mając wojaczki.

Zakaszemy rękawy i zaczniemy wojować z odłogami.

— Jednak cóż warte życie bez ludzkiego towarzystwa i bez pracy dla wspólnego dobra? A ojczyzna? Czyż ta nas nie potrzebuje? Mówisz, że źli są ludzie. Może prawda; jakiż jednak wniosek z tego? Uciec od złych łatwo... i wygodnie. O wiele trudniej i piękniej byłoby dla nich pracować, bodajby dobrym przykładem służąc. Zakopać siebie i dzieci na odludziu, zerwać wszystkie związki z towarzystwem, jak można, nigdy nie zrozumieć.

— Na zawsze zakopywać siebie i dzieci nie zamierzam. Co do pożytecznej pracy dla ojczyzny, dla nauki — tej nam nie zabraknie. Wytrzebimy i zagospodarujemy szmat odłogiem leżącej ziemi rolnej, założymy nową osadę na rubieży, blisko handlowego szlaku. Czy mała w tem zasługa? A zresztą zahartujemy się w niedostatku, w niewygodach, w znoju, z czego może kiedyś jeszcze większy pożytek mieć będzie ojczyzna, potrzebująca ludzi twardej ręki.



— Róbcieź, jak chcecie. Wpoprzek waszym zamiarom nie stanę owszem, dopomogę z gospodarstwa.

— O tem pomówimy po powrocie Jerzego. Dobrze trzeba będzie rozważyć, co brać, czego zaniechać, bo ze zbyt dużym taborem przedzierać się przez bezdroża leśne nie można. No, mil 20, nie za światami! Na uparte go co roku możemy się wzajemnie odwiedzać.

Tak gwarzyli. A już słońce nad ścianami boru zgasło; już coraz głośniej i szerzej z łąk rozbrzmiewała żab orkiestra; już jaskółki z wesołym gwizdem ostatnie koła zakreślały wysoko, co podobno piękną i stałą zapowiadało pogodę, lecz i te wreszcie jedna po drugiej powlatywały w poddasza do gniazdek swoich, z błota i gliny wylepionych. W miarę zapadającego mroku zastępowały je cichym, miękkim, skrytym lotem — nietoperze. Już z biczków trzaskając i głośno nawołując, zganiłi pastuchy do stajen i obór swoje trzody; już pobłyskiwały kosy z łąk wracających kosiarzy, a wozy sianem naładowane skrzypiały.

Zmierzch ciepły, cichy, wonny obejmował wszystko niewysłowionym czarem kwitnących bzów, jaśminów, lip i czeremchy.

Wreszcie i wózek, oczekiwany widno, ukazał się w bramie wjazdowej i wnet wyskoczyli zeń Hanka i Zygmus; oboje opaleni i zmęczeni, ale weseli, szczęśliwi.

— Jerzego niema? — pytała ojca, zeskakując.

— Niema. Jakże się wam grało?

— Pyszenie! Mówię stryjowi, siano, jak ruta! Kopica przy kopicy!

— A cóż Zygmus, jak się spisywał? Czy bardzo zmęczony?

— Grabił, grabił, jeno za często spoglądał na bociany, jaskółki i bąki.

— Nieźle, widno uczonym będzie przyrodnikiem. A jeść podobno zgoła nie chcesz?

— Przeciwnie, dziaduniu, zjadłbym wilka.

— Przesadzasz, mój kochany. No, ale chodźmyż, bo już Magda pewno niecierpliwie czeka z kolacją.

Odeszli do środka, wesoło rozmawiając.

W godzinę zaś później ukazał się na gościńcu jeździec na mocno zdrożonym koniu. Skreślił w bramę, podjechał do stajni, ciężko zsiadł i parobkowi poleciwszy rozkulbaczyć, wytrzeć i nakarmić konia, zmęczonym krokiem przez ganek wszedł do dworku.

Wrócił dawno oczekiwany Jerzy.



II.

WYWIADY I WYJAZD

Wrócił tak zmęczony, że tylko łapczywie zjadłszy wieczerzę i mruknąwszy:

— Wszystko dobrze, opowiem, gdy się wyśpię — rzucił się na łożę i spał snem kamiennym całą noc i duży kawał dnia następnego. Późem zerwał się, zimną wodą oblał, bieliznę wdział i do czysta wypróżniwszy pełne misy nagotowanej strawy, opowiadał:

— Trafiłem wkońcu do tej „Dolnej Toni“. Jezioro szerokie, jak morze, trudno okrążyć. Od południa moczary, szuwary i trzcina, dzikich kaczek i różnego ptactwa roje takie, że kijem natłukłby wedle woli. Ryb w jeziorze moc, warto brać więcierze i sieci. Od północy i wschodu brzeg lekko pagórkowaty, dobra tu glina, jest i piasek i wapień do budowy. Wszędzie lasy bez końca tak gęste, że z koniem przedrzeć się trudno: dęby i buki, sosny, modrzewie i jodły, jesiony, lipy i brzozy, zresztą wszelkie drzew rodzaje liśćmi i konarami tak pożenione z sobą i zrosnięte, że trudno rozpoznać; u dołu drugi las wszelakiej krzewiny, a na ziemi po kolana koń brodzi we mchach, paprociach i jagodniku. Co krok wykroty, omszone zwały gnijącej i spróchniałej padliny leśnej; porasta to brodami grzybowiska i roi się od owadów i mrówek. Dobrze choć, że rzadkie wadoły, rozpadliny i garby; zato sporo wszędzie owrzodziałych oparzelisk z wodą rdzawą i kępami grzywiastych traw, mchów, skrzypu, paproci.

— Jakżeś trafił, jak przebrnął, czem się żywił? — pytali wszyscy z ciekawością.

— Nie trzeba było wyźła, żeby tropił kota; z pod nóg śmigają jak głupie; rogów także kozłich wedle potrzeby, ile wlezie. Jeleni, nawet łosi i żubrów widywałem zdaleka całe stada. Głowa o jadło nie bolała. Pełna teraz puszcza jadła. Tylko chleba szczędziłem, jak skarbu, i do ostatka chowałem kruszynę. O czystą wodę także nie wszędzie łatwo, nieraz doskwierało pragnienie, bo tej leśnej strach pić przed gnilem i febrą. Tom w kociołku warzył leśną z odwarem rumianku, macierzanki lub poziomkowych liści dla smaku i tak pił. Barcie też pszczoł widywałem po

dziupliskach. Co zaś do przebrnięcia, myślę tak, że tą drogą, którą ja po ścieżkach zwierzęcych człapałem konno, nie przejdzie z furami. Powiadali smolarze, na których natknąłem w puszczy, że do „Dolnej Toni“ przebrnę na przełaj konno, choć z biedą, ale kołami tędy nie dojedzie. Okrążyć trzeba spory kawał rzadszym borem, bardziej wzniesionym i suchszym od północy, gdzie i strugi wody częstsze, potem mil parę jechać handlowym szlakiem, wreszcie dobry kęs siekierami rąbać drogę. Tak tylko furami dojedzie do „Dolnej Toni“ i to krok za krokiem, jako ze smołą, ze dwie niedziele jadąc. Tą właśnie drogą wracałem, czyniąc na drzewach karby, po których myślę kierować fury.



— Nic, że nad „Tonią“ jeno las? Bo w pergaminie mowa o jakichś smolarniach i budynkach?

— Oglądałem dwie duże smolarnie, tuż przy jeziorze sterczące, jako smoła czarne i okopcone, ale z tych budowli, choć są z cegły, żaden dla nas pożytek. Obok ślady tam szerokiego wokoło karczunku i wielkie z drzewa zabudowanie. Lecz dachy tej budowli pozrywane, drzwi powywalane, niedźwiedzie i żubry w zimie noclegi, a w lecie weseliska widno tam miewały. Co z tego dla nas się przyda, zobaczymy na miejscu. Bez dużej przebudowy nie obejdzie się.

Tedy myślę, póki jeszcze suche lato, bez dłuższego zwlekania rozwiązać trzos zdobyczny i zaraz jutro do miasta jechać po zakupy. Chyba, że ojciec i Hanka rozmyślili się zaniechać tej wyprawy.

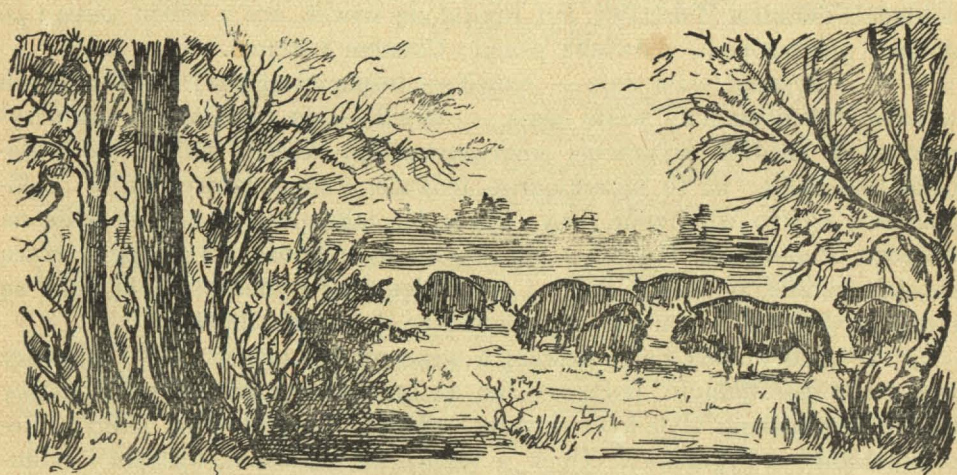
— Pojadę, jakom dawniej postanowił.

— Ja miałabym zaniechać? Żartujesz chyba. Aż mi serce rwie do owej puszczy! A jak sobie dom wybudujemy, jak role i ogrody wytrzebimy, ile sprzętów własnymi rękami naciosamy, jakie nagromadzimy zapasy futer, mięsiwa, miodu, jagód, grzybów! Cieszę się, cieszę, chociażby mi przyszło przez całe lata w wilcze tylko przyodziewać się skóry!

— Podobno nie na co innego wam przyjdzie — mówił Jan. Ale trudno, sami chcecie. Co do zakupów, nie może inaczej być, tylko musicie wziąć odemnie, co mam i dać mogę.

Ziarna różnego kilka worów, o ile jeszcze pora — na zasiew, resztę na przezimowanie do przyszłego zbioru; dwie dojne krowy, nie tylko mleko,

ale i przychówek z nich będzie w zimie; i wóz pociągną i orać pomogą; wóz zaś jeden dać mogę drabiniasty, mocny, na żelaznych osiach; kaszanki do drugiego dam, drobne, ale wytrzymałe i byle trawą wyżyją. Przytwardzi się na wozach obręcze, okryje zgrzebne, nawoskowanem płótnem, to będzie w podróży schronienie na deszcz i noclegi; narzędzi też, jak pługów, pił, kos, bron i siekier, oraz różnych rzemieni znajdziecie u mnie dostatek; rdzewieje to i pleśnieje bez pożytku, wam zaś się przyda. Lecz i kupić musicie niejedno: parę baryłek prochu, parę soli, sieci, skrzynkę gwoździ, żelaziwa różnego do budowy, jak skobli, strugów, świ-drów; nie zawadzi koców z wełny, płótna i sukna, bo to, co macie, po paru latach pójdzie w strzępy, skórami zaś okrywać się, choć można, ale niezgrabnie. Strzelbiska i pistolety, widziałem, dobre u was, zwłaszcza owe zdobyczne Jerzego, szwedzkiej roboty, lecz i tych dokupić nie zawadzi,



gdy możecie być w opresji wilków i zbójów. Nie zapomnijcie też o ołowiu na kulki i o śrucie.

— Czy tylko pomieścimy wszystko to na dwóch wozach — zakłopotana się Hanka — boć trzeba przecie wziąć sporo jeszcze gotowego jadła na drogę i trochę rozsady, trochę kuchennych sprzętów, trochę drobiu w kotuchu.

— Dobraś, zawołał doktor — może jeszcze parę pierzyn i szafę z sukniami? Drób i domowe zwierzęta oswoimy, złapawszy w puszczy. Nie powlecemy się, jak pludry, z pieluchami, kotami i statkami. I tak wziąć muszę zbiory swoje, książki i chemikalja.

— Radziłbym — dodał Jan — mojego Franka zabrać. Hultaj sprytny do wszystkiego, czy piec wymurować, czy wóz naprawić, czy kosz z wikliny lub postoiły z brzozowego łyka upleść, czy zwierzynę podejść. A już cieśla z niego naprawdę zawołany.

— Jakże, jako niewolnego najmitę? Zawsze sromałem się korzystać z takiej usługi.

— Wyzwolony. Będzie wam chętnym towarzyszem, bo łakomy odmiany i przygód. A drugiego wziąć wam radzę Grzegorza. Mrukliwy to, ponury i twardy Rusin, lecz wierny i uczciwy. Chętnie pójdzie, bo lubi samotność i przepada za łowami.

— Jeżeli zechcą, weźmiemy.¶

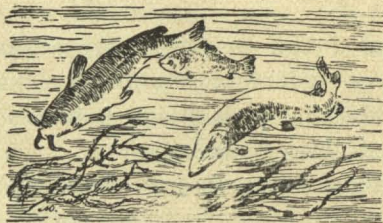
Przywołano Franka. Chłopakowi oczy z radości zabłyśły. Zgodził się natychmiast i bez wahania, zwłaszcza gdy usłyszał, że każdego czasu wolno mu będzie wedle chęci pozostać lub odejść. Nie było także żadnej trudności z Grzegorzem.

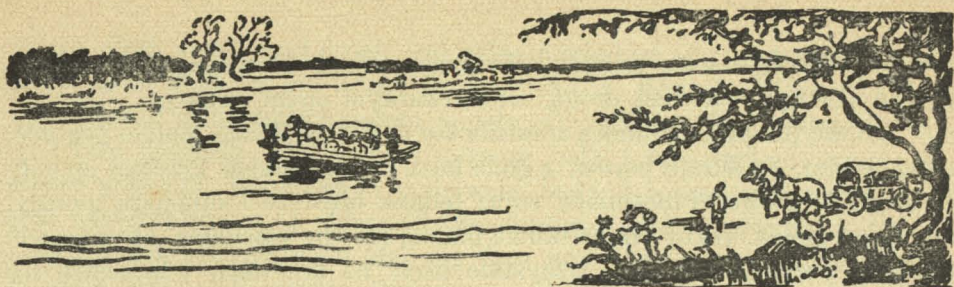
— Jak każut, pijdu! Mni puszcza maty ridna!

Więc z zapamiętano się do przygotowań, każdy coś przypominał, dokładał, doradzał. Poczciwy Jan rozstał się nawet, acz z bólem serca i po długich pieszczotach, z dwoma psami: Chanem i Bejem.

— Przyjaciół wam daję — mówił — tropią niegorzej od dowodnych wyżłów, tak doskonały wiatr mają — mówił — do aportowania tak przyuczone, że każdego wypracują wam postrzałka. Patrzcie na ich pierś głęboko rozwiniętą, na te muskularne łędzwie i silne kupry, na te inteligentnie i bystro wpatrzone oczy. Poznacie, jaką pasję i ciętość mają na każdego drapieżnika. Psy takie nie zmęczą się najdłuższym galopem, rzucają się, jak kundla, na dziką, wilka i niedźwiedzia, jak Bernardy, łagodne są i wierne. Psy takie starczą w potrzebie za dziesięciu ludzi.

Po kilku dniach przygotowań o wczesnym brzasku, po cichej mszy w kościele parafjalnym, poczciwy Jan za bramę odprowadzał odjeżdżający tabor: trzy mocno wyładowane wozy, płótnem pokryte; na jednym siedziała Hanka z Zygmasiem. Obok w letnich płótniankach, opasani i uzbrojeni, ale w postołach, do długiego po lesie chodu wygodniejszych od skórzanego buta, szli: doktor Adam, Jerzy, Franek i Grzegorz. W awangardzie ogromne psiska, Bej i Chan, wesoło poszczekując, w mniemaniu, że idą na polowanie, myszkowały na wszystkie strony.





III.

SŁOWIKI — POTOPY ROŚLIN — JARZĄBKİ — DYSPUTA O DRZEWACH.

Jechali utartym zrazu szlakiem wzdłuż borów, między polami i łąkami, ciągle ku północy, rzeźwiąc się wonią kłosów i kwiatów, zwilżonych ranną rosą. Zamiast namiętnego wrzasku żarłocznych wróbli, towarzyszącego im w pobliżu wioski, szło teraz od zbóż coraz głośniejsze i częstsze w miarę rozkwitu dnia brzęczenie koników polnych i pietpielenie młodych przepiórek, a z pod obłoków monotonne, dźwięczne zawodzenie szarych skowronków, które kiedy niekiedy opadały z wyżyn do swych gniazdek na roli.

Potem promami przepłynęli przez szeroką wstęgę Bugu, kierując się polnemi drogami ku borom przez bujne łąki, pełne ptasiej wrzawy, pełne kwiatów, muszek i motyli, barwnych w poźłocie słońca, jak kwiaty, pełne hucznych nawoływań kosiarzy i brzęku kos, raz wraz przy ostrzeniu poklepywanych. Wrzała tam praca na zdrowie i pożytek, gdyż parobcy z rozmachem ścinałi na pokosy gęstą trawę, a dziewczęta barwne z dala, jak motyle i kwiaty, z radością, śmiechami i przyśpiewkami zgrabiały do kopic lub przewracały grabiami ku słońcu, lub nakładały na wozy wonne, suche siano.

Oni zaś ciągle posuwali się ku pagórkowatemu kątowi ścian boru, nie zważając ani na stada wron, krzyczące po przydrożnych drzewach, ani na boćki po ługach zdala żerujące, ani nawet na jastrzębia, który poszybował nad łąkami, wzniosł się wysoko i zapadł gdzieś w kniejach. Nakrótko tylko dla wypoczynku i południowego posiłku stanęli w cieniu drzew, by wnet pojechać dalej. Dopiero dobrze pod wieczór zatrzymali się na małym wzniesieniu już w widłach gęstego lasu na nocleg.

Naznosić suchych łomaków i liści, rozniecić przy pomocy hubki i krzesiwa ogień, zagotować w kociołku wodę, jakaż w tem radość dla Zygmuśia. Nie odpoczywali także inni: wyprężono, wytarto i popętano konie i krowy, puszczając je na pastwisko, Hanka zaś z zapasów, wziętych

na drogę, przygotowała posiłek. Wreszcie wśród urywanego ćwierkania leśnych ptasząt, zmęczeni drogą, wnet twardym snem zasnęli.

Jednak już przed północą zbudziła się najpierw Hanka, potem Zygmus, wreszcie inni. Ze skraju borów, z głębi lasu, ze wszystkich krzewin płynęły oto zrazu oderwane i nieśmiałe, coraz jednak częstsze i silniejsze gwizdy, trele, szczeglenia, jakby jakieś tkliwe łkania, rzewne kłaskania, aż nareszcie cały las, wszystkie konary, wszystkie liście na drzewach i krzakach zabrzmiały szeroką kaskadą tonów, niby z tysięcy brzęących strun złożona czarodziejska lutnia rozbrzęczała, rozstrzegła się trelami, zalewając las wonnym czarem wiosny i miłości, zmysłowego upojenia i lubością słowiczych pieszczot.

W zachwycie i ciszy słuchali, by nie uronić ani akordu z dziwnego koncertu, w którym nic sztucznego nie było, jeno czar niewyszukanej prawdy, jeno raj krótkiej, wiosennej rozkoszy.

— Słowiki, mamó — szepnął Zygmus.

— Duch puszczy gra dziobkami rozkochanych ptasząt — szeptała matka Zygmusia.

— Cicho mateczko, nie spłoszmy ducha puszczy, gra jego jakby nie z tego płynie świata.

— Dobrze mówisz, jakby nie z tego świata...

— Osobliwość — szeptał doktor Adam — tylko Alhambra lub Sierra-Morena zna takie roje słowików; w naszym kraju czegoś podobnego nie oczekiwałem. Widocznie w największym są teraz rozkochaniu. Śpiewają samce, aby się przypodobać słuchającym w pobliżu oblubienicom. Słyszycie łopoty skrzydeł? Śród koncertu staczają z sobą walki rywale. Gdy powiążą się w pary, gdy kołyski dla spodziewanego potomstwa wybudują, gdy zaczną się odsiadki: umilkną koncerty. Teraz jeszcze czas upojenia, szału, śpiewu.

Zwolna przygasały kaskady trelów i wszyscy usnęli prócz Zygmusia i jego matki.

— Czy mama naprawdę wierzy w jakiegoś ducha puszczy, o którym niańki dzieciom opowiadają?

— Nie bądźże tak naiwny, mój drogi. Cóż ci opowiadała niańka o duchu puszczy?

— Że mu posłuszne są wszystkie zwierzęta; że w lecie rozsypuje po puszczy kwiaty, a w zimie drży skulony od zimna, jak chusta biały, z głodu przymierając; że ulubieńców swych obdarza wiankiem czarodziejskiej mocy; człowiek, włożywszy sobie na głowę ów wianek, zmienia się w dowolne istoty: wiewiórki, mrówki, motyle, w cokolwiek zapragnie, albo nawet niewidzialnym stać się może. Takie bajki!

— Ładne, chociaż dalekie od rzeczywistości, która zna jeno znój i ciężkie walki, cierpienia różne i radości, ale żadnych czarów.

— Więc na świecie żadnych cudów niema?

— Cały świat, mój drogi, jest jednym wielkim, niezbadanym cudem; cudem są te małe, a tak liczne tu światełka w liściach, któremi świecą świętojańskie gąsieniczki; cudem jagody, drzewa, grzyby; cudem ty sam i ja i owe gwiazdy nad nami i puszcza cała i całe życie, rządzące się stałymi prawami. Wszystko to podziwiać, badać i poszanować trzeba. Lecz zgola niedorzeczne są i nieprawdziwe fantazje ludzi leniwych i głupich, że cośkolwiek pożytecznego stać się nam może bez trudu i zasługi, jedynie mocą urojonych czarów. Prawa przyrody niewzruszone są, niezmiennie i wszystko od trawy żdziebelka do człowieka im podlega.

— A prawa ducha?

— Stawiasz pytanie, na które niełatwo jednym słowem odpowiedzieć. Są uczeni, którzy twierdzą, że wszystko stopniowo rozwija się i wyłania z pierwocin praw naturalnych.

Inni nie zgadzają się z nimi, twierdząc, że Bóg bezpośrednio objawił człowiekowi zasady praw ducha, przykazania praw moralnych. Do tych i my należymy, lubo niektórzy nie znajdują istotnych różnic w obu zapamiętaniach.

Wszystkich tych zawiłości roztrząsać, a tem mniej rozstrzygać nie będziemy,

zwłaszcza, że spóźniona noc do snu skłania, tak nam do jutrzejszych mozołów potrzebnego.



Nazajutrz o świcie po sutym posiłku ruszono w dalszą drogę. Kompas Adama, a jeszcze lepiej karby Jerzego wskazywały kierunek. Grunt był suchy, las wysokopienny, rzadki, z małym podszyciem, więc posuwali się bez większej mitręgi. Tylko korzeniska, jak przeguby olbrzymich węzów, skłębionych w ziemi pomiędzy pniami, niemało utrudniały jazdę. Niekiedy zanurzały się wozy w jagodnik, obsypany dojrzewającymi, częściej jednak zielonkawymi jeszcze borówkami. Spotykano wiewiórki, nie tylko rude, ale także czarne. Tanecznice lasu nie miały jeszcze ani orzechów, ani bukwy, więc, jak piłki, z konarów skakały na konary, to w górę zadzierając puszystą kitę, to stulając ją pod siebie, skakały coraz wyżej, aż na sam sosen wierzchołek, gdzie najwięcej szyszek. Oto znów na dolne zbiegają konary, na tylnych stają łapkach, przednimi trzymają szyszkę i spokojnie gry-

zą słodkie ziarna, bez lęku strzelając wzrokiem na szczekających Chana i Beja. Uszka im sterczą, żywe oczęta czujnie przypatrują się to srokom skaczącym po konarach, to czubkowi i błękitnej plamce na skrzydle, sojki, to przelatującym muszkom, to metodycznej pracy dzięcioła, który podpierał się na silnym ogonku i lezie cierpliwie w spiralnej linii po pniu drzewnym coraz wyżej, kując i kując za liszkami korników tak pracowicie, aż mu główka od znoju poczerwieniała.

Psy, wietrzące na czele taboru, stawały czasem nagle, jak w ziemię wrosłe, kufy z klapami wyprężywszy i stuliwszy strychulec. Franek wówczas zrywał się na łowy. Doktor zabraniał.



— Na dziś — mówił — starczy żywności. Nie bronię, gdy potrzeba. Lecz zabijać zwierzynę dla pofolgowania myśliwskiej chuci — wstyd, grzech i niepotrzebna mitrega.

Więc psy odwoływano lub na smycze brano, gdy niespokojniejsze były, a wytropione zwierzę zmykało na swobodę. Zresztą zabito już dnia tego kozła i dwa spore ptaki z rdzawo i czarno nakrapianem upierzeniem, białe od spodu, z czubem na głowie.

— Jarzabki to — poznał doktor — samce, bo mają czuby; teraz ich mięso nie tak smaczne, jak pod jesień, gdy się czarnym bzem, jarzębiną, lub jałowcem utuczają; lecz i teraz ujdzie.

Wjechali potem w rozłogi, porośnięte rozmałą pienną drzewiną, a tak

mocno podszyte, że raz po raz trzeba było daleko okrażać niezbrodzony gąszcz różnych krzewów; jak głógów z białem lub różowym kwieciem; jeżyny, róż polnych, zwanych także szypszyną; jak leszczyn, jak malini-ska, ustrojonego w białe gwiazdki, zalanego powodzią powojów, pokrzyw, jemiołuchu, łopuchu i paproci; jak wreszcie krzewiastych kalin, których żółte baldachy pozwijały się z kiściami wonnej czeremchy, z gałęziami dzikiej porzeczki i z fioletowym bukietem słodkogorza.

Bezpieczną tam kryjówkę miała wszelka zwierzyna, a przebrnąć z furami owe potopy roślinności żadnego nie było sposobu.

— Tłusta tu i rodzajna ziemia — mówił doktor; — buja wszelka roślina, jak na drożdżach; gdyby taka nad Tonią...

— Takać sama, może nawet jeszcze bujniejsza z jednej strony jeziora — odpowiedział Jerzy; — bo z drugiej moczarzyska. I stąd za jakie trzy dni zjedziemy na młakowate ługi, które ciągną się milami.

Podczas południowego wypoczynku przywołał doktor wnuka i wymieniając po nazwisku różne drzew rodzaje, pytał, jak mu się one podobają.

— W ciepłych krajach — odpowiedział Zygmunt — są podobno drzewa znacznie większe i piękniejsze od naszych.

— W podróżyach po świecie istotnie podziwiałem kolosy drzew zdumiewające. Osobliwością świata są n. p. w Kalifornji lasy Mamutowców (*Sequoia gigantea*). Szyszkowe te olbrzymy, okryte korą barwy cynamonowej, pniem, dopiero na wysokości kilkudziesięciu metrów rozwijającym się w konary, wyżej strzelają w niebo, niż wieża kolońskiej katedry (160 m). Niektóre z nich już 8.000 lat żyją, a w wypalonem wnętrzu ich pnia, 15 osób może wygodnie zasiąść do stołu. Australskie Gumowce, zwane Eukaliptusami, Damarowe sosny w Nowej Zelandji, Smokowce na wyspach Kanaryjskich wzrostem i ogromem dorównują tamtym. Pomimo to wolę ja nasze dęby lub sosny. Choć mniejsze wzrostem i mniej długowieczne, wydają mi się powściągliwsze i jakby więcej uduchowione.

— Szczególnie brzmi ten wyraz, gdy mowa o drzewach — zauważyła Hania.

— A jednak uczeni nie wahają się dysputować nawet o moralności roślin. Z tego też punktu widzenia użyłem wyrażenia „uduchowione“. Drzewa i rośliny naszego kraju mniej są od południowych żarłoczne. Tam widywałem w puszczech rzeczy straszne: jedno owija się około drugiego w węzowych splotach, wysysając żywotne soki, przeżąc się ku słońcu, szalejąc rozrzutnością kwiatów, kalecząc i dławiąc kolcami, wąsami, trującym lepem, byle wyżej, byle przeciwnika zadławić. W tej bezlitosnej samolubnej, żarłocznej o byt walce czołgają się i płaszcą, gdy są w mrokach dolnych, lecz skoro tylko się dźwigną do góry, depcą, miażdżą, duszą i mordują słabszych od siebie bez żadnego względu. Jedyne tam prawo: „Każdy sobie“ lub „Nie rób sam, gdy za ciebie inny zrobić może“.

Tak potwornej o byt walki nasze drzewa nie znają. Pasorzyty naszych roślin, jak jemiola lub wiciokrzew, jak mchy, paprotka lub porosty, poprzestają na skromnem zbieraniu jakby podatku z cudzej pracy. Sosna nasza zwycięża w walce z rywalami nie mordem, jeno raczej podstępem, gdy ostre swe i krzemieniaste igły sypie dookoła, które przygłuszają porost mchów i trawy. Oparła się mrozom, żywicą swą zmogła owady, tylko człowiekowi poddać nie może.

— Bo człowiek panem jest roślin i zwierząt.

— Panem? Mój chłopcze, to egoistyczne, dumne i niemoralne zdanie zasadniczo winieneś zmienić.

— Niemoralne? — zapytała Hania.

— Nieinaczej, gdyż do tyranji i niszczytelstwa prowadzi, jak każda pycha, każdy egoizm, każda przemoc silniejszego, nie uwzględniająca interesu słabszych. Czyż ziemia ze wszystkimi roślinami i zwierzętami nie jest przedewszystkiem własnością Stwórcy? Czy ludzie z mroków pier-

wotnej natury swojej zwierzęcej nie mają dźwigać się duchem w godność synów i dziedziców bożych, gdzie nie egoizm, nie tyranja, nie ślepa o byt walka, nie ciemny instynkt z popędami władają i rządzą, lecz prawa ducha, zniewalające do dobrotliwej nad dziedzictwem opieki? Nie panami jesteśmy, lecz czynszownikami własności bożej. Włodarzyć tedy winniśmy owem dziedzictwem roztropnie, umiarkowanie i godziwie, aby nie niszczyć, nie znęcać się, lecz pomnażać i uszlachetniać, czego się domaga nietylko sama zasada, ale także własny nasz interes.

Pomijając bowiem zwierzęta i różne rośliny, ileż to pożytku ma człowiek już z samych drzew tylko. U nas z iglastych ma budulec, opał, terpentynę, potaż, smołę; z dębu znakomity budulec stolarski i garbnik; maszyny i koła wyrabia ze spoistego wiązu; meble gięte i sprzęty bednarskie ze sprężystego jesionu; obręcze i miotły z brzeziny; budowle i sprzęty różne z buku i jaworu.



Cóż dopiero mówić o wszelkich innych roślinach i krzewach, których rozmaitość tak na świecie niezliczona? Co mówić o dobroczynnym wpływie lasów na klimat i naturę każdego kraju?

Gdzie głupi człowiek wytępi lasy, tam kraj rychło szczerym piachem lub nagą skałą zaświeci, z czego na pokolenia zagłada, głód i śmierć nieuchronna.

— Mnie zaś — mówiła Hania — piękność drzew i lasów naszych najwięcej zachwyca, tak w różnych roku i dnia po-

rach różnorodna. Co zaś do pożytku, myślę, że od naszych drzew znacznie pożyteczniejsze są południowe, które więcej otrzymują słońca do rozwoju swoich kwiatów, nasion i owoców.

— Nie zaprzeczę — odpowiedział doktor. — Z roślin gorącej strefy i do nas handlarze przywożą dużo rozmaitego produktu, jak pieprz, bobkowe liście, szafran, muszkatele, cynamon, herbatę, kawę. Nie chwałę, gdy przywożą ze szkodą ludzkiego zdrowia, dla podrażnień jeno krwi i podniebienia.

Ba, i dobre rzeczy pochodzą stamtąd, jak kamfora, która jest stężałym olejkiem pewnego drzewa, jak guma, arabską zwaną, z drzewnego pochodząca soku, jak korki do flaszek, jak brezyl do farb używany.

W Ameryce widziałem drzewo, Kakao zwane, którego nasiona tyle mają tłuszczu w sobie i mąki, że zmieszane z cukrem za posilny i smaczny służą pokarm. Tam cukier wypłókują z rdzenia pewnej trzciny, czego my ze swoich buraków znacznie łatwiej i więcej moglibyśmy dostać. Tam z owoców drzewa oliwnego wytłaczają przedni olej, znacznie smaczniejszy od naszych lnianych lub konopnych. Tam z soku drzewa Parch, ugotowa-

nego z sokiem cytrynowym w wodzie, tworzą po wyparowaniu materję, którą kupcy zamiast zwierzęcych skór zalecają, nazywając gutaperką. Ale to tam do dobrze wyprawionych skór ani umywa się, gdyż łatwo twardnieje i pęka. Z owocu drzew chlebowych wypiekają ludzie południowi chleb, nie powiem, żeby posilniejszy ani smaczniejszy od naszego żytniego lub pszennego. Za to z palm swoich mają istotnie różnorodny i godny podziwu pożytek.

W pniu jednej znajdują ludzie mąkę, wcale niegorszą od naszej pszennej; tę to mąkę nazywają w handlu „Sago“. Rośnie w krajach południowych jeszcze pożyteczniejsza od sagowej palma, zwana „Kokos“. Cudowne to drzewo kokosowe rodzi orzechy wielkości małej głowy ze skorupą bardzo twardą, brązowem włóknem pokrytą. Jeżeli ów orzech rozbijesz, znajdziesz wewnątrz słodkie, białe mleko, które sfermentowane i oczyszczone, staje się mocną gorzałką, arakiem zwaną, a po odparowaniu zamienia się w cukier. Ba, w tym samym orzechu pod mlekiem znajduje się jeszcze biała i twarda warstwa, która tak jest tłusta, że po dobrem wytlóczeniu zastąpić może nasze krowie masło, a pali się, jak olej. Z włókien kokosowych wyrabiają nadto mocne tkaniny, maty i okrętowe liny.

Śmiało tedy można powiedzieć, że palmowe drzewa dostarczają ludziom południowym wszystkiego, czego tylko do życia im potrzeba: mąki, cukru, oliwy, owoców, wosku, warzywa, żywicy, budulcu, włókien na przędziwo, mleka, nawet gorzałki i perfum.

Pomimo to powtarzam: dla nas nasze drzewa najpożyteczniejsze są i najzdrowsze. Naszych szlachetnych jabłek i gruszek nie oddałbym za żadne daktyle, banany, pomarańcze i figi. Na całym świecie nie masz lepszego i zdrowszego owocu od jabłek i gruszek. Jabłoniemi i gruszkami, gdybyśmy rozum mieli, powysadzalibyśmy nietylko wszystkie sady, ale i wszystkie w Polsce drogi. Nie pamiętamy o tem, niestety, drzew owocowych szczepimy mało, pielęgnować ich nie chcemy, owoc lekko sobie ważymy, wszystko to z niemałą własną szkodą.

Zabawiliśmy się jednak tą rozmową nazbyt długo, zapomniawszy, że czas już w dalszą wyruszyć drogę.





IV.

DALSZA PODRÓŻ — BURZA — NOCNE ŻYCIE W PUSZCZY — CIETRZEWIE — PUHACZ I PTAKI — SOKÓŁ I ŁASIKA — SŁODKA PRZYGODA FRANKA

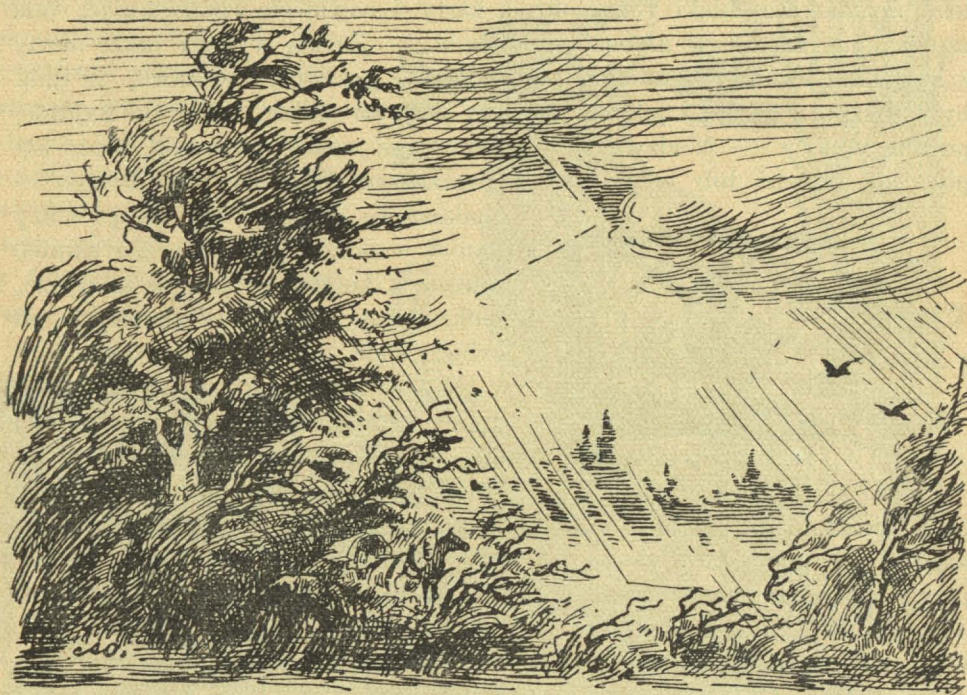
Tabor wyruszył, zbaczając ku północy, kędy droga była dostępniejsza; lecz dnia tego mało posunął się naprzód, raz, że upał mocno doskwierał i wszyscy czuli się pomęczeni, powtórę z powodu burzy. Zaraz po południu słyhać było zdaleka głuchoe huczenie grzmotów. Poukrywało się ptactwo w gniazdach, owady w szczelinach i norach, a wierzchołki drzew stały bez ruchu wyprostowane, jakby czekając upragnionej kąpieli.

Nagle, niby z zasadzki, wionął potężny wichur, zakręcił półkolem i wstrząsnął całą puszcza tak silnie, że białe brzozy kładły się prawie do ziemi, rozkolebały się sosny, jodły i buki, a nawet dumne dęby z wielkim szumem jęły potrząsać konarami. Ściemniło się, jakby noc zapadła. Liść, trawa, suche łomaki szły z wicherem, siekąc o pnie drzew. Błysnęło osłepiającym blaskiem raz, drugi i trzeci i tuż zaraz huknął piorun; koniki poprzysiały na zadach, a krowy dobrze, że upręży nie pozrywały. Ledwo miano czas zaszyć się z tarem między gęste krzewy malin, głogowiska i kaliny, unikając wysokich drzew, w które pioruny częściej biją: gdy niebieska kapela rozigrała się straszliwie, raz po raz rażąc błyskawicami, po których waliły pioruny, hukiem wstrząsające — zdawało się — wszystkimi posadami puszczy. Lunał deszcz, jak z cebra, smagając liście i konary drzew nawałą grubych kropel, strugami spływających po gałęziach ku korzeniom. Stopniowo odstęp pomiędzy błyskawicami a hukiem zwiększał się, oddalała się widno nawałnica, lecz potoki wody, jakby przez rozwarte słuzy nieba, płynęły jeszcze długo, zwolna tylko wstając.

Orzeźwiła się, wykapała puszcza. Piły żywotną wodę spragnione drzewa, krzewy i rośliny ustami w liściach, porami łodyg i konarów, omszoną korą, wsączały przez włókna i węzowate odrośla korzeni z przysyczonej ziemi.

Ptak w gnieździe strzepywał z piórek brylanty kropel, ale dzióbkiem chwycił spadające po liściach i z rozkoszą wypijał. Nawet ślimaki, gąsieniczki i wszelakie owady ożywiły się, poczęły wylazić z kryjówek i z zadowoleniem pełzać na żerowisko.

Także podróżni nasi wybrnęli z gęstwiny, zwłaszcza, że i słońca smugi już przeświecały przez liściaste konary i można było myśleć o rychlejszem wysuszeniu się w słońcu i ruchu. Bez przerwy też i żwawo jechali już do zmierzchu, oglądając w puszczy ślady burzy: pozrywane gałęzie lub nawet powywracane drzewa, odsłaniające w surowej glinie



kłęby korzeni. Wreszcie wyszukawszy sobie dogodne na nocleg miejsce, rozpalili ognisko, spożyli wieczerzę i ułożyli się do snu.

Tylko doktor Adam, na którego padła kolej czuwania, leżąc na wołoku przy tlejącym ogniu, zagłębił się wzrokiem i słuchem w czarne łono puszczy.

Nie spała ona wcale; z ciemnej, tylko bladą lampą księżyca osrebrzonej toni szły przytłumione oddechy warem kipiącego życia: czasem głuchy i oderwany pomruk; czasem rechoty i kwiki; jakiś trzask łamanej gałęzi, jakieś tupoty przyciszone; to znowu nagle niby ludzki śmiech złowieszczy i spazmatyczny, to wrzask bolesny, krótki, gardlany, jakby kończącego się tragicznie czyjś życie. Zdarzały się i tłumniejsze, wrzawliwsze odgłosy gromadnego kłębienia się, szamotania, tupotania, porykiwania, jakby pochodzące z odległej walki.

Przyrodnikowi, przywykłemu do ścisłego wnioskowania, nie roilo się w głowie ani o leśnych bóstwach, ani o Dianie łowczyni, z gronem słuzebnicze przebiegającej leśne odłogi, ani o rogatym Satyrze, który na kosmatych łapach goni Nimfę, zwodzi, przedrzeźnia, wabi... Wprawne jego ucho rozumiało mowę puszczy; czujnie nasłuchując, rozmyślał:

— Wszystko tu wre teraz żywiołową żądzą jadła i rozplodu: o to stacza krwawe walki, tem żyje i kona. Maciora włoczy się z warchlakami, klamsając uzbrojonym w szable gwizdem, ryjąc w mchach za robactwem, gotowa z fukiem, kwikiem i chrukanem każdej chwili stoczyć walkę z wilkiem, rysiem lub chytrym lisem. Nurza się dla ochłody w bagnisku. A gdy lekkomyślne warchlaki różne stroją żarty i bawią się, pokwikuując, ona czuwa i nie żartuje w niebezpieczeństwie. — Żerują w nocy także sarny z kozłętami swemi i siutkami, wyszedłszy z gęstwiny, w której za dnia były zaszyte; żerują i jelenie, którym majowe pączki i łodyżki najmilej pachną w nocy. — Niedźwiedź zapewne teraz wesele odprawia, może kąpielą się chłodzi lub wdrapuje za pszczelnym miodem pod dziupło —



smakosz. — Wilczyca liże swój świeży pomiot w norze, gdy włóczęga samiec gnuśnie z komyszów łązi w komysze, podkrada się i morduje słabszych od siebie, choć mu głód nie doskwiera w lecie — rozbójnik. — Chytry, podstępny, żarłoczny lis nie dba o swą sukę, która w norze pielęgnuje majową gromadkę ślepych szceniąt. Powoli,

ostrożnie sznuruje, rozglądając się na wszystkie strony, czujnie łowiąc uchem każdy szmer podejrzany, węsząc po zaroślach, czolga się śladami szaraka, przepływa bagna, chciwie pożera dżdżownice, wszelkie larwy i chrabąszcze, spadające z liści drzew, podpełza pod ptasie gniazda, lub na brzuchu leżąc w mchach, godzinami nieraz cierpliwie czeka na nieostrożną ofiarę. — A ryś? Ten w północy przez cały dzień leżał bezczynnie w swej norze. Teraz po długim czatowaniu zoczył sarniątko, żerujące obok matki; olbrzymim skokiem rzucił się, nie chybia na włos, wbija zęby i pazury w arterję szyi i czeka, aż ofiara z charczeniem skona; wtedy dopiero wacha ją z pomrukiem zadowolenia i merdaniem ogona, obraca, lubuje się, zanim krwawą ucztą pysk i pazury pobroczy. A ten głos przeraźliwy, złowrogi, niemiłkający od zmroku do świtu, wstrząsający nerwami przesądnych: „Puhu! puhu! puhu!” Znam cię, samotniku ponury. W pierzynie własnych piór, nastroszony od usznej małżowiny do pazurów, siedziałeś ukryty przed słońcem i nienawidzącem cię ptactwem gdzieś w ciemnym dziuplisku; teraz straszysz leśnych mieszkańców puhanem i — cichym, złodziejskim lotem zakradasz się do gniazd czyżyków z żółtą główką, do siedzib gawronich na jesionach, między gałęzie wiazu, kędy śpią zięby w misternych

domkach, między konary buków i dębów, gdzie szukasz mocno zbudowanego gniazda sroki. Biada uspionym i nieostrożnym. Bez litości rozerwiesz gniazdo, rozedrzesz pazurami i stare ptaki i nagie pisklęta, ale krwią ich i ciałkami nie nasycisz się. Przez całą noc będziesz tak tropił kuraki, gołębie, wrony, kruki, króliki, myszy, szczury, jeże, odnosząc część połowu do dziupła dla żarłocznej swojej dziatwy. Ledwo wysunie wiewiórka głowę z nory, myśląc, że postyszała pierwsze hasło poranku, głośnie „cza — cza“ kosa: wnet wrzisz w nią swoje pazury i na kawały rozedrzesz. Będzie miała nieszczęsna tyle tylko czasu, aby wrzasnąć przed skonaniem. Zajączek tak troskliwie wyszukał sobie miejsce na nocleg w łopuchach, paproci i pokrzywach; musiałeś go i tam wytropić, zdradliwie podejść, wbić mu ostre szpony w futerko szyi, porozdzierać na kęsy. Poczekaj; za-



nim noc minie, zanim pierwsze promienie słońca przedrą się przez konary, zanim się ukryjesz w norze, będziesz ty ze wściekłym kichotem, parskaniem i kłapaniem dzioba uciekał w śmiertelnej trwodze przed samosądem, zrozpaczonego ptactwa.

Ba, niegorzej od puhacza hula także ruda, z białym brzuchem, jak wąż zwinną, od lisa chytrzejsza, od rysia zuchwalsza, delikatna, ale jak wampir krwiożercza kuna. Kiedy sypia ten zgrabny, jak duch chyży i lotny twór leśny? Rzuca bystro skośnemi oczkami, węzowym ruchem zwija aksamit futerka, cicho, zdradliwie podpełza, rozglądając się, przystając w ciszy nocnej: oto kos siedzi w gnieździe na różowych ciałkach

piskłat. Jeden nagły, drapieżny rzut — już kos chrapiąc, kona; a kuna krew z rozkoszą żłopie, w braku krwi ptaków i piskłat, wysysa jaja. Od jednego gniazda pełźnie do drugiego i tak bez końca.

Nie bóstw leśnych te stękania, te urwane wrzaski, te tłumione westchnienia, chroboty i tupotania, dochodzące z oświetlonej księżycem puszczy. Tak dyszy dzikie, pierwotne, surowe tętno serca natury.

W podobnych myślach pogrążony był doktor Adam, zanim kilka godzin przed świtaniem nie zerwał się ze snu Jerzy, aby wyręczyć ojca w czuwaniu.

Jerzy nie o zwierzętach, ani o naturze myślał; raczej poprawiwszy dogasające ognisko, układał sobie plany założenia trwałej nad Tonią sadyby: jak dom naprawi i ostrokołami ubezpieczy, jak orną rolę wydrze puszczy, zasiewy poczyni, zasoby mięsa i skór nagromadzi na zimę, jak z małej kolonii leśnej zbuduje początek większej ludzkiej siedziby. Z tych rozmyślań i marzeń wyrwał go przed świtaniem Franek, który, zerwawszy się ze snu, ziewając i przeciągając się mówił:

— Zimno. Co tu siedzieć będziemy po próżnicy? Możeby na polowanie w bór, albo co, bo i pan doktor mówił, że trzeba.

— Dobrze — zawołał Jerzy — chodźmy, przyda się jaka zdobycz.

— Traficiby nam na tokowisko głuszców — zauważył Franek.

— Nie czas na mitręgę i łatwo zabłądzić. Weźmiemy, co się zdarzy, i zaraz wrócimy. Zresztą głuszce nie tokują w maju, lecz z pierwszą wiosną, zaraz po zejściu śniegów.

Szli tedy cicho z psami, skacząc po korzeniach i przełaząc przez omszone zwały; psy zrazu krążyły w różne strony, jakby naradzając się, wreszcie pomknęły prędko, przystając czasem na chwilę i oglądając się. Trwało długo, nim stanęły wyprężone w podszyciach lasku brzoźowego. Więc myśliwi podchodzili, ostrożnie stąpając, by nie zaczepić o krzaki, nie nadeptać suchych liści i patyków, nie potrącać o pnie i korzenie. Słaby majowy wietrzyk wiał im w oczy. Dobrze. Podpełzli pod stanowisko psów, mając widok z za krzaków na małą polankę; ciemno, trochę mglisto, nic nie dojrzeć, nawet konturów brzoź okalających, słysząc tylko cichy czasem łopot i nic więcej. Oparli się o pnie brzoźowe i czekali. Nowy łopot. Cóż się tam dzieje na polance? Ba, łopotanie powtarza się coraz częściej, słysząc je ze wszystkich stron, jakby z drzew sąsiednich zlatywały jakieś ptaki, wszystkie na ową polankę. Wreszcie poczynają dochodzić także inne odgłosy, jakby syczenie przytłumione, jakby gulgotanie, wreszcie jakby przeciągłe i ciągle powtarzane „tszio-y“, a potem „rutturu, ruttu, ruiki-urr-urr-urr-rutturu-ruttu-ruiki“, namiętne, gwałtowne, szybko powtarzane, spływające się w jakąś dziwną gamę gardlanego gruchotu.

Odrzucając poznali obaj myśliwi, że stoją przed zaczynającym się tokowiskiem cietrzewi.

Zaczęło się powoli szarzeć, już można było rozróżniać kontury drzew. Łopotania i gruchotu coraz więcej, już rozróżnić można było ciemne zarysy ptaków, ogony lirowate, prostopadłe rozwinięte, jak wachlarze, głowy i szyje do góry wyprężone, spuszczone loty, pierze nastroszone. Skaczą tu i tam, czasem w koło, bijąc skrzydłami i kręcąc się szybko, jak frygi. Wreszcie tokowisko zmienia się w dziką, namiętą walkę. Pary rzucają się zajadłe na siebie, skaczą prostopadłe do góry, usiłując dziobać się i drapać; tu i ówdzie zwycięzca ciągnie zwyciężonego, dziobiąc, puszcza i znowu namiętny, triumfalny zawodzi taniec. Zgiełk, łopot, wrzawa, czyrykanie i turkotanie wytwarza jakiś dziwny chaos. Pierze leci w górę. Gdy szalone tempo tokowiska i walki zwątleje na małą chwilę, słychać z ubocza miłosne kwokanie ciecioriek, spokojnie żerujących za polanką. Więc wściekłe koguty wszczynają jeszcze gwałtowniejsze tany i boje, aż cała polana zakotłuje wrzawą i jednym skłębionym wirem.

Jerzy dał znak Frankowi, bo się już tak rozwidniło, że można było rozróżnić czerwone róże nad oczyma kogutów. Huknęły dwa strzały, zerwała się wielka chmura czarnych ptaków, psy poskoczyły do dwóch, leżących na polanie bez życia.

— No — zawołał Franek — ucieszy się paniusia, bo te zajadłe juchy smaczne mają mięso; a jakie ogoniaste, jakie lśniące zielone na piersi pióra!

— Czempredziej wracajmy — zawołał Jerzy — już nas pewno niecierpliwie wszyscy czekają.

Jakoż gdy wrócili, wszyscy już gotowi byli do dalszej drogi.

— Czemuście mnie nie wzięli? — skarżył się rozżalony Zygmus.

— Nie było czasu — uspokajał go Jerzy.

Ražno tedy oskubawszy i wypatroszyszy koguty, przytroczyli je do wozu, aby skruszały, wzięli ranny posiłek i puścili się w dalszą drogę.

Dzień był pełen przygód. Ledwo parę wiorst ujechali, gdy zauważyli ze zdziwieniem jakiś niezwykły ruch, niepokój i wrzawę leśnego ptactwa.

— Coś się tam w powietrzu dzieje — mówił Franek — bo patrzcie, jak sroki, wrony i kruki wrzeszczą, kraczą, to ku nam podlatują, to przysiadają na gałęziach i znów z krakaniem krążą niespokojnie. Wartoby podejść owo ku tamtej polance, skąd lepiej widać.

Rzeczywiście z polanki dojrzeli całe roje różnego ptactwa, nietylko wron, kruków i srok, ale także giłów, barwnie upierzonych, makolągiew, zięb, sikorek, raszek, szczygłów, a wszystkie one kłębiły się w dziwnym rozdrażnie-



niu, krzyczały, krążyły, najgęściej skupiając się koło jakiegoś ciemnego ptaka, w którym z tłumu napastników ledwo poznać można było puhacza.

Znienawidzony przez ptactwo puszczy, wytrzeszczył ślepie, nastroszył pierze, skurczył się i prawie biernie poddawał cioson nacierających, których pazury i dzioby wydierały mu pióra i do krwi raziły.

— Sprawdziły się moje przewidywania — zauważył doktor — puhał, przez całą noc krew żłopał, teraz słońce go wydało, a ptactwo dobije. Niósł wilk, ponieśli i wilka. Ginie od tej samej broni, którą wojował.



— E, proszę jegomości, każda leśna bestja tak wojuje, ale nie każda tak głupio ginie.

— Nie każda na cudzą krew tak łakoma.

— I to prawda.

Niedługo potem byli świadkami innej tragedji leśnej. Nad głowami ich załopotały szerokie skrzydła i jak błyskawica spadł nagle sokoł na gniazdo jakiegoś ptaka, może kosa, uczepione na konarze drzewa. Już szpony miał utopić w ciele ofiary, gdy wtem jakby go coś gwałtownie w bok odrzuciło: uczepił się jednym szponem u konaru, a drugi groźnie nadstawił w pogotowiu. Gdzie i co mu grozi?

— Patrzcie, patrzcie — zawołał Zygmus, palcem pokazując sąsiedni konar.

Tam przykucnął na zadzie inny drapieżnik: kuna. Rudy grzbiet w łuk zgięty, płaska głowa na wyprężonej szyi lśni skośnemi oczkami, jak ostrzami szpad, dwa rzędy ostrych zębów wyszczerzone... nagle jak grot, rzuca się w pierś sokoła. Zachwiał się, załopotał skrzydłami, omal nie runął od silnego ciosu. Wnet odzyskawszy równowagę, gwałtownie wbija szpony w grzbiet kuny i unosi ją w górę. Skręciła się, jak żmija, pazurem i zębem wściekle szarpiąc unoszącego ją wroga. Zwarli się w jeden kłęb bezkształtny i razem bez życia po gałęziach spadli. Jak straszna, jak zaciekle była walka, można było poznać po ich poszarpanych i krwią zbroczonych ciałach.

— Cóż jegomość na to powie? — spytał Franek doktora.

— Jak świat, stara o byt walka.

— Niby jak z Polakiem Tatarzyn.

— Coś podobnego, jeno że Polak bronił swego gniazda, nigdy nie napadając po zbójce na cudze.

Jechali dalej, czasem prędzej, gdzie miejsce było wolniejsze, częściej krok za krokiem, omijając gęstwiny lub olbrzymie omszone wykroty, sterzące korzeniskami w górę, jak potworne kraby. Niekiedy omijać musieki zapadłe, zachwaszczone i przepastne bagna.

Ale przed południem, szepnawszy coś doktorowi, wydobył pomysłowy Franek sznur i blaszankę z fury, odczepił psy ze smyczy i oddalił się, ciągle spoglądając ku wierzchołkom drzew.

— Tylko żwawo — wołał doktor — gdyż po południu nie będziemy czekali.

— Skoczę na jednej nodze — zawołał Franek.

Psy, puszczane na wolność, jakby poszalały z radości, towarzysząc Frankowi w skokach i poszczekiwanii.

Tymczasem Zygmus, zląszy z fury, zbierał borówki i poziomki, nie tylko do własnej buzi, ale także do łubianego mieszka.

Po zwykłym południowym wypoczynku miano już jechać dalej, gdy szczekanie psów oznajmiło powrót Franka. Jakże się jednak przerażono, zobaczywszy twarz jego czerwoną i obrzmiałą, tak, że trudno go było poznać.

— Obcałowały mnie godnie, szelmy; za to mam pełną blaszankę miodu. Byłbym cały rój zabrał. Cóż? Nie było w co. A siekły rozjątrzone, aż strach, takie gady!

— Któż na pszczoły idzie bez siatki i dymu?

— Najgorzej, że gniazdo miały bardzo wysoko, w dziurze sosny. Bez sznura byłbym spadł dziesięć razy.

— Ale Franek wyprzystojniał, no! — śmiała się Hania.

— Wzdy przystojnościm nie szukał, bom ją miał; miodum szukał. Śmiano się, ale miód wszystkim smakował. Odczuwano tylko z przykrością brak świeżej wody, której zapas się wyczerpał.

Tak bez przygód już jechano do nocy. Franek buzię w braku octu wysmarował jakimś tłuszczem i świecił, jak księżyc w pełni. Humoru jednak nie stracił; podśpiewując szedł krok w krok to za doktorem, rozglądającym się za roślinami leśnymi, to za Zygmuśm, zbierającym jagody.

Noc zapowiadała się pogodna i ciepła. Upieczony kogut był wyśmienity; przegryzano go chlebem; na wety zaś uraczyli się wszyscy jagodami i miodem. Zaraz po wieczerzy zasnęli snem twardym, mocno już podróżą zmęczeni. Tylko mrukliwy Hryć, czuwał przy ognisku, paląc lulkę i spluwając często, jakby pogardliwie.



V.

ŁOŚ — MODLITWA NAD TONIĄ — WYWIADY I PLANY

W czwartym dniu podróży dojechano pod wieczór do długiego łągu, po którym sączył się leśny potok, a były ślady, że tędy szedł szlak handlowy ku północnemu wschodowi. Inny tu był charakter gruntu i lasu. Drzewa przy potoku rosły rzadziej: łożyna, olchy, na suchych miejscach całe laski białej brzozy, moc także leszczyn z zielonemi zawiązkami orzechów. Parę razy dostrzeżono zdaleka pasące się sarny, które wnet pierchły spłoszone, jak boginie leśne; w jednym miejscu kazał doktor taborowi cicho stanąć, zauważył bowiem szczególne zachowanie się psów, wietrzących zwierzynę; sam, podszedłszy z Frankiem kilka stająn, zatrzymał się, bacznie śledząc odległe zarośla. Jakoż niebawem zauważono między szaremi gałęziami olszyny w odległości kilkuset kroków niewyraźny ruch, jakby poruszających się gałęzi, któremu towarzyszyło dziwne postękiwanie, poczem nagle silnie poruszyła się gałąź i wychylił z gęstwiny potworny, rosochaty łeb z długą, rozczochraną brodą. W tejże chwili łeb podnosi się w górę, prostują się łyżki, najeża grzywa, jak ogromna szczotka. Zwiertzył, grzebie silnie przednimi badylami, zachrapał i pierzchnął, jak majak. Słysząc tylko oddalony tętent i trzask łamanych gałęzi całego za przewodnikiem uciekającego stada łosi.

— Szkoda — mówił doktor — piękna to zwierzyna; gdybyśmy mieli wiatr ku sobie, wyszłoby całe stado.

— Jeżeli jegomość zawsze chce tylko oglądać zwierzynę, nigdy nie polując, to nam szkoda drapać się do tych Toni! — zauważył Franek z goryczą.

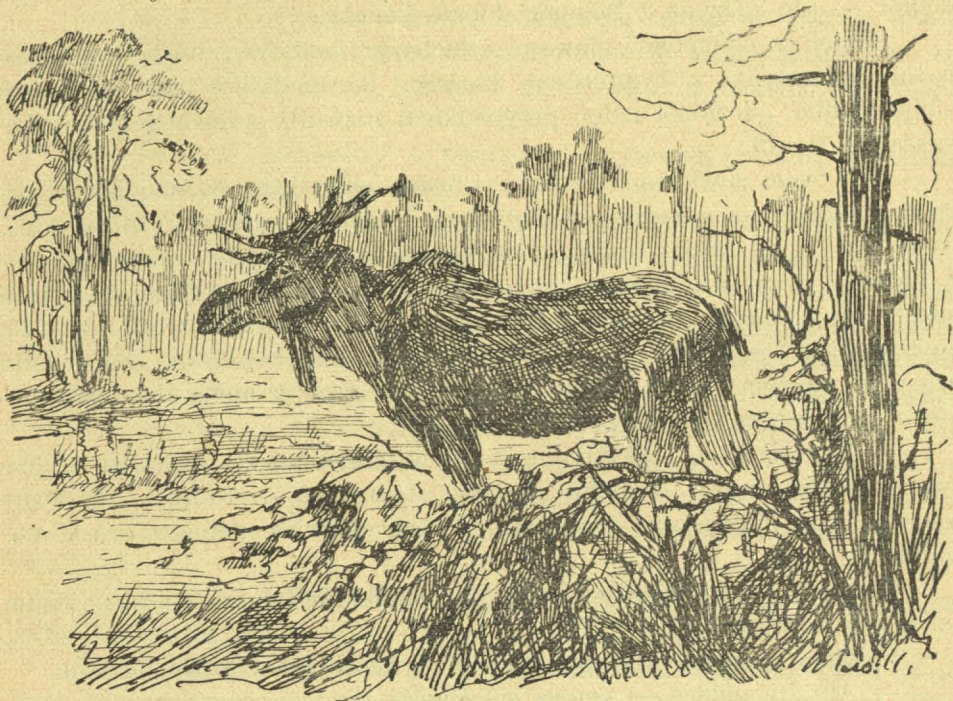
— No, nie rozżalaj się, Franku. Podejdziemy jeszcze, gdy trzeba będzie, i łosia i żubra i odyńca i niedźwiedzia.

— Bo i pewno! Psy aż ze skóry wyłażą, czując wszędzie świeże tropy, a my nic, jak baby.

— Cóżbyśmy teraz robili z łosiem? Nawet skóry nie zabrać na wóz, suszyć mięso — brak czasu, zabić zaś, żeby rzucić, grzech.

— To prawda, jeno, widzi jegomość, łapy swędzą.

— To je sobie potrzebę o korę drzewa.



Ražno już odtąd jechano równym i miękkim ługiem po trawie przez kilka dni, nie spotykając nigdzie ani żywej duszy ludzkiej, tylko zwierzyny wszędzie pełna była puszcza. Dotarli wreszcie do większego potoku, płynącego przez szerokie moczary i bagna ku wschodniej stronie jeziora. Tu, jak zapewniał Jerzy, tyle było topielisk i młaków; tyle oparzeliska, wykrotów i zwałów, że nic innego nie pozostawało, tylko skierować fury ku północnemu zachodowi, kędy grunt był wzniesiony i suchszy. Przeszywali się tedy przez bujnie pokrytą puszcę drzew liściastych, tak miejscami gęstą, że po całych dniach nie rozstawali się z siekierami, mozolnie torując sobie drogę. Ciężka to była i żmudna podróż. Pomęczyli się ludzie do cna, krowy potraciły mleko, koniki ledwo nogami włóczyły.

Wreszcie któregoś poranku z radością spostrzeżono smugi jasnej przestrzeni, prześwietlające coraz więcej z za konarów i liści; gdy podjechali dalej, wychyliła się szeroka na całe mile, jak kryształ jasna toń jeziora w dalekim widnokręgu ze wszystkich stron okolona czarną ścianą puszczy. Rozradowali się, jakby na widok obiecaney ziemi, olśnieni błękitem wód i blaskami słońca, którego pełni przez czas podróży byli pozbawieni.

— Słońce! Jezioro! — wołał z zachwytem uszczęśliwiony Zygmus.

— Właśnie dziś niedziela — mówiła Hania — z czego dobra dla nas wróżba na przyszłość. Możeby modlitwą uczcić dzień Bogu poświęcony i pierwsze nasze przybycie na nową siedzibę?

— I owszem, i owszem, Hanuś! Dobra myśl i rozsądna — zawołał doktor — kto zaczyna z Bogiem, dobrze kończy.

Stanęli z odkrytymi głowami, słuchając modlitwy, którą Hania nabożnie odmawiała z Zygmutem, klęcząc. Po modlitwie zaś, wyjąwszy biblię Wujka, odczytała ustęp przypadkiem rozwartą z ewangelji św. Łukasza XI. 9—13:

„I ja wam powiadam: Proście, a będzie wam dano; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzono. Albowiem każdy, który prosi, bierze; a który szuka, znajduje; a kołaczącemu, będzie otworzono. — A któryż z was ojca prosi o chleb, izali mu da kamień? Albo rybę, izali miasto ryby, poda mu węża? Albo jeśliby prosił o jaje: izali mu poda niedźwiadka? — Jeżeliż tedy wy będąc złymi, umiecie dawać dobre datki dzieciom waszym: jakoż daleko więcej ojciec wasz z nieba da *ducha dobrego* tym, którzy go proszą?“

— Zauważcie — mówił doktor — że w tym cudownie pięknym ustępie ewangelji jest mowa o datku ducha dobrego, a to jest zaprawdę wszystko, co najlepszego być może i o co człowiek jedynie prosić powinien.

Teraz zaś trzeba nam odszukać owe smolarnie i domy z szopą, zanim nadal coś postanowimy.

Niedługo szukali, gdyż położenie budynków znane było Jerzemu.

— Ależ to pałace — śmiała się Hanka.

Po obejrzeniu zgodnie uznano, że baniaste smolarnie nie zdadzą się nawet na tymczasowy postój dla krów i koni. Również inne budowle wydały się wszystkim opłakaną rudera. Jeden Franek począł je przesadnie wychwalać.

— Rudera, nie rudera — wołał. — Prawda, wiatry i burze zniosły część dachu, lecz wiązanie tu i tam zostało. Podwaliny na podmurówce zdrowe są i mocne. Jakieś] licho porozwalało drzwi i dyle w ścianach, spadło także oszalowanie sufitów. Nic to! Dębowe bale i słupy stoją twardo. Widzę, że dom mieszkalny budował cieśla, nie żaden fuszer. Gorzej z drugą połową na stajnie i szopy. Nic to! Za jaki miesiąc grzecznej pracy, z tej rudery wystrugamy sobie na zimę siedzibę, jak cacko. A samo położenie budynków jakże się wydaje jegomości?

— Widzi mi się wcale niezłe. Front ku słońcu, tyły od wichrów zakryte drzewami, widok na jezioro, miejsce suche, blisko źródółko wody... Wcale, wcale niezłe.

— Gdyby był ganek jeszcze... — dodała Hania.

— Fraszka ganek — mówił Jerzy — pilniejsze piece, piwnica, ostrokoły...

— No, naradzimy się jeszcze, jak te pałace odbudować — zawołał doktor. — Tymczasem pójdę z Jerzym obejrzeć najbliższą okolicę, a wy tu zajmijcie się posiłkiem i noclegiem. Zdrożeni jesteście strasznie i co rychlej nam trzeba posilić się i wyspać.

Po odejściu doktora z Jerzym, zabrała się reszta do żwawej pracy. Krowy i konie poszły na trawę, wozy wtocono do szopy, gdzie dach się dochował. Nazbierano potem łomaków na ognisko, a suchych liści i szwaru na podściółkę.

Pod wieczór, wróciwszy z wycieczki z cyranką i wodną kokoszką, opowiadał doktor przy wieczerzy:

— Ziemia po tej stronie jeziora tak rodzajna, że po wykarczowaniu można będzie zasiać nawet pszenicę i zasadzić cebulę. Dalej w dwóch miejscach widzieliśmy przednią glinę na cegły, może i na garnki. Wyżej zaś, gdzie sterczą pagórki, jest wapień, jest przy brzegu suchy piasek, znalazłyby się także gipsy i kreda. Po prawej jeno stronie, kędy między szuwarami upolowaliśmy kaczora i kokoszkę, grunta są torfiaste, mokre i kwaśne, do uprawy na nic. Nawet łąki tam zgoła złe: same turzyce, sity, sitniki, skrzypy, jaskry, firletki, storczyki, stokrocie, osty, ostromlecze, kaczynce, wodne mięty, niezapominajki, podbiały, szczawie — a to wszystko podle gatunki łąkowe, dla bydła nieprzydatne. Widziałem nawet wilka łąkowego.

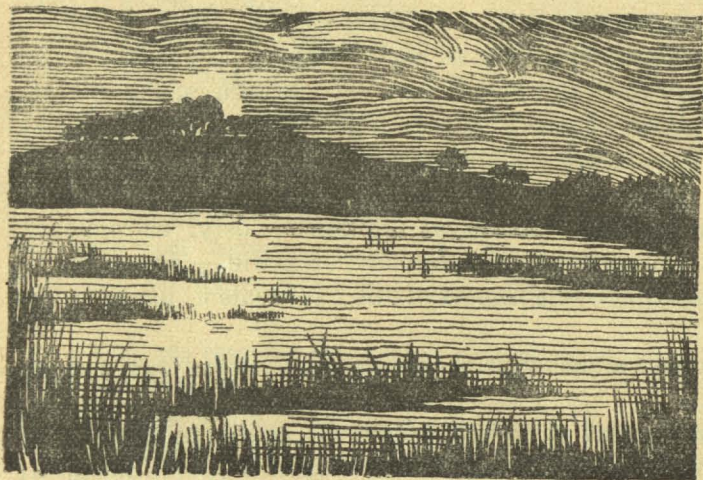
— Jegomość jednak z zachwytem całe katalogi nazw teraz wylicza, jakby skarby odkrył.

— Ty, Franku, nie znasz się na tem. Mówiłem: dla bydła tylko na pokarm nieprzydatne. Ale żadnej niemasz rośliny bez wartości. Uradziliśmy z Jerzym cały nasz wysiłek skierować ku wykarczowaniu lasu i zarośli po lewej ręce o parę stąd stajań, gdzie też są dawne ślady wycinania i dużo pieńków. Po zbiór siana trzeba nam pójść znacznie dalej w lewo aż ku ruczajowi, nad którego brzegiem przednie widziałem trawy: wyczyniec, kostrzewę, owsik, tymotkę, sporo manny, konicze czerwone i żółte, lucernę, wykę, groszki, żyłonce, pietruszkę, sporek, kminki i babkę.

Roboty mamy, jak widzicie, moc, nie wiadomo, od czego zacząć, wszystko pilne, wszystko trzeba zrobić przed zimą. A to zważyć, że do takiego dzieła nie tylko rąk, znajomości i ochoty trzeba, czego nam nie brak, ale także roztropnie obmyślanego planu, karność i ład, aby wszystko było skończone, bez niepotrzebnej utraty materiału, czasu i siły. Napatrzyłem się porządnej pracy ludzi w północnej Ameryce i sumiennie powiedzieć muszę, że trzeba nam brać ich za wzór sobie, bo tam aż kipi rozumna i energiczna praca; u nas zaś nawykli pono poczciwi ludziska marudzić, przerywać, bałagulić, żmudzić, przerabiać, naprawiać, spażniać się, wypoczywać, narzekać, oglądać się jeden na drugiego, rąk szczędzić, głową nie nadrabiać, spory i niepotrzebne dysputy prowadzić bez końca — słowem próżnować.

Jak tedy myślicie, jaki porządek naszej pracy ustanowić i jak ją rozdzielić?

Po naradach zgodzono się, aby jeszcze, póki czas, pozasiewać i rozsadzić niektóre nasiona, mogące na jesień wydać plony. Do tego zaś należało wszystkim bez zwłoki, odłożywszy inne roboty, zabrać się do wykarczowania i zorania potrzebnego szmatu roli. Franek miał codziennie przed świtem wybiegać na krótkie polowania z psami; Zygmusiowi poruczono pasać konie i krowy, zbierać jagody, nie broniąc łowienia ryb w jeziorze; na głowie Hani została piecza nad dziennym posiłkiem, nad domowym gospodarstwem, nad noclegami i nabiałem.



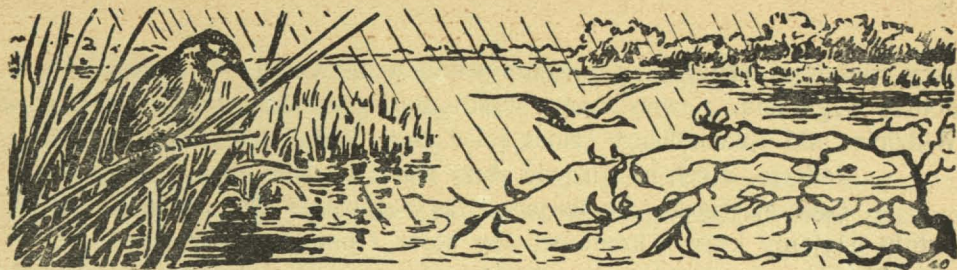
Przed spoczynkiem odezwał się jeszcze Jerzy w te słowa:

— Wprawdzie Królewsczyzna jest dla ojca i dla mnie. Ale my tam tej ziemi nie zjemy, zwłaszcza, że szmat jej okrutny, 3.000 morgów lasu, które samym sobie wybrać i wytyczyć wolno. Każdy pragnie mieć własne

gniazdo, na którem pracować mu najmilej. Bez tego szczęśliwym, ani do pracy chętnym być nie może. Więc Franek i Hryć po dwuletniej pocziwej razem z nami pracy i pomaganiu wytyczą sobie na własność z tej Królewsczyzny grunta, gdzie, jeżeli zechcą, i dom sobie zbudują i las wytrzebią, my zaś w miarę własnej do tego czasu zamożności pomożemy im do zagospodarowania się, jak oni nam teraz dopomagać będą.

Tak zakończono ów pierwszy dzień nad Dolną Tonia; a ponieważ zachmurzyło się po zachodzie słońca i deszcz zaczął padać: przeto konie i krowy zaprowadzono do rudery pod dach, gdzie dano im na noc naprędce naciętej trawy. Potem ułożono się w chacie do nocnego spoczynku.

Marna była pościel; wiatr hulał przez szpary i deszcz zacinał; ale zdrożeni, zmęczeni, do niewygód nawykli i zdrowi, zasnęli snem kamieniem, zwłaszcza, że kocami z wełny szczelnie byli owinięci.



VI.

KARCZUNEK — O POZIOMCE — RYBAK I RYBA — ŻYCIE OWADÓW W JEZIORZE — PIERWSZY SIEW — OBFITY PŁON ŁOWÓW

Zerwali się skoroświt nazajutrz, słodkim snem wypoczęci. Franek czemprowadził z psami i strzelbą pogonił ku moczarom wschodniego brzegu jeziora, ciesząc się widokiem szpar i ocz błękitu między powęnlionemi obłokami. Doktor z Jerzym i Hryciem, pośniadawszy, wzięli siekiery, rydle, motyki, piły i poszli na karczunek. Zygmusł dla krów i koni niedaleko szukał pastwiska, a Hania, jak pracowita mrówka, krzątała się około szopy i domu, by czemprowadzić wygodniejsze urządźć siedlisko.

Nie upłynęła godzina, już Franek był z powrotem, niosąc trzy piękne kaczory z głowami lśniąco zielonemi i białemi na szyjach obwódkami. Zaczem podśpiewując, z rydlem i siekierą szedł do karczunku. Tu nadobre już wrzała praca. Wykopywano ogromne pnie z korzeniami, trzebiono krze, podpiłowywano drzewa. Co przydatne było czy na opał, czy na budulec, oczyszczano z gałęzi. Gęsty dym buchał z kilkunastu korzeniastych, żywicznych pieńków, podpalonych dla przyspieszenia pracy.

— Szkoda, — mówił doktor, — smolne, zdałyby się na łuczywo. Cóż? Pora na zasiew późna, praca pilna. Musimy palić; ta zostanie korzyść, że popioły użyżnią ziemię. — Hej, chłopcy, nie marnować sił! Podeprzesz drągiem, łęj i prędzej pójdzie. W prawo, nie w lewo! Potoczy się własnym ciężarem. Dobrze! Nie tak nagle! Równiej, wolniej, nogi rozstaw, a oddechaj spokojnie. Kto zrana zaczyna galopem, pod wieczór lezie rakiem. Najlepiej w takt. Raz, dwa, trzy! Wskos, za włóknem rąbaj, nie wpoprzek. Unikaj sęka! Dobrze! Raz, dwa, trzy! Jak w marszu, łęj chodźć przy bębnie. Franek, podśpiewuj! Dobry humor, — połowa pracy. Kto przy pracy jęczy, podwójnie się poci. Hola, odsapnąć! Prawda, jak zdrowo krew krąży i do jadła wzbiera ochota? Niemasz nie tak dobrego, jako święta na roli lub w lesie robota: zdrowie krzepi, apetyt wzmaga, wesołość, sen twardy daje, a do tańczenia nogi podrywa. Czy raz widywałem, jak żniwiarze po całodziennym znoju tańczyć w dożynki do rana mieli ochotę, a tańczyli nie tak, jak owe po salonach rozlażte i do pasa obnażone damy, lecz aż

skry sypiąc w mazurze od przytupywania i hołupców. — Brawo, Hanuś, dobrze Zygmysiu, pewno nam obiad niesiecie! Czempredzej dawajcie! Widzicie, jaki chlasnęliśmy szmat roli? Za trzy dni orać i siać będziemy.

— Jedzcie, niech na zdrowie służy wam. Prawda, dużoście wytrzebili.

— Łatwiej poszło, bo tu przed laty smolarze już wycinali. Po południu użyjemy krów i koników, aby kłoce i pniaki wywlec.

Obiad, w cynowych przyniesiony naczyniach, dobry był i suty. Na pierwsze danie zupa z leśnego szczawiu, mlekiem zabelana i zasypiana jęczmienną kaszką. Czerpali ją ze wspólnej misy drewnianymi łyżkami, zwolna i równo, po kolei, chwając sobie bardzo, aż wyczerpali do dna.

— Niemasz — mówił doktor — jak drewniane łyżki, gładko wytoczone z bukszpanu albo lipiny; jeno każdy własną naznaczyć powinien.

Na drugie danie dostał każdy po pół kaczkę; starannie i równo upieczoną, na rożnie, w miarę posolone, smaczne były i tłuste. Każdy eżęść swoją ogryzał, trzymając w rękę i pomagając sobie nożykiem.

— Zdałby się chleb do kaczek, — zauważył Jerzy.

— Pewno — odezwała się Hania, — ale sam wiesz, że mąki mało mamy, a ziarno zachować trzeba na jesienny zasiew.

Na trzecie wreszcie danie podano każdemu sporą porcję świeżutkich, soczystych, wonnych poziomek.

— Cóż to za znakomite jagody — zachwycali się wszyscy.

Ale doktor, trzymając w palcach poziomkę, zwrócił się do Zygmysia z zapytaniem:

— Jak myślisz, ile owoców trzymam w palcach?

— No, przecież jedną jagodę.

— Jagody żadnej, mój drogi, poziomka nie jest jagodą.

— To jeden owoc.

— Bardzo pomyliłeś się, przeszło setkę.

— Nie rozumiem.

— Patrz, ile na wierzchu poziomki jest tych drobnutkich, stwardniałych kruszynek, tyle na niej owoców.

— To z każdej może wyrastać w ziemi nowa roślina poziomkowa?

— Nieinaczej, o ile te drobne owoce dojrzeją i rozsypią się, do czego poziomka i podobnym jej roślinom, jak głóg, szypszyna, jeryzna i inne, pomagają różne zwierzęta, które żarłocznie je zjadają, ale bardzo drobnutkich i twardych owoców nie mogą strawić.

— Powinnyby tedy bardzo prędko rozmnażać się.

— Tak też bywa, choć mnóstwo owoców ginie. Poziomka zaś rozmnaża się nie tylko z owoców, ale także przez wici, czyli pędy, wyrastające z listków tuż ponad korzonkami, z tych to pędów wyrastają nowe krzaczki.

— E, gdyby tak każdy zaraz rozbierał wszystko, co zjada, jak jego-mość, toby się i jeść odechciało — żartował Franek.

— Na rozbieraniu zasadza się każda nauka. Znałem uczonych, którzy woleli badać owoce, niż zjadać.

— Tacy chyba duchem bożym żyją.

— Są szczęśliwi, mając dla ciała mało potrzeb, a duch swój ustawicznie karmiąc. Ale i my dziś podjedliśmy sobie godnie, więc możemy iść do dalszej pracy.

— Jabym poszedł ryby łowić, gdyby ktoś na konie i krowy baczył — mówił Zygmus.

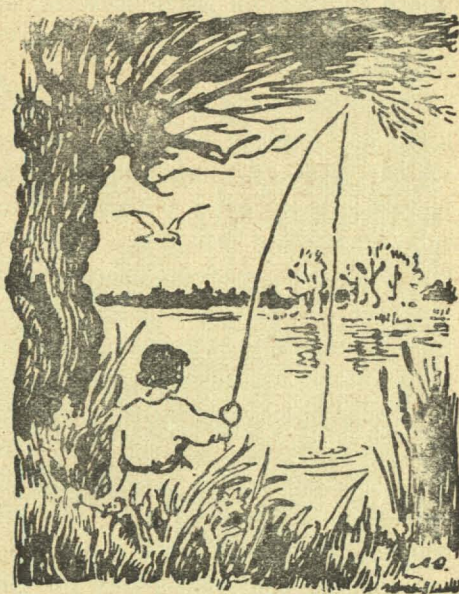
— I owszem — odrzekł Jerzy — krowy i konie tu przypędź, będą nam potrzebne. Byleś na wieczерę wieloryba złowił.

Zygmus tedy wyciął sobie wędzisko długie, równe, twarde i sprężyste; wygładził je starannie, przywiązał długi włosień z doczepionym na końcu haczykiem, dodał pławik z kory i miał gotową wędkę. Nazbierać dżdżownic przyszło mu łatwo. Ale najgorszą miał biedę z ich nasadzaniem; operacja ta przejmowała go tak wielkim wstrętem, że nie mógł się na nią zdecydować; dopomógł mu tedy Franek, który bez odrazy i mdłości zwiijające się w palcach glisty wbijał na haczyki. Lecz połów nie udawał się Zygmusiowi. Mądre ryby obgryzały robaka, ani myśląc połykać go z haczykiem. Krążył po brzegu, zarzucał w różnych miejscach i nic. Miał już dać za wygraną, gdy wtem pławik, gwałtownie szarpnięty, poszedł w wodę; dreszcz wstrząsnął rybakiem; pociągnął, omal z rąk mu wędki nie wyrwało... Trzymał oburącz i krzyczał, po kolana wciągnięty do jeziora... Wreszcie włosień pękł, ryba uciekła, rybak zaś z wędziskiem stał, otworzywszy usta ze zdumienia. I złość go brała, i płakać chciało się, i wstyd dręczył.

Przy wieczery żartowano. Może rzeczywiście był wieloryb. Dobrze, że nie połknął rybaka. Ba, rybołostwo niebezpieczne. Łatwiej łowić komary.

— Żmudny to sposób rybołostwa — mówił doktor — wymaga cierpliwości i niezrażania się byle niepowodzeniem; przedewszystkiem zaś trzeba, żeby rybak był chytrzejszy od ryby, co nie zawsze się zdarza.

Zygmus nic na owe żarty nie odpowiadał. Uprosił tylko ojca, by konie i krowy nazajutrz zabrał na karczowisko. Skoroświł, gdy wszyscy rozeszli się do zajęć, był już nad jeziorem i kilka godzin tam przepędził.



Jakich użył sposobów, nie wiadomo, dość, że przy obiedzie, gdy na drugie danie matka podała okazałe trzy karpie, przyjęte okrzykiem zdumienia, odezwał się skromnie:

— A co, kto chytrzejszy, rybak, czy ryba?

— Dziś rybak ani słowa. Ale wczorajsza ryba żartuje sobie w jeziorze z rybaka.

— Nie do żartów jej z haczykiem w pysku. Gdyby nie to wstrętne nabijanie glist na haczyki i patrzanie, jak się skręcają w męce...

— Nie dziw, że ci przykre; jabym tego nigdy nie czynił.

— I ja też nie będę.

— Użyj kawałków mięsa zamiast glisty. Zresztą, mój Zygmunsiu, zabijanie zwierząt jest wogóle okrucieństwem. Cóż dopiero powiedzieć o zabijaniu bez koniecznej potrzeby, dla zabawy, sposobami, które sprawiają zwierzętom najdotkliwsze katusze. Wbijanie glisty na haczyk jest straszliwą dla niej torturą. Pomyśl, w jakich mękach ta czująca istota musi konać.

Od świtu do nocy z krótkim tylko w południe wypoczynkiem przez kilka dni z rzędu pracowali, nim udało się wreszcie wytrzebić szmat roli, wystarczający do najpilniejszych zasiewów. A była to praca rzeczywiście w pocie czoła, gdyż strugami potu zlewało się im po całych dniach nie tylko czoło, ale całe ciało. Ręce i nogi omdlewały, oddech zapierało, a po każdym nocnym wypoczynku, zanim zimną kąpielą i dalszą pracą nie skrzepili mięśni i kości, bóle sprawiały taką mękę, że trudno wytrzymać było. Pomimo to wytrzymali i dobrze na tem wyszli; bo wreszcie mięśnie ich skrzepły, jako stal; apetytu i kamiennego snu zażywali z największą rozkoszą, a na ostatku już wszelkie wysiłki podejmowali lekko, wesoło, bez męki, ze śpiewaniem. Nawet Hryć, leniwszy z natury i bardziej ociężały, patrząc na przykład pracy doktora, Jerzego i Franka, rzadziej pokładał się do wypoczynku, żwawiej rąbał, kopał, dźwigał i stękał, tylko równie często, jak dawniej, pluł i pomrukiwał sobie pod wąsem. Mileżał zresztą, jak zaklęty; a gdy go Franek wciągał do rozmowy, przekomarzając się lub strojąc różne figle i żarty, spluwał ze złością, mrucząc:

— Przeklęty Mazur. Hadko słuchać. Jak but, durny.

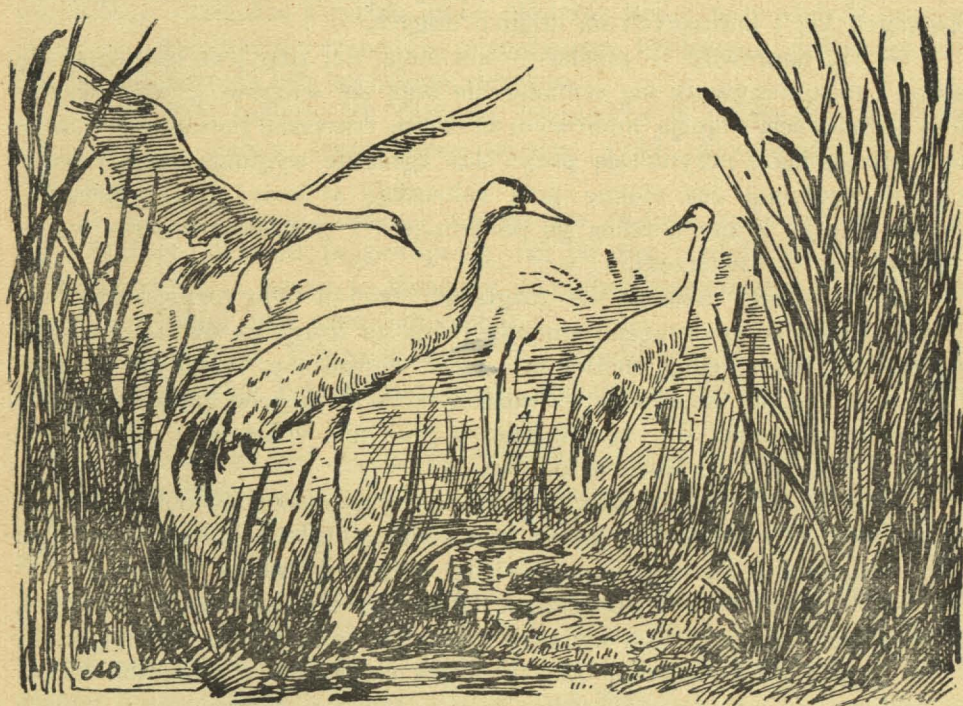
W tym samym czasie około smolarni, domu i szopy można było podziwiać liczne dowody mniej ciężkiej, lecz zapobiegliwej i cierpliwej pracy Hani; pod dachem już leżały sienniki, wypchane suchutką trawą, mchem i liściem; na słońcu suszyły się szerokie warstwy borówek; pod smolarnią okazała kopca suchej paszy dla krów i koni, obok druga — podściółki; w szopie stos porąbanego drzewa i łuczywa.

Zygmus, o ile krowy i konie można było zostawić pod innym dozorem, o ile nie pomagał matce, nie zbierał jagód, ani ryb nie łowił: bujał swobodnie po lesie lub brzegach jeziora.

Najchętniej zaś przesiadywał między szuwarami, trzcinami i tatarakiem: tam się przysłuchiwał ożywionej, różnogatności wrzawie i bujnemu kołłowisku błotnych ptaków i owadów.

Nietylko o wschodzie i zachodzie słońca, ale przez cały dzień boży z różnych stron moczarów i bagien rozlegał się dziwny, urywany krzyk, jak skrobnięcie pątyka po grzebieniu albo przecięcie powietrza biczem, krótkie: wuitt! wuitt!

— Znam cię — myślał Zygmus — derkaczu, inaczej chróscielu, choć nie mogłem dotychczas wysledzić twego gniazda, w trzcinach nad wodą



ukrytego. Umiesz ty szybko mknąć między żdźbłami za owadem, umiesz cichym lotem nietoperza pomykać między krzewami niegorzej od błotnej kurki, po nocnem polowaniu przez dzień śpiącej.

Cichutko podpełzał potem Zygmus nad dużą trzcinami okoloną zatokę jeziora, gdzie roiło się od stad dzikich kaczek. Już troskliwe starki wywiodły na wodę swoje podloty, a kaczory, o rodziny nie dbając, żerowały na własny rachunek. Jakie masy tego drobiazgu! Jak każde stadko wlot skupia się na głos starki! Jak to nurkuje, zwija się, krzyczy, podlatuje, żre i żre bez przerwy, nigdy nienasycone! Jak cieszy się życiem, choć ze wszystkich stron czyhają wrogowie: z góry sokół, jastrząb, krogulec, orzeł, a z wody wydra, chytry lis, wcale zręczny pływak, lub żarłoczny zbój, stary szczupak.

Lecz starka tyle ma doświadczenia i troskliwości, że można na jej opiece polegać. Przed szponami orla podlecą za panią matką w górę i tak długo latać będą z krzykiem, aż się sprzykrzy czekać dumnemu królowi ptaków, który nie chwyta łupu w locie. Przeciwnie przed sokołem, zawsze w locie polującym, skupią się na wodzie przy matce i poczną nurkować. Najtrudniej schronić się przed jastrzębiem, tym krwiożerczym, dzikim zbójem: jedyny ratunek zbić się w ciasną gromadę i łopotaniem skrzydeł zrobić gęstą chmurę z bryzgów, by zbój nie ważył się zbliżyć.

W innem znów, wyżej nieco wzniesionem i suchszem miejscu wytropił Zygmusć stado żorawi, cały dzień poważnie, wytwornie, zgrabnie bawiących się i tańczących na długich nogach.

— Te, doprawdy — myślał — ani sieją, ani żną, jeno cały dzień się bawią. Zabezpieczywszy się czatami, nie boją się wrogów. Z jakim wdziękiem i godnością stąpają miarowym krokiem, tanecznie poskakując! Jakie miny stroją, jakie przybierają pozy! Jak zgrabnie wyginają szyje i poruszają skrzydłami! Jak piękne koła zakreślają w locie! Nie, doprawdy! Porywa kamyk z ziemi, rzuca go podlatując i z powrotem chwyta w powietrzu! Nie do uwierzenia!

Nie wiedział, za czem się rozglądać, tyle tu było różnego ptactwa. Pospolite jaskółki nadbrzeżne śmigaly jedna za drugą za owadami. Zgrabne pliszki, ciągle jedną, monotonną pieśń zawodzące, mniej go zaciekały, niż błękitny zimorodek, poważnie, cicho stojący na gałązce i czyhający na rybę. Dziwił się, że ani dzikich gęsi nie widać było, ani czapli, zapewne śpiących po nocnem polowaniu.

Teraz brzuchem na suchym, nadbrzeżnym piasku się położy, wlepi wzrok w wodę i przypatrzy życiu tego świata, którego kolebką i grobem wola. Dziadunio tyle razy mu opowiadał o jego dziwach.

— Pamiętam: ów drobniutki, a tak szybko między rzęsami i białym, jak alabaster, lub złocistym kwiatem grzybieni mknący po wodzie punkcik — to poczwarka komara. Krętaki kręcą się bystro w tysiącach kólek, jak szalone. Na ogromnie długich nóżkach zwinnie ślizgają się i tańczą czarne, cieniutkie, podobne do komarów nartniki, z którymi w szybkości współzawodniczy szaro-żółty pluskolec! ten, nawznak leżąc, wiosłuje parą tylnych, długich, włoskowatych nówek, goniąc jakąś muszkę; już jej dopadł, już żarłocznie pożarł; oto przywarł teraz do małej płotki, z której krew wysysa. Tam czarna kałużnica wydobyła się z ciemnej dna toni na światło, jakby odsapnąć pragnęła po trudach roślinnej uczty; wnet jednak trwożnie na dno umyka; ba, pierzchają także w nagłym popłochu krętaki, muszki, komary, jętki, nartniki i inne drobiazgi; ujrzały widno tę dużą poczwarkę, jak wąż, poruszającą zielonawe pierścienie ciała o potężnej głowie i mocnych szczękach: — zbójceją larwę pływaka, która już wyciągnąwszy szczęki porwać miała larwę kałużnicy. Cóż to się stało? Skąd się ona tu wzięła? Ach, kałużnica go wyrzuciła z odwłoka w obronie za-

grożonego życia i uciekła. Larwa pływaka, doznawszy sromotnej porażki, chroni się czempredzej przed groźniejszymi jeszcze szczękami larwy ważki.

Tylko żaba, łypiąc ślepiami, rozleniwiona dosytem, grzeje się spokojnie na nadbrzeżnym piasku w/słońcu, czasem zaskrzeczy, jak brzuchomowca, lecz czujnie śledzi, czy gdzie w pobliżu niema bociana.

W kąpielu światła, w wilgotnych oparach między brunatnymi pałkami trzcin, nad sitowiskiem, nad grzybieniami, nad tatarakami pławią się roje lazurowych i szmaragdowych świtezianek, złocistych ważek i jętek jednodziówek: wszystko to, jak mówił dziaduś, kipi krótkim życiem, karmi się, tańczy, rozmnaża i rychło ginie, ale teraz brzmi w powietrzu muzyką szmerów, aksamitnych szelestów, melodyjnego brzęczenia, miłosnego szepiania, namiętnego lub bolesnego rozgwaru.

A na dnie samem, jak patyczki, bezpieczne w ochronnym, twardym futerale, leżą larwy chruścików, czasem tylko wystawiające główkę lub łapki.

A między liljami wodnemi niezdarnym ruchem przędzie sieci formy wywróconego dzwonu pajak-topnik; raz po raz wydobywa się, chwytając bańki powietrza i zanoszą je skrętnie do podwodnego mieszkania, aby tam na łup czyhając, miał czem oddychać.

A na suchych łodygach trzcin, na patyczkach, w piasku, wszędzie uśpione dojrzewają kokony poczwarek, czekając na chwilę wylotu w życie i słońce.

A na wodzie, pod wodą, na łożyskach babki wodnej, na krągłych liściach nenufarów bieleją suche, lekkie, próżne ich koszulki ze szparkami, przez które owad wyleciał. Bieleją, zanim w proch się nie rozsypią lub nie staną łupem mrówek.

— Więc takie życie to — myślał Zygmunt; — dobrze mówił dziaduś: krótka chwila szał. Cóżbym zobaczył, co usłyszał, gdybym od ducha puszczy zaczarowany mózg zmienić się w pajaka albo mrówkę. Prawdę mówiła mama: wszędzie, wszystko — cud Boży!

W głębi puszczy przyswoił sobie Zygmunt na własność różne rewiry i codzien zwiedzał je dla zbadania, czy nie zaszły zmiany. Tam, gdzie sterczy między zwałami grubych drzew ogromne, jak stożek siana, mrowisko, jest mrówek dziedzina. Wiedział, któredy przez komysze, szczeliny leśne, omszone doły przedzierać się do trzech dziupli, w których gnieźdzą się pszczoły. Ogromne po pas krzewy borówkowe w różnych miejscach rosły, lecz jagody nigdzie tak dojrzałe i wielkie, jak za strumieniem w obszarze, który sobie nazwał borówniakiem. Inne rejonu leśne ponazywał: leszczyniskiem, poziomkarnią, malinówką, orzyniakiem, topielą, wilczemi dołami.

Na jeziorze w dość znacznej odległości od brzegu widać było wyspę; dochodziły z niej odgłosy rojnego i gwarne go życia ptaków. Cóżby dał za

to, żeby tam cichutko dostać się; marzył o tem i dręczył Franka o czółno.

— Zrobię, ale później — mówił Franek — teraz nie mam czasu.

Tymczasem szmat roli wspólnym wysiłkiem pracy nietylko był wykarczowany, wyrównany, oczyszczony z gałęzi i wiórów, ale starannie zorany i zupełnie do zasiewu gotowy. Zasiać miano w sobotę rano owies, jęczmień, proso, zasadzić przywiezione rozsady jarzyn, nadto groch, tyczkową fasolę, nieco lnu, konopi i rzepy.

— Kupiłem także — mówił doktor — u żydów przed wyjazdem parę garncy bulw, zwanych ziemniakami; jadalna bulwa wyrasta w ziemi, łodygi zaś i zielonkawego owocu nie jada się wcale.

— Słyszałem o tych zamorskich bulwach, z których u nas śmieją się ludzie, że państwo teraz kucharzom gotować je każe, jak jaki rarytas. Ale to podobno paskudztwo.

— Mylisz się, Franku, nie paskudztwo to żadne. Jadłem je we Francji, posilne są i smaczne, ze słoniną zwłaszcza lub masłem. Mniejby ludzie przymierali z głodu, gdyby zapobiegliwsi byli i w każdej rzeczy szukali pożytku.

— Więc jakże wyrosną, gdy jegomość nie nasion, lecz bulw kupił?

— A jak wyrasta tatarak, lilja lub cebula? Wsadzi się do ziemi bulwę, z której roślina wyrośnie, puści w ziemi korzenie i nowych bulw namnoży.

— No, jegomość lubi nowości; zobaczymy, jaki wyrośnie pożytek z owych bulw modnych.

Skoroświt w sobotę cała rodzina kolonistów z końmi, krowami i psami znalazła się na świeżo zoranej roli.

Sianie i sadzenie odbywało się uroczyście, jak religijny obrządek. Bo też nad wyraz rozkosznie siać i sadzić na tłustej roli w pogodny poranek, kiedy rżęsy ożywczego słońca wypijają ostatnie krople rosy z drzew, traw i krzewów, kiedy ptactwo przyśpiewuje ludzkiej pracy, a płodna matka przyroda przyrzeka stokrotnie rozmnożyć sypane w jej łono ziarna. Czujesz wonczas, że nie na marne wytężyłeś ramiona i wstępuje do duszy najdroższy, najukochańszy gość — wesele. Tem radośniejsze ono, gdy pracy sadzenia i siania oddaje się zgodna gromadka, jednym losem, jedną myślą, jedną złotą przyjaźnią nicią powiązana.

Do południa pokończyli.

— Niechże pochwalony będzie Bóg i pobłogosławi plonom na pożytek! — zawołał doktor, obcierając spocone czoło. — Teraz wracajmy; bo głodno i kości bolą. Czy tylko znajdziesz, Hanuś, posiłek dla nas?

— Cóżbym to za gospodyni była — odezwała się obrażona.

Jakoż, gdy wrócili, dała Hanuś z zapasów suty obiad: misę kwaśnego mleka z tłustą warstwą śmietany na wierzchu, bochen razowego chleba, smaczny, choć już dobrze suchy; po kawale kaczora na zimno,

przechowanego od wczoraj; wreszcie dużą porcję poziomek i borówek na wety.

Każde nowe danie witano okrzykami zachwyty.

— Muszę wam jednak powiedzieć — odezwała się gospoia — że zaraz złożę obowiązki gospodyni, jeżeli nie przyrzeciecie zająć się domowym gospodarstwem. Bo jakże? Statków brak, piwnicy brak, komin rozwalony, wiatry po domu hulają... Mamyż żyć jak cyganie?

— Prawda, tak dalej nie można. Zajmiemy się oporządzeniem domu, stajni i szopy. Zaraz dziś po wypoczynku wyruszymy na walne łowy, aby zaopatrzyć pustą spiżarnię: Franek pójdzie ku sitowiskom z Chanem, my zaś trzej z Bejem w przeciwną stronę puszczy.

— Ja z Frankiem — począł wpraszać się Zygmus — na co Jerzy i doktor zgodzili się chętnie.

Po wypoczynku rozeszli się, jak było umówione. Na odchodnym wziął Franek sporą kobiałkę, uplecioną z brzoźowego łyka, worek i długą linkę.

— Najpierw — mówił — ściągniemy daninę od owych pszczół, o których opowiadałeś; potem zobaczymy, czy w wiewiórkach nie złapały się ryby; wreszcie upolujemy, co się trafi.

— Jakto? Nastawiłeś wiewiórki? Kiedy? Czemuś mi nic nie mówił? Skąd je wziąłeś?

— Nie chciały zrobić się same, więc je musiałem trzy dni temu ranniutko wypłatać z łoziny i zaraz nastawiłem. Nie gadałem zaś nic, aby za mnie gadały ryby. Chodźmy.

Zaprowadził tedy Zygmus Franka najpierw pod sosnę, w której gnieździły się pszczoły. Drzewo to stare było, wysokie, gładkie, a gniazdo pszczół w znacznej wysokości. Musieli kilkakrotnie zarzucać linkę z doczepionym na końcu ciężarkiem, zanim udało się przerzucić ją o mocny konar.

— Dobrze, teraz rozpalmy ognisko, byle nie podpalić lasu.

W mig nazbierane łomaki buchnęły płomieniem. Franek grubszy kawał suchej gałęzi zwęglił, dla ochrony przed pszczołami twarz i szyję owinał chustą, z kobielą w ręku zwinnie wdrapał się po linie na konar sosny. Tam kobiel przyczepił, linkę umocował i sam do niej się przywiązał.

— Przyczep mi żagiew do liny — zawołał — byle nie rozżarzonym końcem.



— Jakiś ty niemądry! — śmiał się Zygmus — no ciągnij.

Wnet Franek miał w ręku żagiew, silnie dymiącą. Rychło teraz dostał się do otworu i zaczął podkurzać. Niemal całe rojowisko opróżniło gniazdo, gniewnie brzęcząc. Fanek zaś, zagłębiwszy ramię w dziupło, dogadywał:

— Widzicie, mądralo, pełna u was dziura miodu, a dla nas nie? Powoli, nie gniewajcie się, zostawię i dla was, zanim do nas wszystkich na pańszczyznę nie przeniosę; ul wam dam wygodny, czysty, ciepły na zimę, poszycie ze słomy i opiekę dam, żyć sobie będziecie, jak w raju. No, dosyć, teraz jazda na dół. Zygmus, odczep kobiel, tak, chwyć żagiew i zagaś. Dobrze.

Zanim Zygmus miał czas obejrzeć w kobiele złote plastry, był już Franek na dole, opędzając się pszczołom, które go zaciekle ścigały.

W ten sam sposób wzięli podatek z dwóch innych jeszcze gniazd z pobliza i z pełną kobielą skierowali się w stronę jeziora. Czynnościom tym ciekawie przypatrywał się Chan, merdaniem strychulca i wywieszeniem czerwonego ozora wyrażając swoje zadowolenie. Teraz w poskokach pogonił naprzód, jakby zrozumiał, że i na niego przyjdzie kolej.

Ledwo weszli w sitowiska i trzciny, wnet zawarował. Podeszli. W pobliżu na jeziorzysku spokojnie żerowały stada kaczek, kwakaniem nawołując podlotki i z zadowoleniem beztroski raz wraz barwne głowy zanurzając w rzęsy. Wymierzyli obaj, rozległy się dwa strzały, pierzchły w popłochu stada, skoczył Chan i wnet myśliwi przytracali dwa okazałe kaczory.

Skacząc teraz po twardszych kępach, doszli do głębszej zatoki, gdzie pośród pni i łąchów zręcznie porozstawiane były więcierze. Rozebrał się Franek, wszedł po pas do wody, wyciągał więcierze i wkładał do worka obfitą zdobycz. Zygmus nie posiadał się z radości, gdy na suchym brzegu wysypali kilka okazałych karpí, dwa liny, cztery szerokie, jak talerze, karasie i mnóstwo drobiazgu, z którego część tylko wzięwszy do wędek, resztę wrzucili w wodę.

— No, mamy jeszcze parę godzin do zachodu — mówił Franek — szkoda wracać, gdy może się jeszcze co trafić; tylko musimy odejść za moczary, bo tu nasze strzały wypłoszyły zwierzynę.

Ledwo na nowo rozstawił więcierze, ubrał się i razem z Zygmuśm kilkadziesiąt kroków odszedł wzdłuż brzegu, gdy nagle Chan z głośnym szczekaniem rzucił się, jak szalony, w gąszcz tataraków, które zakotłowały od zajadłej walki. Nasi myśliwi, poskoczywszy za psem, zobaczyli dwa skłębione ciała: jedno Chana, drugie jakiegoś niewielkiego zwierzęcia z brunatną skórą, które z parsaniem, prychaniem i syczeniem zajadło się broniło. Po podłużnej, płaskawej głowie, po małych, lecz sypiących iskry oczkach, a zwłaszcza po krótkich łapach z błonami poznał Franek wydre. Walka jej z Chanem trwała długo. Jak wąż zwinnie skręcała się, usuwając

chwycić psa ostremi zębami za łapę, a równocześnie chroniąc własnej szyi; ale i pies był niegłupi, nie dał sobie łap odgryźć, wywijał się w sam czas i czyhał tylko na sposobność uchwycenia wroga za podgardle, czego dokonał wreszcie po długim, zaciekłym szamotaniu się, gdyż nie dorównując wydrze zwinnością i giętkością, przewyższał ją bardzo znacznie siłą fizyczną. Od tej chwili wydra napróżno wydzieraa się, skręcała, parskaa: kły psa wbijały się coraz głębiej w jej arterje, z których poczęła krew obficie bluzgać. Pies tak się rozżarł, że przemocą trzeba go było odrywać od konającej.

— Widzisz, jak ją oporządził, ale i sam podrapany i zmordowany liże się teraz i ledwie zipie. Futerko grzeczne, zdejmie, chociaż lepsze byłoby zimowe, ale z mięsa chyba Chan i Bej tylko mieć będą pociechę. Wiesz, Zygmus, jaka mi jeszcze myśl przyszła do głowy? Wartoby tu w pobliżu poszukać jej nory. A nuż znajdziemy małe?

— Cóż zrobimy z małemi?

— Jakto? Wychowamy, oswoimy i przyuczmy do łapania ryb. Co? Jak ci się to podoba?

Zygmus był zachwycony tym pomysłem. Nie zwlekając zaczęli starannie przeszukiwać wybrzeża, trafnie rozważając, że wydry gnieźdzą się zazwyczaj w norach, mających dwa wyloty: jeden w wodę, drugi od strony brzegu. Długo szukali bez skutku. Wreszcie i Chan, odpocząwszy, zaczął węszyć, jakby zrozumiał, o co chodzi, a powiodło mu się prędzej; przywarował obok korzeni starej, nadbrzeżnej wierzby, naszczekując i drapiąc łapami ziemię. Niestety rozszerzenie otworu w braku siekiery lub motyki okazało się niełatwe, musieli z wielkim mozołem wygrzebywać ziemię rękami i pomagać sobie podręcznymi nożami. Po godzinnym wysiłku dobrali się wreszcie do ukrytej pod korzeniami i wysłanej suchym mchem, liściem i igliwem pieczary, w której istotnie znaleźli dwie młode może dwutygodniowe wyderki. Skulone to było, drżące, ale już typiące ślepkami, zapewne dopiero od paru dni otwartemi, a teraz olśnionemi dziennym blaskiem.

Trudno opisać radość i zachwyty Zygmunia. Tulił je, głaskał, pieścił, obsypywał pocałunkami.

— Jakie ładne, łapki, pyszczki, uszy, ogonek, jakie lśniące i mięciutkie futerko, jakie ślepki cudowne! Moje dzieciны kochane!

— Ładne mi tam dzieciны! — zawołał Franek. — Taka dziecina, gdy wyrośnie, szerzy w wodzie więcej spustoszenia, niż ryś lub lis w lesie. Ale i tak szkoda, żebyś miał pozaduszać je z czułości. Chodźmy, trzeba jeszcze starą wydrę jakoś zabrać.

Z radością przyjęła wracających Hania, ciesząc się sutym łupem, a szczególnie z zachwytem pieszcząc wyderki.

— Co im tam z czułości — mówił Franek — niechno pani czym prędzej da im mleka, bo zdechną z głodu, a czułość nie posili.

— Wstydz się, Franek, jesteś bez serca.

— Nie serca im, jeno mleka trzeba.

Sto pociech miano przy karmieniu, zachwycając się okazywaną zrazu trwogą i dzikością maleństwa, a potem nagłą łapczywością, z jaką chleptały słodkie mleczko.

Ale z przeciwnej strony szczekanie Beja oznajmiło powrót reszty myśliwych; dźwigali oni na noszach potężnego kozła, szóstaka, i dwa roczne paciuki. Mocno umęczeni, złożyli swój ciężar, poczem usiedli, posilali się zimnem mięsiwem i opowiadali o swych przygodach.

— Zwierzyny tu istotnie wbród — mówił doktor. — Zagłębiwszy się w puszcę, wnet wypłoszyliśmy z barłogu maciorę z warchlakami i paciukami. Szelma Bej nie wytrzymał i nuż na warchlaka! Ten oczywiście w kwik, czem rozjuszona maciora, jak wściekła, ciska się na Beja i już, już byłaby mu szablami wypruła bebechy... Ale pies, gracz nieladajaki, w mig rzuca warchlaka i odskakuje piorunem w bok, kufą ku maciorze odwrócony; ta mija go w szalonym pędzie, zatrzymuje się, znów na psa ciska; pies powtarza swą sztukę, ujadając, a czyni to, szelma, tak zręcznie, że ani maciory nie traci z oka, ani się o pień drzewa nie potrafi, jeno coraz dalej rozszalała, fukającą i klamsającą maciorę odciąga w głąb lasu od warchlaków. Wnet Hryć i Jerzy zakłuli dwa paciuki czem prędzej, aby jak najmniej kwiczały. Widząc to maciora ciska się na nich, a tu Bej ją za uszy i trzyma z zaciekłością i siłą, podparłszy się łapami, wleczony, lecz przed ciosem jej pałasza bezpieczny. Nie mogliśmy strzelać, żeby przyczepionego, jak pijawka, psa nie trafić; odbiegliśmy jeno daleko i zaczęliśmy go nawoływać. Odrywa się zgrabnie i w skok ku nam. A maciora, czy wytrzeźwiwszy się z rozjuszenia, czy ze względu na resztę warchlaków z sapaniem i fukaniem poczęła je zgromadzać i obwąchiwać. Tak dobrze się tą razą skończyło. Lecz gra taka z maciorą niebezpieczna!

Potem wysłuchali opowiadań Franka i Zygmunia, pieszcząc śliczne wyderki.

— Będą — mówił doktor — zawiązkiem naszego zwierzynca.

Hania zajęła się kaczkami i rybami, mężczyźni, wypatroszywszy zwierzynę i zawiesiwszy ją u krokwi poddasza, ściągnęli skórę z wydry, a mięsem jej uraczyli Beja i Chana.

Na ognisku już buchał wesoły płomień, podsycany smolnem łuczywem, na płomieniu zaś w jednym naczyniu bulgotała jędra kasza z mlekiem, a w drugim smażyły się na tłuszczu smakowite ryby.

Jak zaś smacznie podjedli sobie i ułożyli się do snu, nie ma co opowiadać.

Ledwo usnęli, lunął rześisty deszcz, który padał bez przerwy kilka godzin, pluskaniem do tem mocniejszego snu kołyszac zmęczonych.



VII.

O CZUCIU ROŚLIN — SANITARJUSZE PRZYRODY — BUNT MRÓWEK

W niedzielę po wspólnej modlitwie wyciosali nasi koloniści krzyż i ustawili go w miejscu zbornem, Zygmus zaś zawiesił na jego ramionach wspaniałą wieniec z liści i kwiatów.

Po obiedzie oddano się wypoczynkowi i przechadzkom, doktor zaś oprowadzając wnuka po puszczy, pokazywał mu różne drzewa, rośliny i krzewy, sam niekiedy rzadsze okazy roślin chowając do zielnika.

— Po co to dziadunio chowa?

— W szkołach i wędrowkach po świecie naukowo badałem rośliny; część wyników ogłosiłem, resztę do druku przygotowuję, do czego materiały zbieram także w tutejszej puszczy. Czy wiesz, że rośliny wszystkie żywią się, oddechają, rozmnażają, żyją tedy i czują?

— Że oddechają i mają czucie, nie wiedziałem.

— Pójdziemy tedy ku łączce nad ów strumyk, wpływający do jeziora, tam znajdzie roślinkę, która o swem czuciu zaświadczy. Tymczasem coś innego ci opowiem, o czym pewno nie wiesz. Oto w powietrzu, w wodzie, w ziemi, w każdym miejscu są mirjady tak drobnutkich roślinek, że ich dostrzec gołym okiem nie można, chyba tylko przez szkła silnie powiększające, czyli mikroskopy.

— Czy one także żywią się, rozmnażają i czują?

— Niewątpliwie! W dogodnych warunkach dzieli się jeden taki mikrobek na dwie istotki co pół godziny, wydaje przeto w jednej dobie 16 milionów 500 potomków!

— Trudno uwierzyć, dziaduniu. Wszak po miesiącu na całym świecie nie innego, jeno same zostałyby bakterje!

— Takby się zdawało. Pomimo to istnieje jednak równowaga w przyrodzie, a to głównie dzięki dwom czynnikom, hamującym rozwój mikrobów: pierwszy — brak pokarmu, drugi — zabójcze dla nich nagromadzenie się ich własnych wydzielin. Nadto roślinki te są ogółem mało

odporne, bardzo wrażliwe na zmiany temperatury i muszą mordercze staczać walki o zachowanie swego bytu, Każdy ich rodzaj żyć i rozmnażać się może tylko w specjalnie dogodnych dla siebie warunkach, do szczętu ginąc, gdy ich nie znajduje.

— I pomimo to tak ich dużo na świecie?

— Tak dużo, mój chłopcze, że tego rozumem ogarnąć trudno, w każdym pyłku, w każdej drobinie wody, w powietrzu, w ziemi, we włosach naszych, w ustach, żołądku i skórze. Dość, gdy ci powiem np., że w małej szczypcie wilgotnej ziemi naliczono ich sto milionów. Niezliczona ich liczba w każdym brudzie, w każdej grudce gnoju, w każdej rozkładającej się materji, w każdym gnijącym drzewie, w każdej nieczystości, we wszelkich wydzielinach, na nóżkach i między włoskami owadów.

— Czemże one żyją? I czy są rzeczywiście roślinami?

— Żywią się przeważnie pokarmem martwych ciał roślinnych i zwierzęcych, także zwierzęcych wydzielin. A chociaż nieliczne ich gatunki mogą w płynie poruszać się przy pomocy włoskowatych swych odrośli, przecież bliżej są spokrewnione z pierwotnymi gatunkami roślin, niż ze zwierzętami, mającemi bardziej już złożony organizm.

— Jakże szkodliwe muszą być one dla życia roślin i zwierząt!

— Przeciwnie, wszystko wskazuje, że rola ich w przyrodzie jest przeważnie dobroczynna.² Wszystko w naturze uzupełnia się, wzajemnie sobie dopomaga, nawet przez pożeranie się. Jednostka tu prawie niczem, wszystkim całość życia. Przypatrz się temu ogromnemu kłocowi sosny, leżącemu u naszych stóp. Zapewne zwałił ją silny wichur. — Ale cóż to się z nią dzieje? Wyjmij nóż i zatnij.

— Miękką, spróchniałą, można ją nawet rękami łupać.

— A kora? A liście?

— Większa część kory zgniła i odpadła, toż samo liście.

— Co jeszcze widzisz na jej powierzchni?

— Dużo mchów, zwłaszcza na korze i porostów; są jeszcze huby, gnijące i przerośnięte zielonemi plechami; są także całe krzaczki grzybków — mnóstwo różnych owadów i robactwa.

— Jak tedy myślisz, co się stanie z tą gnijącą teraz kłodą drzewa po kilkudziesięciu latach?

— Zupełnie zgnije.

— Jakto, nic z niej nie zostanie?

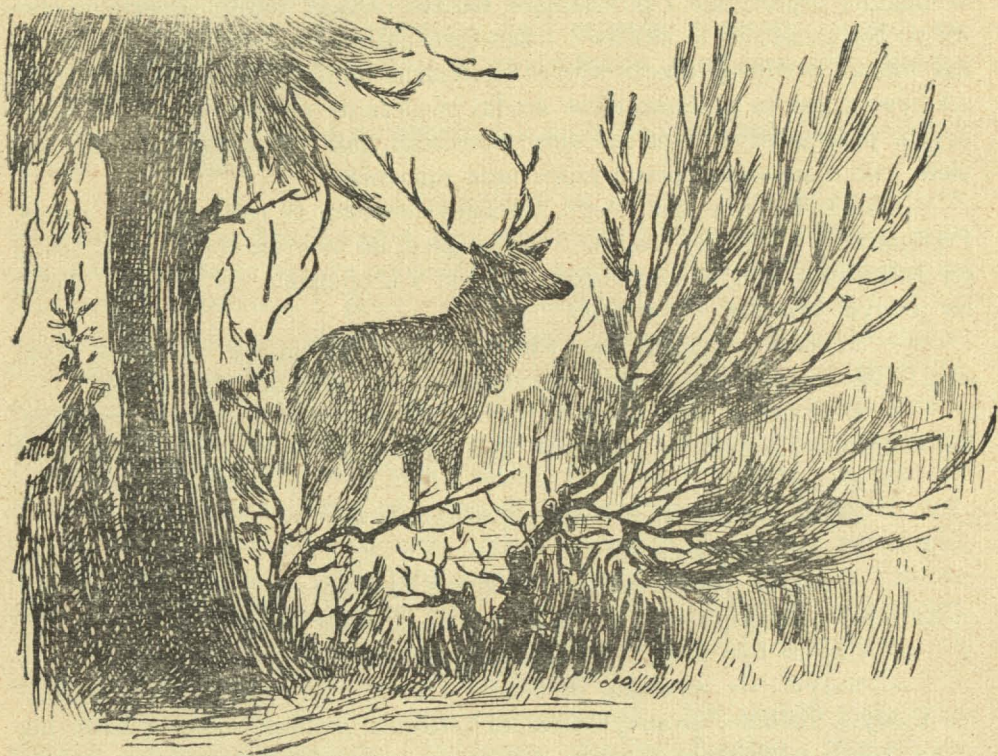
— Myślę, że zgoła nic.

— Żadna materja w przyrodzie nie ginie bez śladu, nie znika. Kłoda jak mówisz, zgnije, to znaczy część jej ciała ulotni się w postaci gazów i wodnej pary, część wysącają inne rośliny i owady różne, część rozpadnie się w brunatną, sproszkowaną masę i wejdzie w grunt, na którym rosnąć będą mchy, grzyby i nowe drzewa. To samo, co z tą kłodą, dzieje się z ciałem każdej zmarłej rośliny, każdego zmarłego drzewa, każdego

zmarłego zwierzęcia, zostawionego przyrodzie. Nawet twarde kości zwierząt, nie tylko miękkie tkanki, w proch rozsypują się z czasem, aby nowym organizmom za pokarm mogły służyć. I dobrze, bardzo dobrze, że tak się dzieje, bo gdyby nie było w przyrodzie tych sił, oczyszczających powierzchnię ziemi z martwych ciał, rychłoby cała powierzchnia stosami ich była pokryta, a dla życia zabrakłoby miejsca.

Ale czy wiesz, kto głównie tego oczyszczenia dokonywa?

— Może bakterie?



— Właśnie! Czem sęp lub szakal pod równikiem, a zwykły nasz żuk między stajniami, tem w przyrodzie bakterie, jeno w szerszym i donioślejszym zakresie.

Ciała zmarłych, stoczone bakterjami, dostarczają powietrzu i ziemi pożywnej materji, potrzebnej do wytwarzania nowych roślin, które znów nowym zwierzętom służą za pokarm.

Rośliny stanowią jakgdyby kuchnię, dostarczającą pokarmu zwierzętom, których znów wydzieliny, a po śmierci gnijące ciała, roztoczone bakterjami, służą za pokarm roślinom.

Tak to rośliny i zwierzęta wzajemnie sobie służą, bez wzajemnego na siebie oddziaływania nie mogłyby istnieć, wzajemną współpracą tworzą życie i same w sobie są tem życiem.

Bakterje zaś owej wzajemności doniosły stanowią łącznik. Mówiłeś, że są szkodliwe... Nie prawda, mój drogi! Zapobiegliwy człowiek wszędzie znajduje korzyść w przyrodzie, z bakteryj zaś korzysta przy robieniu płótna ze lnu lub konopi, przy skór garbowaniu, przy fermentacji, wytwarzaniu octu, tytoniu, masła, śmietany i w całym swym przemyśle rolnym.

— Ale i szkodliwe są dla ludzi niektóre gatunki bakteryj.

— Nie przeczę, są gatunki mikrobów, szerzące straszliwe spustoszenia w ludzkim organizmie i powodujące bardzo ciężkie, nawet śmiertelne choroby. Na szczęście te złośliwe i zabójcze gatunki są nieliczne, organizm zaś ludzki, a więcej jeszcze wiedza skutecznie umie je zwalczać. — Wiedza zdobywa coraz to skuteczniejsze środki zwalczania mikrobów chorobotwórczych, przedewszystkiem zaś uczy człowieka, jak ma unikać zakażeń, jak ciało swoje zawczasu przed mikrobami umacniać.

Lecz o tem na dziś dosyć. Chciałeś dowodu, że rośliny mają czucie. Przypatrz się tej małej roślince, wyrastającej na mokrem torfowisku. Listki jej pokrywają długie, czerwone włoski z kropelkami na końcach. Połóż na jednym muszkę. Co widzisz?

— Muszka przykleiła się, włoski rośliny zginają się. Dziadziu, dziadziu! Cały listek zwinął się i wszystkie włoski dookoła tej muszki.

— Otóż to! A teraz obok widzisz drugą tego samego rodzaju roślinkę. Połóż drobinę kamyka na jej listek. Cóż? Zwija się listek i zginają włoski?

— Wcale nie.

— Zastanów się więc i wysnuj wniosek.

— Nie wiem, nie potrafię.

— A jednak prosta rzecz. Widocznie roślina odczuwa, że z muchy może mieć pokarm, ale żadnego z twardej drobin kamyka.

— Czy to być może? To dziwne! Jak nazywa się ta roślina?

— Nazywa się rosziczką, po łacinie *drosera rotundifolia*. Może słyszałeś kiedy o roślinie, zwanej Czulkim (*Mimosa pudica*), mającej listki tak czułe, że po potrąceniu jednego stulają się wszystkie i wszystkie ogonki wraz ze stulonami listkami zwisają na dół.

Tak, tak, mój chłopcze. W drobnych i niepozornych roślinkach więcej jest zagadek, tajemnic, skarbów i niespodzianek, niż możemy przypuszczać.

— Co dziaduś tak ogląda?

— Dziczka gruszy. Z radością widzę, że rośnie w tej okolicy dużo owocowych drzewek w stanie dzikim. Trzeba będzie pomyśleć o szczepieniu, byłem mógł skąd otrzymać dużo szlachetnych zrazów.

Tak rozważając, zbliżyli się do jeziora i nagle stanęli przerażeni. Od strony domu wznosiła się ponad wierzchołki puszczy gnana do jeziora wiatrem szeroka, czarna chmura dymu.

— Pożar, biegnijmy czempredzej — wołał doktor.

Pobiegli pędem. Lecz w miarę rozwagi przerażenie doktora mijało. Najpierw owe smugi dymu szły nie z domu ani od smolarni, lecz z odleglejszego miejsca. Następnie zauważył, że dookoła dymów gromadziły się coraz liczniejsze stada różnego ptactwa. Gdy podbiegli jeszcze bliżej, można już było dostrzec, że nie był to dym, lecz olbrzymie rojowisko setek tysięcy drobniutkich owadów, żarłocznie pożeranych przez ptactwo. Toż samo zauważył Zygmus, krzycząc:

— To pszczoły roją się!

— Nie pszczoły, mój chłopcze, jeno mrówki. Pszczoły nie roją się tak olbrzymią chmurą. Widocznie w owej stronie, skąd lecą roje, wielkie są mrowiska.

— Tak, były; jedno zwłaszcza, jak mała kopca siana. Ale mrówki? Wszak te nie mają skrzydeł?

— Mylisz się. W każdym mrowisku są samce i samice skrzydlate, robotnice tylko są bez skrzydeł. Gdy namnoży się dużo skrzydlatych samców i samic, zdarza się, że popadają one w dziwny rozstrój, jakby w bunt przeciwko porządkowi i pracy, jakby w obłęd rozkoszy. Zaczynają się włóczyć w zaślepieniu, złości, próżniactwie i rozłazić się poza mrowiskiem. Napróżno robotnice dążą ślad w ślad za nimi, obłamują im skrzydła, wloką do domu i trzymają w areszcie. Obłęd zwiększa się, wreszcie wybuchu gwałtownie. Wylatują chmurą na pohulanki i wszystkie zazwyczaj z małemi wyjątkami marnie giną: samce śmiercią naturalną, samice zaś wiatrem rozproszone padają ofiarą ptaków, owadów, głodu, gdyż tak rozpróżnionych istot nie przyjmuje żadne mrowisko. Z całej tej olbrzymiej chmury może nieliczne tylko jednostki pooblamują sobie skrzydła i założą nowe gniazdo, gdzie złożąwszy jaja, zaczną żywot spokojny i pracowity.

— Nigdy nie przypuszczałem, że zdarzać się to może u mrówek, tak słynnych z porządku, karności i pracowitości.

— Nic bardziej zajmującego, mój Zygmusiu, jak sposób życia niektórych gromadnych zwierząt, zwłaszcza owadów. Siadźmy. Nim słońce zajdzie, opowiem ci o mrówkach, abyś wiedział, jak pod niejednym względem mogą one nawet ludziom służyć za wzór pracowitości i porządku. Z tem większą ciekawością i korzyścią będziesz mógł potem samodzielnie i na własne oczy śledzić sposób ich życia.

Pogrążyli się w długiej pogawędce, obu stronom przyjemnej, gdyż doktor ożywiony był zapałem, widząc, że ma uważnego i pojętnego ucznia, Zygmus zaś z zajęciem chwycił szczegóły doświadczeń i wiedzy dziadka, które mu odsłaniały nowe i nieznane tajemnice przyrody.



VIII.

NAWAŁ PRAC GOSPODARSKICH

Nie próżnowali nasi koloniści; od nawału prac ręce im mdlały, pot strugami spływał po ciele, a gdy szli na nocny spoczynek, mięśnie i kości ich były tak zbolałe, jakby po ciężkiej chorobie. Jednak dobroczynna przyroda krzepiła wszystkich mocnym snem; o rannym świcie znowu chętnie, jak odrodzeni, wstawali do dalszych trudów. A tych przybywało w miarę nowych potrzeb. Trawy na łąkach przekwitające wołały głośno o rychłe skoszenie, wysuszenie i zwiezenie do szop na zimowy zapas. Rozwalone rudery szop i stajni wołały: „Naprawiajcie przed jesiennymi słotami, bo będzie bieda!“ Rozwalone piece krzyczały: „Kiedyż nas naprawicie i postawicie nowe? Czy czekacie, aż mrozy i śniegi przyjdą?“ A gospoia wołała: „Bez piwnicy, bez naczyń, bez sprzętów nie sposób gospodarować. Kiedyż zrobicie drabiny, żłoby, koryta, grabie, motyki, widły, sochy, szufle, cepy, brony, rydle, taczki? Kiedy będą sprzęty domowe i kiedy w kuchennem gospodarstwie będę miała: cebry, czerpaki, wiadra, hładysze, skopce, pracz, balje, garnki, misy, beczułki, stolnice, wałki, stępe, rzeszota, sita, niecułki, dzieże, kociuby, miotły?“ A Zygmus wołał: „Łódkę mi zróbcie i budy dla psów i dla zwierzyńca“. A doktor nawoływał: „Jeżeli chcecie mieć warzywa: okopywać je, plewić, okopywać, znowu plewić i często wystawiać wodą zlewać!“

Zwozili tedy budulec, obrabiali siekierami kłocę, potem dźwignęli rusztowanie, na które zapomocą bloków i konika wywindowali potężne sosnowe dyle. Stał na rusztowaniu u góry Franek, a na ziemi od dołu Jerzy i dalejże trzeć piłą, aż trociny sypnęły białe, jak mąka.

— Ludzie — mówił doktor przy wieczerzy, — którzy bez pracy do gotowego przywykli, nie mają wyobrażenia, ile trudu, zręczności i wiedzy wymaga zrobienie najprostszej napozór rzeczy. Uch! Bola mnie gnaty!

— Jakto, — śmiał się Franek — już zmęczył się jegomość deskami?

— Dziś zmęczył się, jutro po wypoczynku mniej zmęczy się, a po kilku dniach, zobaczysz sam, jak dzielnym będę drwałem i traczem.

— Ciężkie to zajęcie!

— Na początek do domu i szopy dosyć będzie desek, któreśmy dziś zrobili. Jutro musimy obrobić kilka kłoców na filary, słupy, krokwie i łąty; potem kilka sztuk drzewa ściąć, ociosać i pod dach złożyć, aby wyschło do bednarki.

Po kilku dniach, mozolnej pracy nad budulcem, zaczęto pod kierunkiem Franka naprawiać budynek.

Gdzie dyle w bocznych ścianach wypadły lub przegniły, dawano nowe, suchym mchem je uszczelniając. Założono sufit z nowych desek, naprawiono wiązanie dachu i pokrycie. Po naprawieniu drzwi i okien, dzieląc budowę na dwie duże izby mieszkalne i obszerną spiżarnię, postawiono działowe ściany i powbijano deski podłóg.

W podobny sposób sporządzono stajnię jedną dla krów, drugą dla koni, a wydłużając z lewej strony dach, podparty na mocnych słupach, przygotowano wygodne poddasze na fure, siano i drzewo.

— Pałace! — chwalił się Franek — jeno pokostem je namaścić, żeby drzewo nie gniło. Kominy jeszcze i piece postawimy, byłem dobrej gliny i wapna dostał.

— Pilniejsze narzędzia gospodarskie — narzekała Hania.

— Jakto? Nibyto pracza wczoraj nie zrobiłem? — wołał Franek.

— Pracza dobry! Machałam nim cały dzień nad jeziorem, toteż dostaniecie jutro czyściutką i słońcem przepojoną bieliznę, choć nie maglowaną, ani wyprasowaną. Nie wiecie, jaka bieda pracć bez balji i bez kotła.

— Ba, pan Jerzy na wojnie umiał wyprać nawet bez mydła.

— Prawda, Franku — potwierdził Jerzy — wypłókało się koszule w rzece, wysuszyło na słońcu i koniec.

— Takie pranie, mój drogi rozmazywało tylko brud i koniec... — wołała gospoia. — Bieliznę trzeba najpierw wyprać w ciepłej wodzie z mydłem i ługiem, potem wygotować w kotle, znowu przeprać ciepłą wodą przepłókując, dalej moczyć kilka godzin, żeby wszelki brud, ług i mydliny puściły, wreszcie w letniej wodzie, choćby i rzecznej, jeszcze raz przeprać, mocno bijąc praczem i dopiero silnie wykręcić i na słońcu rozwiesić. Nie mówiłam jeszcze o krochmaleniu i zapuszczaniu sinkiem.

— Tyle mitręgi! — wołał Franek.

— Każda praca, jeżeli ma być trwała i pożyteczna, wiedzy wymaga dokładności.

— Prawda — dodał doktor — bylejakie zbywanie jest największą i najniepraktyczniejszą mitręgą.



powietrze tak, że on wszystko przenika, wszędzie osiada. Słyszałeś, co po przebudowaniu domu i szop mówił Franek, że nowe deski trzeba „pomaścić“ pokostem. Wiesz, dlaczego? Bo jeżeli tego rychło nie uczynimy, rzuci się z powietrza na mokre drzewo pyłek zarodnikowy pleśni i drzewo pocznie naprzód porastać pleśnią, a potem rzuca się na nie bakterje i roztoczą, czyli drzewo zgnije.

Pamiętaj więc, że pleśń jest najprostszym gatunkiem grzybów.

A teraz przypatrzmy się innym grzybom, które już zaczynają wyrastać w lesie. Mam nadzieję, że znakomicie one zasila naszą spiżarnię. Czy pamiętasz, com ci raz mówił o żywieniu się grzybów?

— Tak, pamiętam: nie wytwarzają sobie pożywienia, jak zielone rośliny, lecz biorą gotowy pokarm bądź z żywych pniów i korzeni, jako pasorzytne, bądź z gnijących w ziemi cząstek zwierzęcych i roślinnych, jako roztocze.

— Bardzo dobrze. Więc wiesz także, dlaczego i pleśń zalicza się do grzybów. Poszukaj mi teraz jakiego grzyba, ale na drzewie, nie na ziemi.

— Może ta huba?

— Dobrze! Prócz huby masz tu na owej starej korze szary i kędzierzawy porost, który jest grzybem, zwanym tarczownicą.

— Ależ, dziadziu, tej tarczownicy tu wszędzie pełno.

— Niestety, pospolity ten pasorzyt straszliwie pustoszy drzewa, których nikt nie czyści i nie pielęgnuje. Teraz patrz, jakie pęki grzybków rosną u korzeni tej starej brzozy, rozrastając się nawet na pniu jej. Kapelusze mają one brudno-brunatne z ciemnymi łuseczkami i włosistymi kupkami włókien. Jest to smaczny i zdrowy grzyb, zwany opieńką.

Tak posuwając się w głąb lasu, spotykali coraz to inne rodzaje grzybów. Najcenniejszy, w każdej przyprawie smaczny, posilny i wonny borowik dobrze był Zygmuśsiowi znany. Teraz nauczył się poznawać i cenić maślaka, mającego mazisty kapelusz; żółte lisiczki, zwane także gąskami, a gnieżdżące się w lasach szpilkowych i znane z tego, że nie służą za pokarm owadom; smaczną pieczarkę, zalotnie ustrojoną w jedwabny, lśniaco-biały z wierzchu, a różowo-czarny od spodu kapelusik; bedłkę kanię zwaną także deszczochronem z brunatnymi łuskami, ułożonemi, jak dachówki na dzwonnicy; różnobarwne surowadki, czyli gołąbki; wysmukłego kozłarza, zwanego także żydkiem; wytwornego i w każdej przyprawie niezrównanego rydza, który rozkoszą jest nie tylko ludzi, ale także wszelkich owadów i robactwa, posiada zaś wonny sok pomarańczowy i rośnie najchętniej pod jesień na darniach między młodą smereczyną lub jedliną; smacznego mleczaja, czyli bedłkę chrząszcza, podobnego nieco do rydza, jeno sok wydającego biały i słodki, jak mleko; goździankę kędzierzawą, zwaną także kozią brodą, gdyż, jak kalafior, jest kędzierzawa i obrasta pnie drzew kępami, podobnemi z kształtu do blado-żółtych zwojów móżgu.

Spotykali zresztą wiele innych jeszcze gatunków, różniących się barwą, postacią i wonią.

— Wszystkie one — mówił doktor — są jadalne, smaczne i wielce posilne. Dość ci powiedzieć, że po wysuszeniu posiadają w sobie od 270/0 do 600/0 białka, a od 400/0 do 730/0 cukru, krochmalu i tłuszczu. Z tego zrozumiesz, jakiego bogactwa pokarmu w grzybach dostarczają ludziom lasy.

— Dużo jest jednak trujących.

— Wcale niedużo, mój drogi. Pokażę ci najczęstsze: oto *m u c h o m o r y*, jeden czerwony, drugi blado-cielisty, oba rodzaje z białymi krokami. Łatwo je poznać. Zdradliwszy ten oto, podobny nieco do kozłarza, lecz grubszy, mięsistszy, z trzonem u góry żółtym, u dołu ciemnoczerwonym; jest on silnie trujący, a nazywa się *s z a t a ń s k i m*. Trujące są także bardzo pospolite i częste u nas niektóre rodzaje gołąbków, lub do pieczarki nieco podobna bedłka *s r o m o t n i k o w a*, którą poznać możesz po tem, że blaszki u spodu jej kapelusza nigdy nie czernieją. Zresztą przy jedzeniu grzybów, niewypróbowanych, ostrożność nigdy nie zawadzi. Nawet znane i jadalne winny być kipiącą wodą przed spożyciem sparzone, a potem dobrze ugotowane. Używać zaś za pokarm trzeba tylko świeżych, młodych i zdrowych, nigdy starych, robaczywych, rozmokłych.

— Czy ta biała purchawka jest także grzybem?

— Nieinaczej. Przypatrzyć się: jej środek zczernieje po dojrzaniu i zamieni się w sproszkowany pył zarodników.

— Gdzież u innych grzybów dojrzewają zarodniki?

— U jednych, np. u borowika, pod kapeluszem; u innych, np. u smardza, na wierzchu kapelusza. Lecz grzyby nie tylko z zarodników wyrastają. Wyrwij no tego kozłarza; przypatrzyć się, co widzisz na samym końcu jego trzonu?

— Kupkę ziemi z mnóstwem białawych korzonków.

— Nie są to właściwe korzonki, jak u innych roślin, lecz t. zw. grzybnia; jej zgrubieniem jest trzon z kapeluszem, stanowiący ciało owocowe z zarodnikami. Po wyrwaniu trzonu z kapeluszem, o ile część grzybni zostanie w ziemi, rozrasta się, wytwarzając nowe zgrubienia, czyli ciała owocowe. Z tego to powodu znajdujemy tak często jeden grzyb obok drugiego, a t. zw. grzybowisko zazwyczaj stale w jednym miejscu. Właśnie zamierzam grzybnię pieczarek założyć w naszej piwnicy, abyśmy i w zimie mieli ten wytwórny i posilny przysmak.

— Muszę zająć się zbieraniem i suszeniem grzybów.

— Pożyteczne to i przyjemne zajęcie; gdy należycie ludzie ocenią ich wielką wartość odżywczą, ich smak wyśmienity i woń niezrównaną, uprawiać będą grzyby, a nie tylko je zasuszać, ale także przetwarzać w mąkę lub w esencje. Jeny przy zrywaniu baczyć trzeba, aby nie niszczyć grzybni.

Teraz mówiłbym ci o inszych roślinach, gdybym się nie obawiał, że cię ta rozmowa już znudziła.

— Co też dziaduś mówi? Nudzić się? Nie wiem dobrze, co znaczy ten wyraz. Przypuszczam, że coś bardzo obrzydliwego, jakąś może chorobę umysłu ociężałego, leniwego lub zepsutego. Mnie wszystko, co mi dziaduś opowiada, ogromnie zaciekawia.

— No, to chwała Bogu; cieszę się z tego bardzo. Więc ci pokażę dziś jeszcze mchy i wątrobowce, t. j. takie rośliny, które nie mają korzeni, tylko pędy z listkami i z rodniami na wierzchołku, jak widzisz na tym zielonym i rozgałęzionym rokiecie, lub na tych torfowcach. Wyobraź sobie bogactwo i rozmaitość przyrody: takich mchów i wątrobowców rozróżnili już uczeni botanicy przeszło 4.000 gatunków. Pełno ich wszędzie i na każdym kroku: na murach, dachach, skałach, w lasach, na bagniskach, a rosną gromadnie, tworząc gęste dywany; torfowce zaś formują z biegiem wielu lat grube pokłady, gdy od spodu ciągle butwieją, a od wierzchołków co roku odradzają się na nowo.

Bardziej od nich złożone są widłaki, skrzypy i paprocie, bo z zarodników ich wyrasta najpierw plecha, a z niej dopiero właściwa roślina z korzeniami, pędami, liśćmi i nowymi zarodnikami. Geologowie powiadają, że w czasach przedpotopowych rośliny te tworzyły tak olbrzymie lasy, że tego sobie teraz nawet wyobrazić trudno; obecnie są skarłałe z wyjątkiem niektórych tylko gatunków paproci drzewiastych, które rosną jeszcze w krajach gorących.

— Czy to paproć, — dziadziu?

— Tak, jest to zanokcica, najpospolitszy nasz gatunek paproci.

— Czy ona także oddecha?

— Oczywiście, jak wszystkie rośliny, które na dolnej powierzchni liści posiadają mnóstwo otworków — na jednym calu kwadratowym około ćwierci miljona — zwanych ustami; przez miliony tych szparek wchłaniają z powietrza dwutlenek węgla (CO_2), rozkładający się w ich wnętrzu na węgiel i tlen; ten ostatni wraca w powietrze, węgiel zaś zostaje i wraz z materiałami, przez korzeń wydobywanymi z ziemi, przetwarza się w kleistą, żyjącą materję, zwaną protoplazmą, następnie zaś pod wpływem słońca w drewno, krochmal i cukier.

— Z tego wnoszę, że liście w roślinie spełniają bardzo ważne zadanie.

— Wnioskujesz trafnie. Każda roślina jest jakby kolonią liści, żyjących wspólnie i pracujących zgodnie nad utrzymaniem gromady.

— A kwiaty?

— Liście są jakby robotnikami, gromadzącymi zapas pokarmu jużto w bulwach, korzeniach, cebulach lub łodydze, jużto w ziarnach; kwiaty zaś, których płatki są przekształconymi liśćmi, nie same nie gromadzą, przeciwnie złożone zapasy pochłaniają dla jednej tylko roli: wydania ziarna na rozród. Liść jest jakby obrazem pracy praktycznej i prozaicznej na pożytek całości; kwiat zaś — obrazem użycia, rozkoszy, rozrzutności, nadmiaru, wystawnej i krótkotrwałej uczty, po której cała gromada, jak

po wielkiem marnotrawstwie, wycieńcza się, czasem nawet rychło ginie, o ile bytu swego nie zabezpieczyła większymi zapasami.

— Dlaczego kwiaty są zazwyczaj tak pięknie ubarwione?

— Na to pytanie inaczej nie podobna ci odpowiedzieć, jak innem pytaniem: Dlaczego liczne owady i ptaki olśniewają oczy barwami, a uszy cudnym śpiewem? Czemu wschód i zachód słońca płonie tak wspaniale, a tęcza w precudne rozszczepia się barwy? Myślę, że nie tylko dla upojenia zmysłów, ale także dla pokarmu ducha, którego szkołą jest przyroda. W związku z tem cel bezpośrednio praktyczny: wiele roślin rozmnaża się głównie przez znęcanie owadów, roznoszących zarodowy ich pyłek lub ptaków, które piękną barwą zwabione, pożerają jagody i owoce roślin, a niestrawione pestki rozsiewają.

— Czyżby rośliny miały tyle świadomości, żeby umyślnie kwiaty swe i jagody zabarwiać dla znęcania owadów i ptaków? Trudno w to uwierzyć.

— Nie twierdzę, czego udowodnić nie zdołam. Świadoma i celowa czynność daje się stwierdzić tylko u ludzi, no... poniekąd także u niektórych zwierząt. Co do roślin, musimy przypuścić naturalny popęd, kierowany jednak prawami i warunkami życia tak zadziwiająco, że często daje zupełne złudzenie celowości. Ów popęd, zwany instynktem, jest u zwierząt w wielu wypadkach o wiele bardziej, niż u roślin, zbliżony do celowej ludzkiej samowiedzy.

— Zwierzęta jednak mają czucie, pamięć, wyobraźnię i pewien rodzaj świadomości, śmiało tedy powiedzieć można, że myślą.

— Nie zaprzeczając ci, zauważę tylko, że nauka psychologii zwierząt i ludzi jest dopiero w zawiązkach. Najbezpieczniej tedy będzie nie zapytywać jeszcze, czy i jak zwierzęta myślą, lecz czy cierpią, byśmy mogli dbać o ich dobro podobnie, jak o dobro naszych bliźnich.

— Z tego wszystkiego przychodzę do przekonania, że zabijanie roślin, a jeszcze więcej zwierząt jest okrucieństwem i człowiek powinienby tak tylko korzystać z tych żyjących istot, aby im życia nie odbierać.

— Mój drogi, nie popadaj w przesadę, ani śmieszny sentymentalizm. Nie zabijać roślin i drzew? Jakby to było możliwe? Co do zwierząt, odpowiem ci słowami św. Pawła, którego nie posądzisz ani o okrucieństwo, ani o brak szlachetnych uczuć. Píše on w jednym liście: „Wszystko, co w jatce przedawają, jedźcie, nie się nie troszcząc dla sumienia. Pańska jest ziemia i napełnienie jej“ ¹⁾.

— Ależ to bardzo dziwne, dziaduniu!

— Wiele konieczności w naturze i życiu wydaje się czemś dziwnem, np. śmierć, która zda się najstraszniejsza, a jednak w rzeczywistości nie jest taką. Ktoś powiedział trafnie, że nie tyle sam moment śmierci prze-

¹⁾ Do Koryntjan X. 25—26.

raża, ile cała jej pompa. Wrażliwe ludzkie serca, ani słowa, czują wstręt i odrazę do zabijania zwierząt i karmienia się ich krwią i mięsem. Nie tyle jednak samo zabijanie jest okrutne, ile znęcanie się, o czym kiedyś szczegółowo pomówimy. Teraz wróć do domu, a ty?

— Przed zachodem nazbieram jeszcze grzybów i zaraz wrócę.

Jakoż po upływie może godziny wrócił do domu Zygmus, skarżąc się jednak, że ukąsiła go w nogę żmija, którą przypadkiem nadeptał.

Czempredziej obejrzał doktor zaczerwienioną i nawet spuchniętą już nieco ranę powyżej kostki, z niepokojem oglądali ją także rodzice Zygmunia.

— Jak dawno cię ukąsiła? — badali.

— Może pół godziny temu.

— Napewne żmija?

— Widziałem czarną, zygzakowatą pręgę na jej ciele i ciemne plamki na głowie.

— Żmija. Nie wycisnąłeś krwi natychmiast po ukąszeniu?

— Myślałem, że wystarczy, gdy to zrobię po powrocie do domu.

— Należało natychmiast i bez żadnej zwłoki wycisnąć i wypalić. Teraz bądź cierpliwy, choć cię nieco poboli. Pieścić się w takim wypadku nie należy.

Tak mówiąc, wy dobył Jerzy ostry nóż i pomimo krzyku chłopca spokojnie rozkroił mu ranę głęboko, silnie z niej krew wyciskając. Poczem prędko pobiegł do szopy, a wróciwszy z rogiem myśliwskim, roztworzył ranę i nasypał w nią prochu.

— Teraz dzielnie się trzymaj. Taki ból — głupstwo. Zaciśnij zęby i tyle.

Mówiąc to, wykrzesał ognia i proch podpałił. Jęknął chłopak. Objęła go ramionami matka.

— Spokoju! Już po wszystkim, już. Zdrów będziesz, jak ryba. Tylko położyć się musisz, a nogę powyżej rany mocno przewiążę.

— Dać mu teraz gorzałki kieliszek, a potem ślazu do picia. Widzisz, widzisz. Pokazuje się, że i cierpienia bywają zbawcze! — mówił doktor.

Jednak pomimo tych zabiegów popadł chłopak przed północą w gorączkę, a noga poniżej przewiązania mocno spuchła. Zaniepokojono się, czy zabiegi nie były spóźnione. Do późnej nocy czuwała przy chorym matka; widząc jednak, że mniej rozpalony i zasnął, udała się na spoczynek.



X.

PIERWSZY SEN ZYGMUSIA

— Tyż to duchem puszczy jesteś? Jakżeś piękny!

— Jak częśćka wiecznej mocy i wiecznie zmiennego ruchu.

— Skąd przybywasz?

— Z tchnienia, którego początku ani końca nikt nie zbada. Moją poczwarkę wykarmił mózg ludzki.

— Żmija mnie ukąsiła, mam umrzeć.

— Nie lękaj się śmierci, każda jest nowych narodzin chwilą, jak każdy słońca zachód nowym rozświetem.

— Ukąsiła, choć żadnej nie wyrządziłem jej krzywdy i kocham wszystkie zwierzęta puszczy.

— Wiem! Oprzej się na mojem skrzydle!

— Jak tu błogo! Wszystko widzę, wszystko słyszę, wszystko czuję. I tyle mam siły! Zda mi się, że wszystkiego dokonać mogę, co tylko zechcę. Nieś mnie w światy nieznane, ponad ziemię, między gwiazdy... Och, cóż to? Spadamy, słabnę...

— Nie myśl o gwiazdach: nie z mojej mocy; ani teraz o ziemi całej: głębsza od puszczy. Tylko moje skrzydła obejmij myślą. Dopóki na nich jesteś, mną jesteś, a ja tobą. Jeżeli ten warunek złamiesz, rzucę cię i odleczę.

— Nieś mnie. Już będę skromny, chociaż to tak trudno.

— Najmądrzej i tak jeszcze trzeba. A teraz powiedz, jaką istotą na chwilę być pragniesz, abym skorzystał z mocy i dokonał wedle życzenia twego przemiany?

— Boję się nadmiaru pragnień. Lecz czekaj: zajrzeć chciałbym w gniazdo słowika, w mózg zimorodka, w jamę szerszeni, w głowę pająka, pod skrzela lina, w ziarno poziomki, w kwiat lilji wodnej, w środek mrowiska...

— Zadużo! Jednego żądaj!

— Tedy uczyni mnie mrówką niewidką; lecz obiecaj, że potem...

— Niepowściągliwe ziarno ludzkie! Spełni się i potem twoje pragnienie... Teraz oto stań się mrówką! Zleż na ziemię! Jak się czujesz?

— Dziwnie! Takim lekki, taki mały, słyszę co mówisz, lecz jakby nie tylko uchem, ale całym ciałem. I wzrok ludzki straciłem, mam zato nad czołem trzy świetlane punkciki, po bokach dwa większe niby zwierciadełka, przez które patrzeć jeszcze nie umiem; a czułki moje tak wrażliwe, że mogę różne rzeczy niemi rozpoznawać i mnóstwo rozróżniać woni.

— Co czynisz? Stój! Co za szaleństwo! Potłukłeś się, omal nie połamałeś nóżek.

— Chciałem przejść przez ów mały dołek i upadłem, jak w przepaść.

— Mały dla nóg ludzkich, głęboki dla mrówki. Myśl ludzką stosuj do narzędzi i zmysłów mrówki, a te zmysły i narzędzia do myśli.

— Wiem już, nikłe trawki są, jako drzewa, prawdziwych drzew pnie, jako skały, wierchołków ich nie dojrzeć, a nieba nie widać; dawniej kilka kroków, teraz długa podróż. Marnem stworzeniem mrówka.

— Zato czułkami i oczkami poznasz każdy mikrob, każdą pleśniczkę, każdą drobinę żdziebelka, najmniejszą zarodnię, najcieńsze włókienko, na wierchołek dębu lub sosny wleziesz bez sznurów i drabin. Ucz się patrzeć oczkami bocznymi, wypukłymi, złożonymi z tysięcy drobnutkich cząstek, dojrzysz w ciemności i zbliża; trojgiem pojedynczych oczek na czole — w dal sięgniesz. Czułkami macaj: stokroć wrażliwsze od palców ludzkich. Masz trzy pary nóżek, zakończonych pazurkami, którymi możesz grzebać, łązić, budować. Na przednich masz szczoteczkę i grzebyk do czesania się, mycia i gładzenia. Masz mocne szczęki do gryzienia i obrony, a w odwłoku broń, którą strzelać możesz ostrym kwasem na odległość 200 razy tak wielką, jak długość twego ciała. Masz pancerz ochronny i skrzydełka do lotu. Najcenniejszą jednak obroną twoją jest własna rozwaga. Pójdź ze mną teraz, słuchaj i pytaj, jeżeli czego nie zrozumiesz.

— Trudno mi jeszcze łązić po tyłu patyczkach, dołach, roślinach, korzonkach zarosłych i powikłanych; poczynam już rozróżniać i dostrzegać mnóstwa różnych dziwacznych i potwornych istot: muszek, mszyc, gąsieniczek, komarów, pajaków, ślimaków, które wspinają się po łądogach, przeskakują przez włókna, podlatują na skrzydełkach, snują się na niteczkach, rozwierając szczęki i kleszcze, poruszając mackami, wąsami i łapkami, gryząc pokarm, walcząc z sobą i pożerając się wzajemnie. Widzę mrówkę, która rozgląda się, czyści swoje czułki, teraz śpiesznie i prosto po łamakach, po igliwiu zdąża w jedną stronę, skąd i do mnie dochodzi jakaś woń mięsiwa.

— Pójdziemy za nią.

— Zatrzymała się na brzegu jeziorka deszczowej wody. Widzę wysepkę na wodzie, a na wysepce ciało utopionej ropuchy. Tylko skrzydła

owadów tam doleć, pieszo dojść przez wodę nie sposób. Mrówka bezradnie krażyła u brzegu i odeszła.

— Zaczekajmy, wróci z towarzyszkami.

— W jaki sposób je zwoła?

— Poruszy każdą czułkiem w sposób znaczący: „Chodź mi na pomoc“.

— Czy dojdą przez wodę do ropuchy?

— Niewątpliwie.

— W jaki sposób?

— Mrówki w potrzebie znajdują zawsze sposób najdogodniejszy.

— Idą już, idą: jedna, druga, trzecia...

— Przyjdzie ich bardzo dużo.

— W jaki sposób tak rychło dowiedzą się?

— Jedna powie drugiej, a sama przyjdzie; druga, nim przyjdzie — trzeciej, i tak dalej, aż nadejdzie, ile trzeba.

— Prawda, coraz ich więcej. Ciekawym co teraz poczną. Okrążają wodę dookoła. Patrz, patrz, gromadzą się po tamtej stronie wody. Ciągną suche liście, ciągną na brzeg z całej siły. Bardzo się męczą, po trzy, po cztery przy jednym; wywracają się, znowu wstają i ciągną, a na brzeg przyciągnąwszy, puszczają na wodę. Puszczają także suche patyczki. Czy po tych liściach i patyczkach chcą dojść do wysepki?

— Zapewne. Przedtem jednak pomost utrwala. Patrz, już niektóre włożą na liście z grudkami ziemi, inne regulują, inne listek o listek zahaczają i umacniają patyczkami.

— Ależ to ciężka i trudna dla mrówek praca!

— Dla jednej niemożliwa, dla stu łatwa. Za parę godzin ani śladu nie zostanie z ropuchy.

— Zjedzą ją?

— Po części; każda jednak cząstkę pokarmu zawlecze do gniazda na wspólną potrzebę.

— Jednego nie rozumiem: dlaczego pomost ułożyły nie tuż przy nas, skąd znacznie bliżej do wysepki, lecz po przeciwnej stronie?

— Mrówki są dowcipniejsze od wielu chłopców. W którą stronę wiatr wieje?

— Od wysepki ku nam.

— No, więc?

— Ze wstydem zrozumiałem i podziwiam ich roztropność.

— Żdziwisz się jeszcze więcej. Chodź ze mną w kierunku ich gniazda, a mów, co zobaczysz.

— Spotykam coraz więcej robotnic, wszystkie dążą do gniazda: jedne dźwigają szczękami patyczki, ziarenka, łupinki, jajeczka owadów, ciała gąsieniczek, małe larwy, roślinne pączki; inne męczą się nad ciężarami większymi, niż ciało mrówki: to na plecach je dźwigają, to wloką za sobą lub popychają główkami, a czynią wszystko to niezmordowanie, uporczywie

nie zrażając się, choć ciężar raz drugi i dziesiąty spadnie w przeciwną stronę.

Co widzę? Jakaś mrówka wlecze suchą oponę po poczwarcie, dziesięć conajmniej razy większą od całej mrówki: popycha ją z całej siły z jednej, z drugiej strony łapkami, szczękami, głową; podpełza pod spód ciężaru i pcha go całym swoim ciałem. Nie! Nie da rady! Zatrzymuje się i rusza czułkami. Już dwie inne pośpieszyły jej na pomoc, podpierając ciężar po bokach, gdy ona popycha go z tyłu. Zwalił się naprzód, wloką we trójkę,

— Proste prawo: zgodna trójka silniejsza od jedyńki.

— Spotykam mrówkę, zamiast budulcu lub pokarmu dźwigającą na plecach inną towarzyszkę.

— Zdrowa ocala chorą lub okaleczała.

— Spotykam inną, która prowadzi świerszczyka.

— Przyjmą go gościnnie, aby im śpiewał dla rozrywki.

— Droga coraz szersza i równiejsza; spotykam mrówki, rozchodzące się promienistemi drożynkami zapewne za zdobyczą; widzę przy głównej drodze jakieś komory.

— Gościniec i ścieżki sztucznie sobie wygładziły, a komory służą za tymczasowe magazyny, postoje lub schroniska na czas deszczu.

— A oddział ów większych mrówek, kroczący równo i karnie, jak wojsko?

— Straż porządku i bezpieczeństwa.

— Wchodzimy po pochyłości w ciasny korytarz. Czy to już gniazdo?

— Jest to tunel, wykopany w ziemi pod korytem strumyka; przypatrz się, jak długi, jak mocno ma podparte i utrwalone boki.

— Dienne nie dochodzi tu światło, a jednak widno.

— Mrówki przy ścianach tunelu porozkładały kawałki próchniejącego drzewa ze świecącymi fosforycznie mikrobami; stąd pochodzi owo mroczne, zielonkawe oświetlenie tunelu.

— Wspinamy się ku górze; już widać jasny wylot podkopu, już w dziennem jesteśmy świetle. Po bokach gościńca zupełnie teraz inna roślinność, drobniutka, jednostajna, jakby na oczyszczonym gruncie rosnąca.

— Zaczynają się tu bowiem role mrówek uprawne i ich folwarki. Czy widzisz ów wał od strony strumyka? Mrówki go zbudowały, aby swe role zabezpieczyć przed powodzią.

— Po roli skrętnie krążą pracownice, zajęte jakąś pracą.

— Jedne wyrывают i uprzątują chwasty, inne zasiewają ziarna pożytecznych roślinek, tamte naprawiają zepsutą studnię, owe śpieszą do komory mszyc po mleczko dla swych liszek, inne zajęte żniwem.

— Dziwne, dziwne! Jak u ludzi!

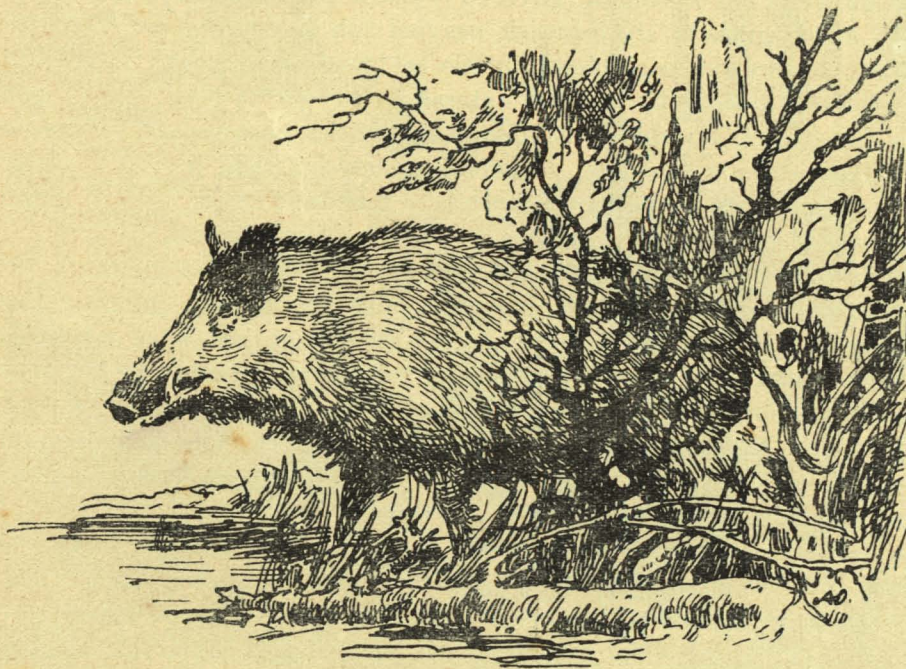
— Żadnym stworzeniom nie poskąpił Bóg darów ducha, ani możliwości ich pomnażania.

— Wchodzimy do komory z mszycami: waziutka, lecz długości kroku dorosłego człowieka. Ileż tu tych drobnych zielonych istot!

— W jednej komorze żyje około tysiąca, a dla wszystkich pokarm znoszą mrówki. Patrz, jak je delikatnie głaszczą, by otrzymać słodki i pożywny soczek. Podobnie ludzie z udoju krów zyskują mleko.

— Pójdziemy teraz na role mrówek, obejrzyć żniwa i szpichlerze.

Oto w łanie dojrzałej ościcy¹⁾ uwijają się żniwiarki, od żdźbła odgryzając białe, twarde nasionka i dźwigając je do folwarku. Tam odłączają od nasion plewę, a czyste ziarenka odnoszą do szpichlerzów, poumieszczanych w samym gnieździe. Gdybyśmy tu wrócili po zbiorach, podziwiali-



byśmy, jak starannie ściernisko oczyszczą pod nowy zasiew. — Tuż obok niby warzywny ogród; tu na użyźnionym gruncie hodują smaczne grzybki z pierwoszczą, równie jak chleb i mięso, posilną²⁾. Wejdzmy teraz do samego gniazda. Co widzisz?

— U wejścia, rodzaju bramy, żywy ruch wchodzących i wychodzących; jakby na straży stoi szereg okazalszych mrówek.

— Straż ta utrzymuje porządek i nie wpuszcza obcych, prócz gościa, wprowadzonego przez swoją mrówkę.

¹⁾ *Aristida stricta*.

²⁾ *Atta Arcomyrnex* Mayr zakłada dla pokarmu w gniazdach swoich kulturę grzybków w rodzaju *Rozites Gangulophera*, uprawiając grunt pod tę kulturę listkami i gałkami odpowiednich roślin.

— Ileż gniazdo takie liczy mieszkańców?

— Około połowy miliona.

— Czy mają swego króla? Czy różnią się między sobą postacią, urodzeniem, majątkiem, przywilejami, sposobem życia i zatrudnienia?

— Żadnego pana, rządcy, ani króla nie mają. Rządzą się sprawnie i karnie roztropnością, doradzającą każdej jednostce dla wspólnego dobra i bezpieczeństwa nie tylko zgodnie, porządnie i gorliwie pracować, lecz w razie potrzeby nawet życie poświęcić. W istotę każdej z osobna i wszystkich razem jakby wrosła niezłomna zasada: Jedna dla wszystkich, wszystkie dla jednej. Zasady tej nikomu przypominać nie trzeba ani z ambony, ani z katedry, ani z książek, gdyż od wieków przeszła ona w ich naturę. Gdyby tu na gniazdo zły człowiek nasypał lub nalał trującego jadu, czy myślisz, że mrówki porozbiegałyby się w trwożliwym popłochu? Bynajmniej! Każda uważałaby za rzecz naturalną chwycić cząsteczkę jadu, zgubnego dla całości, i wynieść dla zakopania daleko poza gniazdem, nie odstrasżając się, że w tej samej czynności zginęły już setki jej towarzyszek: w ten sposób może wymarłaby połowa, aby zachować na przyszłość gniazdo z połową drugą żyjących.

Równie silnemi zasadami, które stały się drugą ich naturą są: Bez pożytku dla wspólnego dobra i bez pracy nikt żyć wspólnie nie powinien, a praca do upadłego. Wspieraj w pracy niemocnych, jak ciebie wspierają. Dawaj pokarm, gdy sama masz, nieposiadającym i głodnym, jak tobie dają. Ratuj chorych, jak ciebie ratują w chorobie. Zgodna wielość silniejsza od jedności. Od potomstwa przyszłość gniazda zależy, więc je trzeba starannie pielęgnować. Nie wszyscy jedno; od roztropnego podziału pracy zależy porządek i dobry wynik.

— Lecz nie znają ani modlitwy, ani nauki, ani sztuk pięknych, ani gwiazd. Żyją wyłącznie na ziemi, bez ducha polotu, przygwożdżone tyranią praw naturalnych, które z wolnego życia uczyniły bezduszną maszynę.

— Ach, doskonałemi nie są, jak nie jest człowiek. Życie jest ciąglem szamotaniem się między zastojem a postępem. Mrówki skromne są i w dziedzinach bytu ograniczone. Lecz nie zmarnowały wrodzonych zdolności. Czemże modlitwa na ustach przy złości, przy nienawiści w sercu i czynach? Czem sztuki piękne przy rozpuszcie i próżniactwie? Czem teorie wiedzy bez zastosowania? Czem lot w gwiazdy bez gruntownej miary i liczby?

Wejźmy do wnętrza grodu.

— Labirynty chodników i ganków, nad piętrami piętra! Jak misternie zbudowane, jak silnie stoją, jakie ogromy zapobiegliwości i pracy pokoleń! Opowiadał mi dziaduś o gruzach Niniwy i Karnaku; więc przychodzi myśl, że znikome wszystkie takie budowle i kiedyś w gruzach legną.

— Jak drzewo kolonją liści, tak ziemia listkiem świata. Czemże człowiek, mrówka i dzieła ich? A jednak bez sekund nie byłoby wieczności. Przypatrz się, co czynią te pracownice?

— Naprawiają wlot każde uszkodzenie, inne zmiatają, inne wynoszą rumowiska i śmieci, inne budują lub rozszerzają domy i ulice.



— Czy przy chodnikach są mieszkania tylko?

— Także składy żywności, pracownie, suszarnie, wylęgarnie, nawet sale gimnastyczne i zabawowe. Wejźmy. Patrz, jest to jedna z sal, przeznaczonych na miejsce karmienia białych larwek mrówczych.

— Widzę, widzę! Mrówki podchodzą do larwek i dają im pokarm; a teraz biorą je szczękami i gdzieś wynoszą.

— Zadaniem tych mrówek — niańczenie, a wynoszą larwy do hal górnych na słońce. Przejdźmy do hal sąsiednich. Widzisz tu całe szeregi dojrzewających kokonów, t. j. podrosłych larw, które się oprzędły i z których wyłazą młode mrówki.

— Widzę, widzę, takie słabiutki i nieporadne. Z jakąż troskliwością niańczą je mamki, jak oczyszczają szczoteczkami, jak czule wygładzają im pomięte członki, jak karmią i znowu gdzieś wynoszą.

— Znowu na słońce, aby wygrzały się, wyprostowały, nauczyły chodzić. Odtąd przez pewien czas nie wypuszczą tych małych istot ze swej opieki; gdy nieco podrosną i nabiorą sił, oprowadzać je będą po całym grodzie, pokazując wszystkie chodniki, budowle, składy i przyzwyczajając stopniowo do coraz trudniejszych zajęć: najpierw do pielęgnowania załęgu, liszek i poczwarek, następnie do reparacji mieszkań, zamiatania i czyszczenia, potem do budowania chodników i hal, nareszcie do zbierania budulcu i pokarmu poza gniazdem.

— Prócz robotnic spotykałem tu mrówki skrzydlate i niepracujące.

— Skrzydlate samce cierpiane są w małej liczbie dla rozmnożenia. Lecz uważaj. Czy w zachowaniu się mrówek nie dostrzegasz teraz czegoś niezwykłego?

— Rzeczywiście. Są niezwykle ożywione i jakby rozgniewane; wychodzą też pośpiesznie z gniazda.

— I my wyjdziemy. Zdaje mi się, że wyruszają na wojnę. Jesteśmy za bramą. Patrz na te liczne i karne szeregi, odchodzące nie bezładną hurmą, ani w jedną stronę, lecz porządnymi oddziałami, które wedle planu w różne rozchodzą się kierunki.

— Między oddziałami tu i ówdzie maszerują razem z mrówkami jakieś owady: czy one także na wojenną wyprawę?

— Przypuszczam. Są to goście mrówek: Kusaki, Rozrożki, Mrówkomirek. Ale pośpieszmy na pole walki, która nastąpi pewno za tunelem.

— Jaki powód tej wojny?

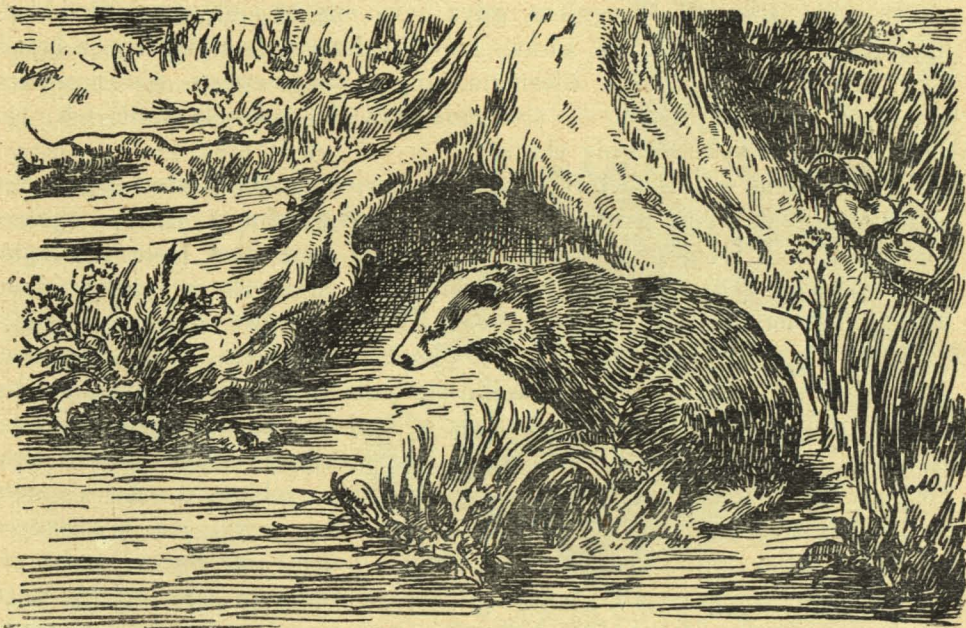
— Zazwyczaj spory o pokarm i budulec. Może nasze gniazdo czuje się zagrożone przez inne, zbyt silne lub zaborcze; a może właśnie nasi wywołali wojnę, aby współzawodników napaść, zagrabić ich zbiory i zabrać liszki, które wychować sobie pragną na niewolników. Jesteśmy już za tunelem.

— Widzę tylko mały oddziałek naszych, śpieszący wprost gościńcem; a gdzież owe tysiące reszty?

— Myślę, że usadowiły się w zasadzce po promienistych ścieżynkach, zbiegających ku głównej drodze. Czekajmy. Ów oddziałek, spotkawszy wrogów, zacznie zapewne cofać się.

— Tak, tak, widzę, cofają się, staczając zaciekle walki. Ależ z tamtej strony olbrzymie ciągną rzesze wrogów, tysiące, cały gościńiec zale-

gają. Coraz gwałtowniej i prędzej prą ku tunelowi, widocznie myśląc, że główny zastęp ich przeciwników nie zdołał jeszcze wyruszyć z grodu, więc pragną przedtem sforsować tunel. Już go do połowy zajęły, prą ciągle naprzód, nasi zaś cofają się, już oddały im cały tunel i przepuszczają dalej... Leczą coś? Po naszej stronie zawalił się tunel; ci, którzy przeszli go, odcięci; z obu stron gościńca i z tyłu wypadają ze ścieżynek bocznych poukrywane oddziały naszych. Jakaż straszna walka! Jaki zamęt! Jakie roznamiętnienie! Jedna chwytą drugą, zażarcie borykają się, silniejsza szczękami odcina głowę pokonanej. Okropne! Już gościńiec pokryty ciałami i główkami. Nasi ciągle wymordowują osaczonych i zupełnie



rozbitych, ścigając pierzchających na wszystkie strony. Z tysięcy ocalał się może nieliczne jednostki.

— Zostawny ich bez żalu dalszym losom i niezłomnej konieczności, która sprawia, że pracowitsi i zapobiegliwsi zdobywają moc dla obrony swego bytu i bezpieczeństwa, a rozbójnicy i praw gwałciciele giną od miecza, którym wojowali.

— Widok tej walki zraża mnie do mrówek; są zawzięte i nielitościwe.

— Więcej cnót od nich nie żądaj, niż sam ich posiadasz; a wiedz także, że bez wojny z sobą wszelkiego stworzenia jeszcze nie masz na ziemi życia.

— Tedy bodaj ludzie powinni miłować się wzajemnie, miłować nawet wrogów swoich i brzydzić się okrutną przemocą silniejszego nad słabszym.

— Jeszcze i ludzie ludźmi tylko być mogą, zanim przepromienią się duchem w dzieci Boże.

Zrzuć teraz mrówcze ciało i powiedz, czem jeszcze być pragniesz?

— Smutno mi. Ból mam w sercu, a chaos w głowie. Chciałbym płakać i umarłbym chętnie, gdyby nie żal rodziców i dziadka, żal sarenki z zażawionem okiem, łasiczki mojej, wyderek, gniazdek ptasich z pisklętami, słońca złotych promieni i całej puszczy zielonej.

— Nie umrzesz teraz; musisz stwardnieć doświadczeniem, trudem i bólem, aby łzy twoje nabrały mocy pożytku. Pójdź, wesprzej się na mojem skrzydle.

— Gdzie mnie jeszcze zaniesiesz? Co pokażesz?

— Pokażę, czego pragniesz, gdyż bawi mię to, jak się gubisz i odnajdujesz, zupełnie, jak ów żoraw, który podrzucał kamyki, by je łapać. Bawi mię twoja ciekawość, nieznana innym stworzeniom, rodzajowi zaś ludzkiemu właściwy popęd do śledzenia zjawisk, porządkowania ich, badania przyczyn i rozważania skutków.

Patrz, tam w legowisku kudłaty niedźwiedź z pomrukiem łagodnego zadowolenia liże swoją dziatwę, on, który przed godziną z rykiem i ogniem zakrwawionych żrenic, jak grom, rozmiążdżał łapą kark łosia i chleptał krew jego gorącą. — Patrz, patrz, tam na konarach potężnego dębu w liściach ukryta drży w śmiertelnej trwodze ledwo opierzona trójka dzieci jastrzębia gołębiarza, drży przed pazurami łaski, rysia, krogulca.

Patrz, patrz: załopotały szerokie skrzydła dwojga rodziców jastrzębi, w ich dziobach ciała gołębic; składają je pod dębem, aby głodne dzieci zlatując z wysokich konarów na ziemię, uczyły się latać i pierze łupu obskubywać przed pożarciem; już rychło stare zabiorą z sobą dziatwę na krótkie zrazu, potem coraz dłuższe loty, aby uczyć, jak w zasadzce przytulać się do pni i konarów, jak długie godziny na łup wyczekiwać, jak go nagle napadać lub ścigać. A potem rzucą je bez opieki, może nawet odpędzą w daleką głąb puszczy. Czyż nie dość już czułego trudu poświęciły na ich wysiadywanie, niańczenie i karmienie? Ileż to szpaków, gołębi, przepiórek, kwiczołów, drozdów i zajęczków dziennie musiały naznosić dla swych drogich żarłoków?

Tam znowu między pagórkami nad jeziorem spojrzysz na tę scenę. Orzeł, dumny król puszczy, po walce ze żbikiem wyrwał się z głęboką raną w piersi i połamanem skrzydłem, ledwo tyle sił mając, aby dolecieć do pagórków. Już nie zobaczy swego gniazda, w którym na wieczrę czeka jedyne pisklę; tu marnie skona. Naciera nań rozżarta, krzykliwa, bezczelnie rozzuchwalona tłuszcza wron, kruków i gawronów. Zanim go zadziobią, nie szczędzi dumnych razów zakrzywionego dzioba tym podłym...

— Duchu puszczy, o nie patrzmy dłużej na tę scenę. Zanim mnie zmija ukąsiła, codzień odwiedzałem gniazdo sikory, ukryte w dziuple. Było tam 12 jajeczek, na których w dzień i w nocy przesadywała matka;

na parę tylko godzin mąż ją zastępował i widziałem, z jaką rozkoszą prostowała wówczas swoje strętwiąłe członki, z ćwierkaniem lecąc dla pożywienia się gąsieniczkami. Potem wylęgło się 12-ro nagich piskląt; wszystkie z piskiem rozwierały szeroko swoje dzióbki, ile razy matka lub ojciec nadlatywały z robaczkiem, pajakiem, gąsieniczką lub jajeczkiem ćmy i motyla. Dwanaście tuż ciasno obok siebie nastawionych ku górze i rozwartych dzióbków, nad którymi skrzydła matki! Pomyśl! Chciałbym jeszcze raz je zobaczyć, zanim umrę.

— Dobrze. Lećmy w tę stronę. Już słońce schyliło się za puszcę i przez gęste jej szpary złote prześwietlają promienie. Oto puste już dziupło sikory. Rodzice wyгнаły je z gniazda i usadowiły na gałęziach, aby skacząc uczyły się same sobie zbierać owady. Lecz bez pomocy ich nie zostawiły. Patrz, nadlatują z pokarmem i rozdzielają po kolei, sprawiedliwie, o żadnym nie zapominając. Matka już składa nowe jajeczka. W jesieni cała obu pokoleń rodzina pocznie stadem latać z drzew na drzewa, oczyszczając je sobie i drzewom na pożytek z żuczków, pajaków i poczwerek.



— Kochane moje, drogie sikory! Czy na zimę odlatują one w cieplejsze kraje?

— W zimie skupiają się wliczniejsze stada, oblatując szeroko okolice puszczy, przymierając często z głody i mrozu, lecz zgodnie sobie pomagając.

Widzisz, jak teraz nagle wszystkie się poukrywały?

— Czy im co zagraża?

— Usłyszały w pobliżu głos leśnego puszczyka: „hu-wek“, „kuwik!“ z chichotem jakby ludzkiego śmiechu. Boją się go, chociaż nie tak im groźny, jak puhacz-wyk, zbój drapieżny, którego ponure: „uhu!“ szerzy między ptactwem przerażenie i popłoch.

— W krzewinie blisko szuwarów widywałem samicę puhacza w gnieździe; samiec w ciągu dnia wielokrotnie przynosił jej myszy złowione na pokarm. Pokaż mi to gniazdo.

— Był to puhacz błotny. Puste teraz jego gniazdo. Czekajmy. Czy słyszysz cichy głos, jakby szczeknięcie pieska, dochodzący z mroków nocy? Tak puhacze nawołują swe dzieci, pragnąc im rozdzielić złowione myszy lub kawałki bekasów błotnych, kulików, kaczek. Jedno puhaczątko siedzi pod kaliną, między perlami niedojrzałych jagód; drugie pod kolczastym głogiem między festonami powojów i chmielu; trzecie w krzewach ożynowych; czwarte w cieniu maliniska, dokąd żaden srebrny promień księżyca nie sięga; tamte wreszcie pod butwiejącym pnem między mchami, paprocią i pękami nastrzępionych grzybów. Wszystkie już opierzone i tłuste, wytuczone myszami, których od urodzenia pożarły niejedną setkę. Za parę tygodni zaczną one żerować po bagniskach wspólnie z rodzicami.

Teraz przywdziałwszy postać borsuków, odwiedzimy norę borsuczą i posłuchamy, co nam powie ten stary stetryczały gderacz? Czy czujesz się już borsukiem?

— Bynajmniej, jestem wciąż sobą; ale mi ciężko w tem włochatym futrze i w grubym cielsku z krótką, sztywną szyją; nagiemi łap podszwami odczuwam każdą miękkość i chropowatość gruntu, a skłonność mam do rozdrapywania pazurami drzewnej kory.

— Wyśmienicie! Teraz więc mógłbyś własną norę sobie wygrzebać z długimi chodnikami i obszernym kotłem; mógłbyś z ziemi wydrapywać owady i dżdżownice, a wspiąwszy się na tylnych łapach przednimi wyławiać w korze drzew chrząszczyki, a nawet rozdrapać gniazdo os lub szerszeni bez szkody dla twardej skóry. Jakże z twoim węchem?

— Znacznie lepiej, teraz rozróżniam rozmaite wonie.

— Potrzebne borsukowi tak ostre powonienie do tropienia gniazdek ptasich, myszy, jaszczurek, żab, węzów i zajączków. A dobrze musi wytuczyć się w ciągu lata, żeby mu starczyło tłuszczu do przetrzymania snu zimowego w norze.

Wejdźmy do jego mieszkania. Jak widzisz, nie jest to ladajakie dzieło. Borsuk leniwy, lecz dokładny i porządny, a wygodę lubi. Sytematycznie tedy buduje i starannie. Patrz, jaka długa, prostopadła rura; podobnych jest w budowli ośm, każda z osobnym wylotem. Wszędzie wzorowa czystość.

Zbliżamy się oto do głównego siedliska dolnego, czyli kotła.

— Ależ głęboko, może do pięciu metrów pod powierzchnią. Czy istnieje także górny kocioł?

— Jest i górny, do którego czasem chytry lis wciska się na lokatora. Wejdźmy. Co widzisz?

— Z pościeli mchów wyłazi pięcioro borsucząt. Cóżto? Wywracają się na grzbiety i gmerają do góry pazurkami łapek.

— Naśladują matkę, która w ten sposób broni się w razie napadu wroga. Nie bójcie się. Jestem od waszej mamy. Wstańcie.

— Gdzie mama? Gdzie mama? Czemu nie przyniosła jedzenia?

— Nie piszczeć! Cicho! Słyszycie szurgot w rurach? Oto już wraca i niesie wam pokarm. Nie wyszczerzaj kłów, ani nadstawiaj pazurów, pani matko. Ani tobie, ani twym dzieciom żadnej nie wyrządzimy szkody. Jedzcie sobie spokojnie.

— Także nowe zwyczaje! Wstydźcie się, włóczęgi! Szczególna ciekawość! Włazcie do cudzej nory, zamiast pilnować własnego nosa. Nie przyjmuję żadnych gości. Chcę mieć spokój we własnym domu. Dosyć mam żarłoków do karmienia. Wyoście się!

— Mogłabyś nam użyzyć schronienia choć na godzinę.

— Jeszcze czego? Fora ze dwora! Wystarczy mi aż nadto obmierzły lis, który wcisnął się na górę, zbój przekłętý. Nie wstyd wam naśladować go?

— Nie gniewaj się, pani matko, zaraz cię pożegnamy. Mówisz, że lis zamieszkał w twoim domu? Co za chytry złoczyńca! Bardzo cię żałujemy.

— Nie potrzebuję waszej litości! Wszyscyście czuli bardzo! Litościwe dusze! Pewno, jak mój mąż, porzuciliście dom i własne dzieci i teraz do cudzych zagładcie. Oto żrą, własną pożarłyby matkę, gdybym nie potrafiła się obronić. Już po uszy mam tego życia. Wszędzie chytrość, złodziejstwo i rozbój. Nigdzie za grosz porządku, wszystko zdradliwie czyha na cudzą krew i myśli tylko o własnej skórce. Zamiast w tłuszczy porastać chudną, jak szczapa. Chrząszczy i dżdżownic coraz mniej; myszy, jaszczurki, żaby i węże zmądrzały i tak szparko nauczyły się zmykać, że nałożyć się muszę kilka godzin, zanim co upoluję. Nie mam skrzydeł, jak jastrzęb, żeby latać za ptactwem. Namnożyło się sówek, łasek, jeżów, borsuków i jedno drugiemu z pyska zdobycz wydziera. W lecie żyć korzonkami przyjdzie, a to małeństwo z głodu pozdycha. Nawet słońca za dnia coraz mniej, a wyleziesz z nory, wyciągniesz się w ciepłych promieniach, wnet napaśnie rozbójnik, na skórę twą łakomy. Ciekawa jestem, gdzie rząd, który byłby obowiązany do utrzymywania w puszczy porządku, bezpieczeństwa i wygody mieszkańców. Nikt nie myśli o tem, żeby każdemu pyskowi dostarczyć potrzebnego do życia pokarmu, żeby rozboje karać, współzawodnictwo powściągać.

— Prawo natury i puszczy jest, aby każdy zabiegał, jak umie i może o utrzymanie własnego życia.



— Oponuję i protestuję przeciwko wszelkim prawom i nigdy protestować nie przestanę.

— Nie narzekaj! Pod jesień dużo znajdziesz żołądźi, bukwy i ziarna; utyjesz jeszcze, jak należy, i dzieci utuczysz.

— Wynoście się, bo wam pazurami ślepią powydrapuję!

— Niema na co czekać, wychodźmy. Rozsrożona dziś niezwykle i gotowa rzucić się na nas z pazurami i zębami.

Zrzuć ciało borsucze. Oprzej się na mojem skrzydle i mów, czego jeszcze pragniesz.

— Duchu puszczy, od wieków żyjesz, a w przeszłość i przyszłość głębiej, niż ludzki wzrok, sięgasz. Oto różnego stworzenia radości i cierpienia, trudy i walki widziałem. Wszędzie z lata w lato ciągle śmierci i nowych narodzin przemiany. Jaki ostateczny cel tych wiecznych zmagai? Gdzie są źródła tej odwiecznej rzeki, gdzie i jakie ujście?

— Nieroztropny! Już cię ostrzegałem, żebyś miarkował ciekawość. Celem ostatecznym rządzą moce, któremi nie władam. Oddać cię teraz muszę ich opiece. Drobną iskiarko ducha, żegnaj.

— Skrzydeł twoich tęcze lśnią, jak dębów liście i nieba błękity. Koralowych brusznic i kalin klejnoty świecą we włosach, a czarne perły borów na szyi. Roztaczasz woń żywicy i czeremchy, świeżość puszczy i wdzięk białej brzozy. Jakżeś piękny!

O, nie porzucaj mnie w tęsknocie, bez obietnicy, bez nadziei!

— Ziół leśnych szum i woń w słodki sen cię ukołyszają. Może raz jeszcze mnie zobaczysz. Oto obietnica moja. Teraz żegnaj.

— Przedłużają się twe ramiona i skrzydła w liściaste borów konary, twarz maleje i znika, z fałdów szat pozostają tylko paproci i mchów leśnych kontury, ale i to widziadło w bladej mgłę znika. Kleją mi się znużone, zmęczone powieki i sen krzepki, sen słodki, zdrowy obejmuje. Żegnaj uroczy duchu puszczy!





XI.

PRZEBUDZENIE — GARNCARSTWO — SAD WARZYWNY — ŁOWY NA JELENIE — NA GRZYBACH

— Widzisz, co znaczy łeb hydrze urwać zawczasu, zanim ci ona nie urwie. Będiesz zdrow, jak ryba. Spałeś mocno i długo, teraz gorączki ani śladu, noga skłęśła i puls regularny. Dziś musisz jeszcze poleżeć, jutro poskoczysz w las na grzyby.

Tak nazajutrz mówił doktor, zbadawszy Zygmunia.

— Jakto dobrze — zawołał chłopak. — A śniło mi się właśnie, że umrę i już nie na żarty wybierałem się na tamten świat.

— Sen mara, Bóg wiara, mój chłopcze.

— Dziwnie jednak śniłem, jak na jawie, przeżywając wszystko, co widziałem w puszczy i co mi dziaduś opowiadał kiedy.

— Bywa tak w gorączce.

To mówiąc, wyszedł doktor do szopy, by Frankowi pomagać przy ciosaniu domowych sprzętów i naczyń.

A już stały w izbach niewybredne łóżka, stoły i stołki; już w spiżarni i piwnicy dostateczny był zapas pulek, beczek, cebrzyków i innych drewnianych sprzętów; już nawet dla krów i koni urządzono żłoby z drabinami na siano, a nie zapomniano także jak najstaranniej okopać i obmurować obok stajni miejsca na tak ważną w gospodarstwie gnojówkę.

Tylko garnków i glinianych naczyń nie mogła się doczekać niecierpliwa gospodyni, lubo garncarski krążek był już w pracowni Franka na ukończeniu. Śród licznych i rozmaitych zajęć z dnia na dzień odkładano wyprawę ku odległym stronom jeziora po glinę, do garncarskich wyrobów potrzebną. Któregoś jednak dnia i ta wyprawa przyszyła do skutku i dostarczyła gliny brunatnej, na garnki znakomitej, oprócz tego sporo próbek delikatnego, jak śnieg, białego kaolinu, z którego — wedle twierdzenia doktora — można było wypalać nawet najprzedniejsze fajanse i porcelany. Zaczęto tedy pracowicie miesić, wygniatać i rozrabiać zdobyty materiał;

wreszcie rano pewnego dnia zakasał doktor rękawy i kazał wnieść do szopy garncarski krążek, dumne dzieło dowcipnego Franka. Z podziwem oglądano, jak zręcznie wystrugana dźwignia wprowadzała w ruch obrotowy pionowe koło, uzębione na krawędziach; te zęby, szczelnie przystające do zębów innego, stosownie przytwierdzonego koła, wprowadzały w ruch krążek poziomy, na którym odbywać się miało lepienie i toczenie garnków.

Nikt jednak z naszych osadników żadnego wyobrażenia nie miał o tej czynności. Przeto gdy doktor począł rękami wygniatać blok gliny, umieszczony na krążku, pragnąc mu nadać format hładyszy na mleko, a równocześnie nogami wprowadził w ruch obrotowy krążek; co chwila wszyscy obecni wybuchali śmiechem, tak to szło niezgrabnie. Najweselej śmiał się przy tem sam garncarz.

Ten jednak niełatwo się zniechęcał. Po wielu próbach i niepowodzeniach wypraktykował, jaką gęstość i spoistość należało nadać glinie; jak kierować ruchem krążka, by najbardziej dogadzał pracy; jak trzymać blok gliny i pochylać; co zostawić krążkowi, a co czynić własnoręcznie; w jaki sposób równomiernie wytaczać zewnętrzną postać hładyszy, a nade wszystko, jak wygartywać jej wnętrze. Po razy kilkadziesiąt psuła się robota, kilkadziesiąt razy trzeba ją było zaczynać od początku.

— Jaka szkoda — mówił — żem nigdy dobrze nie przypatrzył się garncarskiej pracy. Gdyby teraz moim trudom przyjrzeni się lekkomyślni i zarozumiali młodzi, którym każde rzemiosło wydaje się łatwe, może nauczyliby się mniej lekceważyć korzyść, płynącą z wiedzy i doświadczenia.

Po całodziennej od świtu do nocy wytrwałej, mozolnej i uporczywej pracy udało się zaledwo dwa okazy hładysz przygotować do wypalania, a i te nietylko niezgrabne były i dziwacznej formy, ale, co gorsza, jeszcze niepewne; któż bowiem mógł zaręczyć, że nie popękają w piecu.

— Jegomość niezwykle ma zdolności na garncarza — dogadywał przy wieczery Franek.

— Dlaczego, Franku?

— Bo ja nad jednym ulem dłużej pracowałem, niż jegomość nad dwiema hładyszami.

— Spróbój no, Franku, z gliny ul wytoczyć.

— Z gliny? Ani mi się śni! To podłe zajęcie babrać się w glinie.

— Żadna użyteczna robota nie jest podła. Zobaczysz, jak sobie chwalić będziesz, gdy kaszę w zgrabnej miseczce dostaniesz, a mleko w garnuszk.

— Z tej tam zgrabności jegomość sam pono śmiać się będzie.

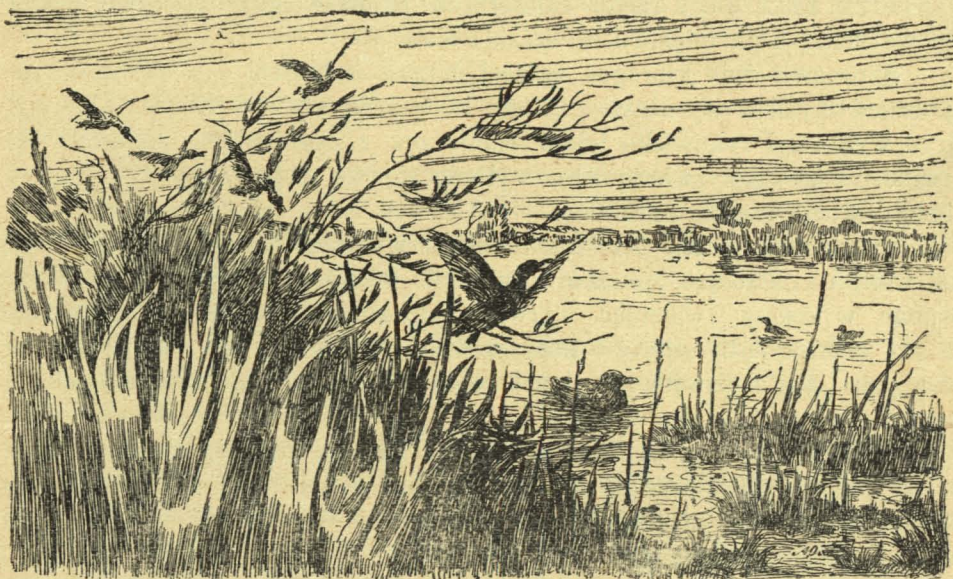
— Czekaj, jak z kaolinu natoczę wam talerzy i półmisków.

— Poczekam, aż stąd miski, talerze i garnki wywozić będziemy na jarmarki do Berdyczowa.

— Nie żartuj, bo i to być może. Wyroby fajansowe i porcelanowe z Chin na cały świat wywożą, na wagę złota sprzedając. Ale pewno nie

wiecie, jak człowiek wpadł na pierwszy pomysł wypalania naczyń z miękkiej gliny. Więc powiem wam. Gdy brak było naczyń do noszenia wody, noszono ją koszami, wylepionymi gliną, oczywiście po wysuszeniu tego lepienia na słońcu. Ale zdarzyło się raz przypadkiem, że tak wylepiony kosz zgorzał w płomieniu, przy czym drzewo spaliło się do szczętu, a gliniane wylepienie stwardniało w ogniu, utworzywszy naczynie ogniotrwałe i nieprzemakalne.

— Nie przysięgałbym, że tak to właśnie było, jak nam jegomość opowiada. Ale co nam to szkodzi? Niech sobie jegomość miesi gliniane ciasto i wypala garnki, ja zaś z panem Jerzym wolimy skończyć jeszcze dwa ule i osadzić w nich z barci owe pszczoły, którym już obiecałem wygodną u nas pańszczyznę i przezimowanie.



— Niech cię też dobrze pokasają z wdzięczności za tę łaskę.

— A jegomości garnki niech popękają w piecu.

Na szczęście żadne z tych niepobożnych życzeń nie spełniło się, gdyż Franek z Jerzym bez szwanku przenieśli roje do ulów, a naczynia doktora wspaniale dojrzewały na słońcu, dwa zaś pierwsze, już wysuszone, jak wielkanocne baby, czerwieniły w mocno rozpalonym piecu.

Tymczasem, nie posiadając młynka, tłukł doktor na miążs piasek, zmieszany z suchą gliną, ołowianym proszkiem i solą; mieszaninę tę rozrobił w cebrzyku z wodą. Po paru dniach z wystygłego już pieca wydobył wypalone hładysze i zanurzał po kolei do przygotowanego w cebrzyku rozтворu. Poszły potem drugi raz do mocno rozżarzonego pieca, gdzie po silnem wypaleniu płyn, którym nasiąkły, stopił się w szklistą, połyskującą polewę.

Uroczyście wydobyto z pieca gotowe hładysze. Próba dźwięku ku radości wszystkich wypadła bez zarzutu, Doktor triumfował, a Franek unosił się w przesadnych pochwałach, wtrącając tylko jakby mimochodem przygany: szkoda, że tak brzuchate, lub: koszlawe nieco, ale to im piękności dodaje.

W miarę dłuższych ćwiczeń nabywał doktor coraz większej wprawy w garncarstwie. Za przykładem dziadka szedł Zygmus, który w tej pracy okazywał niezwykłą lekkość ręki i pomysłowość w toczeniu hładysz, garnków, misek, lampek, lichtarzów, przyczem udawały mu się nawet ozdoby wedle wzoru czy to liści i kwiatów, czy główek i łapek zwierzęcych.

Miano już zacząć próby z kaolinem, gdy konieczność pilniejszych zajęć oderwała doktora od garncarskiego krążka.

Przez kilka dni z rzędu zamierzano polować, gdyż dotkliwie dawał się we znaki brak mięsiwa, tłuszczu i skór.

Skoroświt dnia któregoś czterej dobrze uzbrojeni i w żywność zaopatrzeni myśliwi wyruszyli z psami ku drugiej stronie jeziora, gdzie był Hryć wypatrzył rykowisko jeleni. Hania zaś z Zygmuśiem, nakarmiwszy i zabezpieczywszy zwierzyńiec, wybrała się ku dojrzewającemu łąnowi zboża i warzywnemu ogrodu.

Tam przez godzin parę z korzeniami wyrywali łodygi dojrzałego lnu, na wóz je układając, poczem czynili to samo z wonnemi konopiami, osobno w snopy związując wyrwane płoskunki, osobno zaś główaczce. A gdy skończyli te zajęcia i pokrzepili się posiłkiem, jęli chodzić po całym polu, aby rozradować oczy i serce widokiem bujnie rosnących na nowinie pólów.

— Mamo, — wołał Zygmus, — jak śliczna, jaka żywa, jaka aksamitna zieleń tego grochu! Nie wiem, czy jest druga roślina, któraby miała listki tak miękkie, a strąki tak pojętne, nie mówiąc już o cudownych wprost motylkach kwiatu.

— Siądźmy tedy i uraczmy się na wety młodym, od wszelkich bakalijsmaczniejszym groszkiem, który pewno więcej jeszcze nęci ciebie, niż zieleń i kwiaty. Słodkie, delikatne i soczyste. Nie może być nic smaczniejszego.

— A jak to buja, jak kwitnie, jakie wąsy puszcza!

— Chodźmy teraz w las tyczkowej fasoli. Ta dopiero buja potężnie. Zupełnie, jak podzwrotnikowa puszcza.

— Ach, to prawda! Ile razy jestem w takim lesie tyczkowej fasoli, nie wiem dlaczego nazywanej „jaśkiem“, zawsze napływają mi do wyobraźni opisy dziewiczej puszczy. Ten gąszcz, zda się, niezbrodzony, ten splot wąsów, tak podobnych do lianów, te kwiaty różnobarwne, te cienie i smugi prześwietlających między liśćmi promieni słońca, to wszystko dziwnie nastroja. Czekasz, czy tuż z gęstwiny nie wyskoczy tygrys, albo nie wychyli się łeb węża dusiciela. Pamiętam, małym dzieckiem będąc,

w takich fasolach z kijem w rękę polowałem na różne potwory leśne. Patrz, patrz, mamo, wąsiska owe, gdzie ponad wierzchołki tyk strzelają!

— W cieniu fasoli, przy brzęku muszek i bąków byłoby miło nam zdrzemnąć się choć godzinkę. Ale czas mija, a trzeba zwiedzić całe pole. Patrz, ziemniaki dziadunia.

— Śniegiem różowo-białych kwiatów obsypane.

— I bujne, bośmy je dwukrotnie wyplewili czyściutko i okopali starannie. A też buraki, jak ci się podobają?

— Zachwycała mnie zawsze szczególnie ich nać, taka sprężysta, czerwono-zielona, a w ziemi pod nią grzbiet brzuchatej bulwy, którą z apetytem wygryzają jeże i myszy polne.

— Ludzie zaś gotują je i z apetytem zjadają, a nie tylko same bulwy, ale także smaczny z nich barszczyk; choć, co prawda, niektóre grymasne panienki krzywią się na buraczki. Stryj twierdzi, że w burakach jest duży procent cukru.

— Niech mi mama powie, dlaczego je przed miesiącem wrywała z korzonkami i rozsadzała?

— Rośliny wszelkie, a nie wyłączam nawet drzew owocowych, mocno na tem tracą, gdy zbyt gęsto muszą rosnąć; buraki zwykle gęsto sadzimy, ale musimy potem roślinki ich szeroko rozsadzić, jeżeli chcemy mieć duże bulwy. Podobnie przerywa się marchew, aby więcej miała miejsca do rozrostu.

— Tej marchwi pierzasta i delikatna koronka liści cudną ma zieloność!

— Prawda? Możebyś wyrwał jeden jej ceglasty korzonek, oczyścił i schrupał. Jak ci smakuje?

— Jak cukierek.

— O wiele zdrowszy od cukierka. A ta czarna rzepka?

— Skórka czarna, miąż biały, jędrny, szczypiąco-słodki, wyśmienity! Prawdziwa rozkosz mieć i uprawiać taki ogród warzywny.

— Rozkosz i pożytek, zwłaszcza, jeżeli uprawiamy pilnie i z zamiłowaniem, należycie wyplenając chwasty i obficie podczas suszy podlewając. Wogóle, mój chłopcze, nie na całym świecie nie masz wdzięczniejszego od roli, która za pracowitą uprawę obsypuje nas stokrotnymi darami. Pomimo to znajdują się ludzie gnuśni i niedbali, którzy ciągle narzekają na nią, to że jałowa, to znowu, że same rodzi chwasty, że zawodna, od słót i pogody zawisła. Wszystkie wady w niej tylko widzą, nie dostrzegają zaś głównego powodu niepowodzeń we własnej niezaradności i gnuśności.

— Teraz do łąnów zbóż przejdziemy. Już okłosiły się owsy i jęczmiona, już bujne na nowinie proso okryte złocąciami się kiściami wątlego jeszcze ziarna. Byle słońca, kochanego, życiodajnego słońca jak najwięcej, nie będziemy przymierali z głodu w zimie!

Ledwo przywieźli naładowaną furę do domu i ku słońcu porozstawiali pod ścianami budynków wiązki lnu i konopi, ledwo nakarmili i napoiili

dobytek i mieli już odejść w las po grzyby: gdy wpadł Franek sam jeden, zdyszany, szybko zaprzął wóz w parę koników, zabrał pakę, balję i odjechał, odpowiadając, na pytania Hani:

— Nic złego, wrócimy za godzinę, jeno mi bardzo śpieszno.

Szła tedy Hania z synem na grzyby z pewnym niepokojem, a potem niecierpliwie wyczekiwała powrotu myśliwych.

Oni zaś wyszedłszy o rannym zmroku, zdążali bez żadnej zwłoki za przewodem Hrycia, nie zważając na drobną zwierzynę, aby skoroświt przybyć na upatrzone miejsce, gdy jelenie wracać będą z nocnej paszy.

— Czy tylko pewny jesteś, Hryciu, rykowiska? — pytał doktor.

— Jakże, panie, czy mi to pierwszy raz? Onegdaj przed świtem tak bekały, że usłyszałyby głuchy. Od tygodnia już schodzą się w tamtej stronie i walczą, jak opętane, a zawsze rano.

— Tak, jelenie w dzień po legowiskach śpią, — objaśniał doktor, — pod wieczór w szalonym pędzie gonią na żer, przed świtem zaś wolno wracają. Trzeba jednak podchodzić ostrożnie, gdyż płochliwe są, a wietrzą doskonale i słuch mają znakomity.

— Ale są głupie, — mówił Franek. — Teraz zaś podczas bekawiska — do reszty ogłupiały. Raz, pamiętam, spłoszyliśmy stado: jak nie pomknęło, sadząc wichrem olbrzymiemi susami, przez zwały drzew, przez chaszcze, przez wąwozy! Dziw, że nie połamały w takich skokach swych badyli.

— W tych dniach, — mówił Jerzy, — musimy wyruszyć w drugą stronę jeziora między moczary na łosia, który o tej porze zaczął także bekać. Dobrze by go wypatrzyć.

— Trudniej z łosiem, — dodał Hryć, — bo nie ma stałego legowiska.

— Gdzie zaś trudniej, — oponował Franek, — nie ma legowiska, ale mniej płochliwy od jelenia i nie wietrzy tak bystro. Kiedyś w tych dniach poszedłem do nastawionych węcierzy. Rozebrałem się, wlałem do wody, patrzę: jest ryba. Dobrze. Wyciągam do worka. Nagle, jak nie załomocze coś w trzcinach! Co u diabła? — myślę sobie, a choć tchórzem podszyty nie jestem, zrobiło mi się gorąco. Patrzę, aż tu wyłazi taki ogromny pysk z chrapami, łopaty na łbie w szufle zwinięte, grzywa na karku, jako strzecha, a broda pod szyją, jak u żydziska. Gdyby kto nie znał bestji, umarłby ze strachu, bo to stęka przy tem, jak nieszczęście. Jak nie huknę, aby sobie ulżyć. A ten buch prosto w wodę i popłynął, jak kaczka, taka jucha! Musimy tam wybrać się, pewno nie jedną upolujemy sztukę. Ogromne to, znacznie większe od jelenia.

— Ba, łosie dochodzą do 3 metrów długości, 2 wysokości, a ważą niekiedy do 1000 funtów, — obliczał doktor.

— Cicho, słyhać bek; dobrze, że wiatr mamy k'sobie. Teraz czołgać się, a bez szelestu — mówił Hryć. — Chan, Bej, do nogi!



Psy przywarowały, czołgając się sprawnie i wietrząc; za nimi myśliwi z największą ostrożnością i uwagą, przykucnąwszy, podpełzali przez mchy i chaszcze. A już dobrze się rozwidniło i coraz wyraźniej słychać było groźne i namiętne beki zbliżających się ku sobie, zazdrością i gniewną żądzą rozszroczonych byków.

Nagle tuż z pobliza rozległo się ciche, jakby jęczące i wstydlive pobekiwanie. Psy stanęły. Myśliwi zaparli oddechy, czujnie nasłuchując i wzrok wlepiając w stronę, dokąd Hryć wskazywał palcem. Może o kilkadziesiąt kroków na skraju małej polanki poruszyły się gałęzie brzozy raz, drugi raz, jakby je ktoś ściągał na dół i znowu puszczał do góry, aż wychyliła się najpierw głowa, potem cała brunatna postać krowy z małym cielęciem u boku; potem druga, trzecia, wreszcie całe stadko z cielętami, a na samym końcu wyskoczył okazały byk, dumnie podrzucając dwoma na głowie konarami rosochatych wieńców. Usłyszawszy beczenie zbliżającego się rywala, zarył racicami ziemię, groźnie odbeknął, zazgrzytał namiętnie, dumny łeb z orężem i krwią nabiegłymi świecami schylił i czekał. Z krzaków przeciwnej strony nagle, jak piorun, wypada rozszroczony rywal. Rzucają się na siebie i wieńcem w wieńiec uderzają tak gwałtownie, jak dwa w szybkim pędzie zderzające się wozy. Z trzaskiem i łoskotem rosochatych wieńców łeb przy łbie, jeden drugiego napiera, to się cofa, w bok odskoczy, to znów rosochami zewrze w ciągłych podrzutach i zwrotach rozjuszonych cielsk. Wodzą się, zmagają, toczą pianą i pobłyskują zakrwawionymi świecami. Poplątanych wieńców żaden nie może oderwać; badyle grzęzną w torfiastym gruncie; potykają się, kiedy niekiedy nawet przyklekują; walka wątleje, widocznie ogarnia obu śmiertelne zmęczenie.

Nadeszła dla myśliwych stosowna chwila: Jerzy i Franek, przykleknąwszy, mierzą spokojnie i starannie, aż rozległy się jeden po drugim dwa strzały i niemal równocześnie dwa wspaniałe byki, trafione w komory, padają na ziemię, jak kłody.

Przytrzymawszy psy, niemal oszalałe z emocji, podeszli myśliwi do wspaniałej swej zdobyczy, podziwiając grubość i rozgałęzienie wieńców.

— Chwałę — mówił doktor — taką celność strzałów; zginęły w sekundzie rażone, jak gromem, nawet huku nie usłyszawszy. Posilmy się teraz i wypocnijmy, potem musimy zwierzynę wytrzebić, zdjąć skórę i poćwiartować. Franek zaś skoczy na jednej nodze do domu po furmankę, a przywiezie także naczynie na mięsiwo i pakę na kości. Lepiej tu dokonać tej czynności, niż pod domem.

Gdy pod wieczór wrócili, wypytywał Zygmus dziadka o sposoby zakonserwowania tak ogromnego zapasu mięsiwa.

— Najłatwiej byłoby — mówił doktor — pokrajać mięso w cienkie pasy, wysuszyć na słońcu i złożyć w suchem, zimnem, należycie uszczelnionem miejscu. Można by także namoczyć mięsiwo w rozpuszczonym karuku

rybim i wysuszyć, gdyż stwardniały po osuszeniu karuk utworzyłyby dostateczną ochronę przed bakterjami; toż samo jednak osiągniemy, gdy mięswo ogotujemy i wysuszymy, przez co sama mięsna żelatyna dobrze zabezpieczy.

— Na cóż nam, dziaduniu, tyle tego tłuszczu, ta skóra i te kości?

— Ach, tłuszcz przyda się nam bardzo: na mydło na świece, do garbowania skór. Skóry zaś obu jeleni, jak widzisz, wkłada teraz Franek do skrzyni, w której lasowaliśmy wapno; tam nasypie na nie niegaszonego wapna i poleje wodą. Wymoczone w wapiennem mleku, z łatwością dadzą się oczyścić z włosienia. Potem je wygarbujemy. Co się tyczy kości, są one pożyteczne, zawierają bowiem sporo szpiku, który wytopimy na przedni tłuszcz. Zresztą, mój drogi, dobry gospodarz nigdy kości nie marnuje, lecz skrzętnie je składa. Prażąc je bowiem na wolnem powietrzu, otrzymuje się produkt, który, obłany kwasem siarkowym, daje fosforat, łatwo rozpuszczalny w wodzie i wysmienity jako nawóz.

Nazajutrz skoroświt wyruszył Hryć na borsuka, którego norę dawno podpatrzył, a upolować go pragnął głównie dla zwiększenia zapasu tłuszczu; Franek z psami zasadził się w moczarzyskach na łosia; doktor z Jerzym wytapiali tłuszcz i konserwowali mięso. Hania zaś z Zygmutem prócz zwykłych domowych zajęć suszyła grzyby, robiła masło i sery.

Co do grzybów, zbierał je zwykle sam Zygmunt. Był to jego wydział. Codzień rano po śniadaniu chwycił koszyk i podśpiewując wybiegał w las z radością zawsze i rozkoszą, gdyż przy tej sposobności odkrywał coraz to inne i nowe leśne skarby.

Tam wysokopienny bór sosnowy filarami strzelał w górę, jak wspinały tum gotycki. Cisza w nim poważna i uroczysta; czasem tylko niby cicha na organach gra, niby szeroko rozlewny morza szum na wierzchołkach, niby gromadne modlitwy szeptanie. W nadmiarze uczuć, rozsadzających piersi, klękał chłopak, ramionami do grających kółosów puszczy przylegał, jakby zjednoczyć się pragnął z ich modłami. Lub plecami na mchów i igieł dywanie rozciągnięty, wzrok wlepił w witraże światła, przedzierających się między konarami, i nasłuchiwał, jak wierzchołki potrącają się ze stukotem i szumem.

To w sosnowym borze. Ale gęste dąbrowy inny urok miały: tyle zieleni bujnej, tyle ptactwa, tyle form i barw, taki życia, rozkoszy i siły nadmiar. Królowała tu promienna radość. Rozprysnęła tu na wszystkie strony odurzająca wonią macierzanek miłość, błyszczącemi furgocząc skrzydełkami za muszką, za listkami, za lotem dzikiego gołębia. Przejmowała Zygmuta pusta chęć wdrapywania się między owe rozgałęzione esy floresy liściastych koronek, kropelkami słońca ozłoconych, czołgania się i wspinania tropem pajaków i korników między pęki listowia: tam pragnął mieć gniazdko, tam oddechać miljonami roślinnych szparek i spoić się z życiem żółędzia.

Na skraju polany wiotkie brzozy w białych koszulkach i z rozpuszczonymi włosów kosami zdawały się czegoś płakać i tęsknić nie wiadomo za czem. Tam właśnie najobfitsze było grzybowisko. Lecz każdą razą, gdy tam przychodził, żal mu było tych żalosnych dziewic i wyrzucał sobie, że im zabiera grzyby.

Grzyby zaś, jakby go znały, chętnie szły do koszyka. Głaskał je, oczyszczał, wiodąc rozmowę, jak z żywymi: poważnie i energicznie z królem borowikiem, pieszczotliwie z żółtą, jak gęsie łapki, lisiczką, żartując sobie z lepkiego maślaka i barwnych gołąbków.

Syt wrażeń z pełnym koszem wracał do domu, składając po drodze wizyty ptasim gniazdom, wiewiórczym norom, szerszeniom, mrówkom.

Tą razą zastał matkę w piwnicy. Łyżką zgartywała z hładysz gęstą na wierzchu osiadłą śmietaną i zlewała ją do maśnicy.

— Dobrze, żeś rychło dziś wrócił — mówiła — pomożesz mi robić świeże maselko, ja zaś zajmę się robieniem serów. Patrz, tę maśnicę, pełną kwaśnej śmietany, szczelnie zamkniemy denkiem. W otwór denka wchodzi drążek, którego jeden koniec z podziurkowanym krążkiem zanurzam w śmietaną, drugi zaś, nazewnątrz wystający, ujmiesz ręką i będziesz tak długo posuwał w dół i w górę, aż w śmietanie odłączy się przez burzenie tłuszcz, t. j. masło, od maślanki.

— A ze śmietanki słodkiej nie dałoby się zrobić masła?

— Owszem, zapomocą przyrządów, których tu nie posiadamy.

— Co to jest kwaśnienie mleka, jak to zjawisko wyjaśnić?

— Wszak podobno dziaduś opowiadał ci już o bakterjach. Mleko prócz wody (87·70%), tłuszczu (3·320%), sernika (2·910%) i niewielkiej ilości innych ciał zawiera nadto 4·840% mlecznego cukru, który pod wpływem pewnego gatunku bakteryj, dochodzących z powietrza, fermentuje, t. j. zmienia się w kwas mleczny. Na tem właśnie polega kwaśnienie mleka.

— Lecz mleczne bakterje są nieszkodliwe?

— Kwaśne mleko, mój kochany, należy do najzdrowszych dla ludzi pokarmów, byle tylko krowę, jej wymioną, jej całe otoczenie, a także ręce przy dojeniu i naczynia wszystkie na mleko utrzymywać w jaknajwiększej czystości. Z brudu i obrzydliwego niechłujstwa rozmazają się gatunki mlecznych bakteryj szkodliwe, które sprawiają, że mleko cuchnie, przy gotowaniu łatwo się zwarza, a po skwaśnieniu robi się kleiste i wstrętne. Kwaśne mleko jest nieocenione, jako pokarm, jeżeli krowa pewna, lub jeżeli się zakwasi po przegotowaniu, od czego giną szkodliwe zdrowiu bakterje. Niektórzy nawet utrzymują, że regularne spożywanie tak sterylizowanego kwaśnego mleka znakomicie wpływa na przedłużenie ludzkiego życia.

— Ale teraz bij bez przerwy śmietaną, ja zaś hładysze z kwaśnem mlekiem poustawiam na ciepłym przypiecku, aby tam ścięło się w twaróg.

— A ser jak mama robi?

— Gdy w cieple oddzieli się w kwaśnem mleku sernik od serwatki, zawartość hładysz wleję do woreczków, które przytłoczę deską i kamieniem, aby ściekła serwatka. W ten sposób w woreczkach zostanie tylko ser, w miarę wysychania twardniejący.

— A serwatka?

— Do picia nierogaciznie; mało w niej pożywienia.

— Czy sery można robić tylko z mleka kwaśnego?

— Tak zwane szwajcarskie sery wyrabiają ze słodkiego, wywołując sztuczną fermentację przez dodawanie podpuszczki, t. j. śluzowej błony czwartego cięłego żołądka. Robić tego nie będziemy, raz, że nie mamy podpuszczki, powtóre, że zwykły nasz, prosty ser krajowy bez żadnych korzennych lub roślinnych przypraw, bez żadnego sztucznego zagnilenia uważam za najzdrowszy.



Mówiąc to odeszła do swoich serów, a Zygmusł pracowicie i cierpliwie począł bić masło.

— No, jak ci się powodzi? — pytała, wróciwszy po godzinie.

— Biję i biję, aż ręce rozbólały, i nic!

— Być nie może! Otwórzmy maśnicę. No jakże? Widzisz przecie, co się ze śmietany zrobiło, ile w niej drobniutkich gruzelków. Popracuj jeszcze czas jakiś, aby masło zupełnie oddzieliło się od maślanki, a gruzelki tłuszczu społy się w większe bryły. Aby ułatwić ów proces, dolejemy do maśnicy nieco ciepłej wody.

— Ach, to tak? Myślałem, że odrazu cała bryła masła powstanie.

— Mój drogi, nic w przyrodzie nie powstaje „odrazu“, jak mówisz, gotowe i skończone. Wszystko przechodzić musi naturalne fazy rozwoju, czyli wyłaniać się i przekształcać, jakby stopniowo rozwijało się z kłęбка. Podobnie w duszy ludzkiej się dzieje, a nawet w społecznych zjawiskach ludzkich. Każdy rzeczywiście pożyteczny postęp dopełnia się tą naturalną drogą stopniowego rozwoju, którą ludzie zowią ewolucyjną, podobno od łacińskiego jakiegoś wyrazu.

— Evolve — zawołał Zygmunt — co znaczy: rozwijam.

— Otóż to. Niestety, ludzie nawet dobrej woli, ale zbyt porywczego i niecierpliwego usposobienia, pragnąc odrazu zapobiec złemu, gwałtownymi czynami nieraz mimowoli wstecz cofają postępową ewolucję.

— Czy nie lepsze to od zupełnego zubożenia i zastoju?

— Może i lepsze. Tylko, widzisz, stare rzeczy zniszczyć łatwo, lecz na gruzach zniszczenia tworzyć nowe: bardzo i bardzo trudno. Nim motyl pocznie w słońcu bujać, musi od jajeczka przejść wszystkie fazy rozwoju. Tak już chce natura rzeczy. Nawet Bóg wszechmogący stwarzał świat przez dni szeregi i te dni stwarzania dotychczas zamknięte nie są.

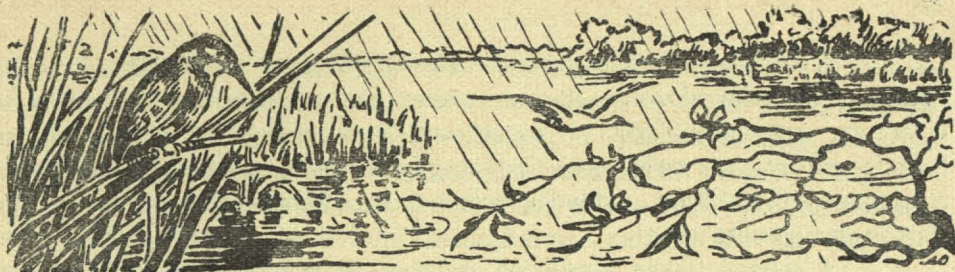
Tak rozmawiając skończyli bicie masła, które następnie wypłókano i w osobnym ugnieciono naczyniu. Sery także leżały pod prasą. Doktor zaś i Jerzy wytopili tyle tłuszczu, że już można było wyrabiać świece i mydło. Popołudniu przydzwigał Hryć borsuka, którego zaskoczył, gdy ostrożnie obzierając się na wszystkie strony, wylazłszy z nory, legł na słońcu i popadł w drzemkę. Wytuczony był, jak świnka, i znakomicie powiększył zapasy tłuszczu.

Ale Franek dnia tego wrócił dopiero pod wieczór, straszliwie zmęczony, zły i jak nieboskie stworzenie zabłocony. Zwykle tak gadatliwy, teraz nie chciał długo mówić, narzekał jeno i kłął na czem świat stoi na łosia, którego postrzeliwszy, gonił po tropach przez bagna, mchy, krzaki i wreszcie nie dogonił. Jakiemi go przezwiskami za to obsypywał, byłoby wstyd powtarzać. Jeszcze więcej się rozgniewał, gdy zgorzony doktor czynił mu wyrzuty za lekkomyślne strzelanie.

— Pamiętaj sobie, Franku, — mówił — żebyś nigdy nie strzelał do zwierzyny, nie mając pewności, że ją na miejscu zabijesz. Tylko ostatni fuszer, zasługujący na nazwę rzeźnika, nie zaś szanującego się myśliwego, raz po raz zbarcza i rozsiewa za sobą postrzałki.

— Językiem zabić łosia taksamo łatwo, jak cyrankę, — mruknął nachmurzony Franek.





XII.

CZAPLE — ZWIERZYNIEC — UWAGI DOKTORA O STOSUNKU LUDZI DO ZWIERZĄT — JESIEŃ — NOCNA WYCIECZKA — WIDOK NIEBA

Któreś niedzieli rano począł Zygmus namawiać rodziców, by dla wypróbowania nowego czółna zrobili z nim wycieczkę do owej wyspy na jeziorze, dotychczas niebadanej, choć widnej zdaleka.

— Pojedziemy, gdyś taki ciekawy, byleś nam pomógł wiosłować, — zdecydował Jerzy.

Czőłno było lekkie, obszerne, z dnem dobrze wysmołowanym. We trójkę, pracując wiosłami, szparko odbili od brzegu, po gładkiej powierzchni i w cudnej pogodzie, kierując się wprost ku wyspie.

Słońce, zbliżone ku zenitowi, odbijało się w spokojnej wodzie, niby w lustrze.

Cicho; tylko od trzciny i sitowia falami płynął gwar ptasi; chróściel gdzieś zaderkał; trzy wrony z krakaniem pogoniły za jastrzębiem; ten, przeciągle gwizdnąwszy „jwie“, uderzył na nie, zdawało się, że przyjmie walkę; nie, zawrócił, zakreślił z szumem skrzydeł wspaniały łuk w powietrzu i z zawrotną pomknął szybkością, wyciągnąwszy łapy i pozornie nawet nie ruszając skrzydłami.

— Zbój — zawołał Zygmus. — Mówił dziadunio, że drugiego ptaka tak żarłocznego i krwiożerczego, jak jastrząb, puszcza nie zna. Nawet jednego gniazda rodzeństwo pożera się wzajemnie podczas głodu, gniazdo zaś jastrzębie wygląda, jak szlachtuż.

— A nie dodał, jak troskliwie matka jastrzębia wysiaduje i karmi swoje pisklęta, jak zaciekle i śmiało w każdym niebezpieczeństwie staje w ich obronie?

— To samo spotykamy u wszystkich zwierząt.

— Widzisz — zauważyła Hania — matczyzna miłość nie zna granic, a jest czemś tak silnem i pierwotnem, jak samo życie. Niestety, tego powiedzieć nie można o miłości dzieci ku rodzicom.

— Wdzięczność i miłość dzieci ku rodzicom — dodał Jerzy — jako rzadsza i bardziej złożona, jest uczuciem już pochodnem, ale przez to wyższem, szlachetniejszym i więcej uduchowionem, więcej właściwem ludzkiej naturze, niż zwierzęcej. Dzieci, gdy wyrosną, zasoby dobrodziejstw, otrzymane od rodziców, oddadzą własnemu potomstwu, spłacając w ten sposób zaciągnięte długi.

— A jednak, jakże szczęśliwi rodzice, których w bezsilnej starości otacza miłość, wdzięczność, cześć i przywiązanie dorosłych dzieci! — zauważyła Hania.

— Zapewne, jest to najdroższy skarb starości, zdobyty zasługą szlachetnie spędzonego życia; brak tego skarbu bywa czasem ciężką za winy pokutą, a czasem niezawinionym tragizmem, i wtenczas jest straszny!

Już dopływali do wysepki i zanim na niej wylądowali, po obrzydliwej woni i gardłowych, przykrych wrzaskach poznali, że cała jest siedliskiem czapli. W gęstym lasu wierzb i olszyn widać było mnóstwo gniazd czaplich, po kilkanaście nieraz na jednym drzewie, wszystkie pośpiesznie i byle jak sklecone. Wysiedli z czołna i szli w głąb przez zielska, między trzcinami ku olchom, nie zrażając się ani coraz wstrętniejszą wonią zgnilizny, ani coraz chrapliwszem skrzekczeniem i krakaniem. Pod drzewami musieli stąpać po ziemi, zasypanej skorupami jaj, pierzem, odchodami i kośćmi ryb i różnego ptactwa. Spotkali nawet na tem ohydnem cmentarzysku małe czaplątko, które wyrzucone z gniazda, trzepotało skrzydłami i pełzało, żałośnie skrzecząc. Czaple, które żerują w nocy, spały teraz, lecz spały bardzo niespokojnie, wrzaskliwie kracząc: „koa, koei“, złoścąc się, dokuczając sobie wzajemnie. Jakaś niemłoda wygodnicka siedzi w swoim gnieździe, niby drzemie, ale ustawicznie wyraża swoje niezadowolenie: to się kręci, to drapie się, to krzyczy. Nagle widząc, że kawałek gniazda wykrada jej sąsiadka, rozdziawia leniwie swój wielki, czerwony dziób i zaczyna krakać w niebogłosy, dając wszystkim dookoła czaplom hasło do strasznego wrzeszczenia i łopotania skrzydłami.

Było to tak nieznośne, że nasi znajomi czempredzej zaczęli opuszczać zarośla i zdążać ku swej łodzi.

— Jakże podobała ci się, Zygmusiu, czapla wyspa? — pytał Jerzy, gdy odpływali.

— Myślę — odpowiedział chłopak — że czaple są leniwe, złośliwe i głupie. O wiele więcej podobały mi się przezorne, zawsze wesołe żórawie. Chciałbym jeno poznać życie czapli podczas nocnego żerowania.

— Poproś dziadunia, aby dziś po zachodzie słońca jeszcze raz wziął cię na tę wyspę.

Tegoż dnia po obiedzie gwarzyli wesoło, siedząc na murawie blisko zabudowań w cieniu rozłożystej lipy. Zygmus tu zgromadził na popołudniowy pokarm cały swój zwierzyniec. Gdy mlekiem, chlebem i jagodami karmił wyderki, lizała go po twarzy sarenka, warchlaczek z chrukaniem

trącał go ryjkiem po nogach, a zwinna łasiczka to z kolan wskakiwała mu na jedno, potem na drugie ramię i na głowę, to znów łapką głaskała go po twarzy, jakby się przypominając, to przykucnąwszy uważnie rozglądała się czerwonymi ślepkami na wszystkie strony. Gdy zaś przyszła na nią kolej picia z dłoni Zygmunta mleka, nasycone już wyderki popisywały się świeżo nabytymi sztuczkami: tarzania się po murawie, chwytania się za ogonki, droczenia się z psami, koziołkowania, gonitwy za muchami i motylami.

Ale doktor odwoływał je od tych płochych zabaw, rzucał im figurę ryby, grubo ze skóry zszytą, i przyuczał do aportowania.

Najpocieszniej było patrzeć, jak wyderki i łasiczka, same już nakarmione, przeszkadzały karmieniu warchlaka i orlęcia, droczyć się z nimi i pobudzając do gniewu. Orlątko to, niedawno schwyte, okazywało porywczą, dziką i dumną naturę, gotowe odpowiadać na każdą zaczepkę dziobem i pazurami w obronie królewskiej swej godności.

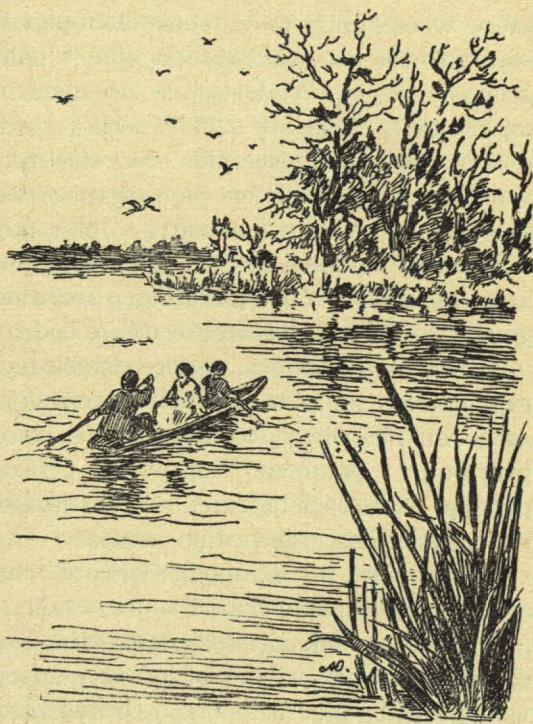
Gdy się wreszcie rozeszli, jedni na drzemkę, drudzy na przechadzkę, doktor, zatrzymawszy Zygmunta, mówił:

— Ciesz się, mój chłopcze, że tak kochasz zwierzęta.

Są one wdzięczne, odczuwają i odwzajemniają miłość. Nigdy też nie uciekałyby z łękiem od ludzi, gdyby się nie nauczyły obawiać ich okrucieństwa.

— Czyż ludzie obchodzą się ze zwierzętami okrutnie?

— Niestety, mój chłopcze, na hańbę ludzkiego rodu trzeba powiedzieć: Tak okrutnie, że dość silnem słowem napiętnować tego nie sposób. Pod tym względem nie złagodziły człowieka ani religja, ani cywilizacja, ani towarzystwa ochrony zwierząt, ani nawet oczywistość własnej szkody i straty. W moich długich wędrówkach po świecie spotykałem widoki dręczenia i tępienia zwierząt, przejmujące zgrozą, o pomstę wołające do nieba: dla zysku, dla zabawy, dla dogodzenia głupiej modzie i próżności, z dzikiej i ślepej żądzy mordy i katowania, z nagłych popędów wściekłego gniewu, z podłej tyranji, znęcającej się nad bezsilnym i bezbronnym,



czasem ze źle skierowanych popędów walczenia z niebezpieczeństwem. Niektóre gatunki pożytecznych zwierząt prawie do nogi już wytępione. Dziś jeszcze blisko milion bizonów buja swobodnie po stepach północnej Ameryki. Przed dziesięciu laty było ich dwa miliony, za lat dziesięć zostanie może kilka okazów. Dlaczego? Gdyż myśliwi zabijanie tych wspa-
niałych zwierząt uważają sobie za miły sport, szukając w tem chluby, kto dziennie zabije więcej. Stąd na stepach, od kości bielejących, tysiące cielsk bezużytecznie gnieje. Istnieje rosyjsko-amerykańskie towarzystwo, które w ostatnich paru latach wytępiło 15.000 bobrów na Kamczatce i dostarczyło na płaszcze koronacyjne i baldachimy cara 100 tysięcy skórek gronostajowych. Wieloryby w oceanach coraz rzadsze; sirusie na Saharze za lat kilka staną się osobliwością; nie będzie z kogo drapieżnie wydzie-
rać żywcem cennych piór dla strojnis. Owe damy europejskich stolic warte są wiwisekcji lub piętnowania, tak pochopnie do różnych zwierząt stosowanego. Jakże bowiem bez piór ptasich wyglądałyby ich kapelusze, wachlarze, suknie i szale? Ileż to milionów szczygłów, szpaków, czyży-
ków, sikorek, wróbli, kanarków, kolibrów, papug, rajszych ptaków, mew, gołębi, chróścieli, pantarek codzień, codzień na ten cel idzie do magazynów!

Wszak nie wiesz, że przedsiębiorcy skórę z rajszych ptaków zdzie-
rają żywcem, aby barwa piórek połysku nie straciła!

Ani nie wiesz, co wyprawiają we Włoszech. Mnóstwo tam ptaków przylatuje z północnej Europy na przezimowanie, setkami tysięcy ofiarą padając chciwości ludzkiej. Najokrutniejsze jednak i najstraszniejsze jest tresowanie złowionych żeb, kosów i drozdów do wabienia w sieci, rocolo zwane, innego, na swobodzie jeszcze bującego ptactwa. Już na wiosnę zaczyna się ta katowska tresura. Chodzi o to, aby śpiewaki, do wabienia przeznaczone, tak się stały oswiałe, by na czas dłuższy zupełnie zanie-
chały śpiewania, a później po wypoczynku tem piękniej śpiewem swym wabiły. Tedy kaci oślepiają je rozżarzonemi drucikami najpierw na jedno, po ośmiu zaś dniach — na drugie oko; po dalszych ośmiu dniach wydzie-
rają im piórka i lotki ze skrzydeł, przez resztę wiosny i przez całe na-
stępne lato trzymając w ciemnicach. Dopiero w jesieni, gdy ma nastać połów, biedne ptaszęta, na powietrze i słońce wyniesione, zaczynają oży-
wiać się, swiergotać i wreszcie po całych dniach wyspiewywać i wabić swym śpiewem do zdradzieckich sieci całe roje wolnego ptactwa.

— O dziaduniu, dziaduniu — wołał Zygmus, zakrywszy sobie oczy — jakież to potworne!

— Pociesz się, nie wszyscy ludzie są tak okrutni. Słusznie wielbimy piękny czyn sławnego malarza włoskiego, Leonarda da Vinci, który zoba-
czywszy raz na targu klatki, pełne śpiewaków, wykupił je i puścił na swobodę, ciesząc się widokiem ich wesołego odlotu. A inny Włoch, św. Franciszek z Assyżu, rozmawiał z ptaszętami, które siadając rojem na jego ramionach i głowie, rozumiały każde jego słowo, każde skinienie.

Żmije, szarańcza, niektóre drapieżce są niebezpieczne, szkodliwe, na tępienie zasłużyły; znęcanie się jednak nawet nad nimi jest barbarzyństwem, którego nie nie zdoła uniewinnić. Cóż dopiero powiedzieć o barbarzyńskim wytępianiu podczas tarła pożytecznych ryb dynamitem lub truciznami? Jak napiętnować zdziczenie tych, którzy drobny narybek wyławiają, zanim podrośnie? Jak wysłować katusze, których najniewinniej doznają różne zwierzęta od okrutnego i chciwego łupu człowieka? Czy możesz sobie wyobrazić mękę węgorza, który nocną wędką na hak złapany, kilka godzin rzuca się i kaleczy, zanim odgryzłszy sznur nie ucieknie? Tchórz lub kuna, schwymane w łapkę, odgryzają sobie nogi, byle uciec na wolność. A ów lis zatraskiem za dolną schwymany szczękę i konający w zawieszeniu między ziemią a niebem? A owa mysz, krwawiąca się o druty w łapce przez całą noc, spocona, skulona, umierająca ze strachu? A owe gęsi szeregami na wznak poprzytwardzane na marmurowych stołach pasztecarni, sześć razy dziennie przemocą napychane kluskami i tysiące razy głowami z rozpaczny uderzające o marmur? A motyle żywem przez okrutnych malców szpilkami przekłuwane?

Mało kto wie o tem, jak w okolicy Bordeaux we Francji utrzymuje się pijawczarnie. Wpędzają tam do stawów stare, spracowane i bezsilne konie, aby krwią swoją karmiły pijawki; a gdy wskutek utraty krwi omdlewają, wywleka się je, odkarmia na łąkach, aby po pewnym czasie znów wpędzać do stawów.

Kucharze dla dogodzenia wielkim panom umieją w szczególny sposób drób przyprawiać „na dziko”: wrzucym spirytusem lub korzennym winem zalewają żywem kury, kaczki i kapłony; albo też zabijają je bez upustu krwi skręcaniem szyjek i duszeniem. Po tak smacznie spreparowanej biesiadzie rozbawione i syte towarzystwo darmozjadów wyrusza na zabawę strzelania do gołębi, hucznym wybuchając śmiechem na widok, jak z poodrywanymi nóżkami, pokrwawionymi dziobami, pokaleczonemi skrzydłami spadają nieszczęsne między zarośla i giną w długiej męce.

A walki byków? A grozą przejmujące okropności szlachtuzów? A biciem po pysku i po brzuchu zmuszanie koni do dźwigania nadmiernych ciężarów? A niezliczone inne okropności w stosunku człowieka do zwierząt? Widziałem w Paryżu zwyrodniałe damy, pijące szklankami ciepłą jeszcze krew świeżo w szlachtuzie zabitego wołu; widziałem i takie, które dla poprawienia swojej cery śpieszyły do kąpieli w krwi bydlęcej.

W taki to sposób na zwierzętach do dzikości nagina człowiek ludzką w sobie naturę, która następnie w czynnem zastosowaniu do cierpień bliźnich okazuje się obojętną lub twardą.

Nie dziw, że zgrozą przejści ludzie szlachetnych i żywych uczuć od najdawniejszych czasów, z wielką siłą przekonania zwalczali mięsożerstwo, a w nowszych czasach powstały nawet towarzystwa t. zw. wegetarjanów, którzy żywią się tylko pokarmem roślinnym.

— Ach, dziaduniu, i ja od dnia dzisiejszego chcę być wegetarianinem — zawołał Zygmus.

— Powoli, mój drogi chłopcze! Ty obecnie winienesz we wszystkim stosować się do woli rodziców. Gdy dorośniesz, uczynisz, jak zechcesz. Wegetarianizm, ze stanowiska uczuć pochwały godny, podlega krytyce i wątpliwościom pod względem obecnej praktyczności. Co przez długie szeregi pokoleń stało się potrzebą organizmu, choć szkodliwe w zasadzie, nie daje się bez szkody jednym zamachem odrzucić. Zda się wątpliwości nie ulegać, że w roślinnym i mineralnym świecie jest zawarta niezmiernie bogactwie, a do wyżywienia ludzi aż nadto wystarczająca spiżarnia. Może kiedyś do tej wyżyny dojdzie postęp, z której mięsożerstwo wyda się ludziom podobnie barbarzyńskie, jak nam dziś wydaje się ludożerstwo.

Dosyć tej smutnej rozmowy. Nie dlatego mówiłem, byś zwątpił w wartość ludzkiej natury. Głębsza ona, niż sądzą pesymiści, udoskonaląć się jednak musi własną mocą i wolą przez długie epoki postępu, zastojów i cierpień. — Pójdziemy teraz w puszcę, wyobraźnię jej obrazami pokrzepić.

Szli, a doktor, bacznie obserwujący wszystkie zjawiska życia roślin i zwierząt, nie szczędził wnukowi swoich uwag.

Już zbliżała się jesień, ale cały las wrzał jeszcze bujnym ożywieniem. Zwierzęta żyły w obfitości i dosycie. Poprzekwitały rośliny, krzewy i drzewa, sypiąc z pękających owoców i łupin wraz ze zwiędłym, żółkniejącym listowiem nasiona na zasiew przyszłego lata, na zapas zimowego pokarmu.

Z dzikich grusz i jabłoni spadały na ziemię gniłki, z dębów żołędzie, z leszczyn żółte z suchych osłon wyłuszczone orzechy, z bukowych drzew tłuste, drobniutkie bukwy. Rozchwytywały je, w zwałach suchych liści wygrzebując i chciwie pożerając, ptaki, ślimaki, owady i robactwo. Korony kalin i malin, dereni i berberysów, orzyn i głogów, jałowca i jarzębiny, porzeczek i bzów dzikich, przyozdobione szkarłatem koralu lub błyszczącą czernią pereł, z wolna tracić zaczęły swe ozdoby. Ale długo jeszcze aż do pierwszych śniegów błyszczały, jak kwiaty, całą gamą różnych barw od żółtej i blado zielonej do purpurowej — suche liście, uporeczywie na szypułkach tkwiące, niemniej brzosznicowe pola, czerwieniejące żywą barwą po polanach między zaroślami.

Tylko wrzosowisk fiolety przybladły, macierzanki mniej odurzały wonią; za to woń korzenna, ostra szła z liści i nasion, jak z kadzielnic, a po trzcinowiskach wysoko sterczały pałki, zdobne u góry w czarno-brunatne berła. Korzenie, łodygi, bulwy wszędzie napęczniały dostatkami mięsna, skrobi i cukru.

Nieleniwe a roztropne zwierzęta, czego pożreć nie zdołały, zapobiegliwie wlokły do zapasowych spiżarni na zimę.

Niektóre gatunki ptaków, widząc słońce codziennie na świtanie opieszalsze, a naglejsze przy zachodzie, gotować się jęły do odlotu.



Ale czas był piękny jeszcze. To też dnia tego samego po wieczery przy bladym świetle księżyca, który mgławie nad jeziorem prześwieciał

opary, wypłynął doktor z Zygmuśiem ku czaplej wyspie. Omijając trzciny, byli świadkami pierwszego może odlotu ptaków.

Oto stadko gęsi ujrzeli w odnodze, zapewne jedną rodzinę. Chciwie żerowały na zapas, zanurzając przednią część ciała, ogony zaś wysoko podnosząc nad wodę. Stary gęsior, pluskiem wioseł zaniepokojony, trwoniąc zagęgał i ciężko odleciał. Jakby na dane hasło zagęgała także jego odważna i czcigodna połowica, a następnie krzykliwie skupiwszy całą swą gromadkę, sama na pewien czas, jakby dla zbadania niebezpieczeństwa, odlatuje; rychło jednak wraca i pogęgiwaniem ucisza zatrwożonych. Wkrótce i gęsior powrócił. Odtąd spokojnie już żerują czas dłuższy, wreszcie naradzają się cichem gęganiem i nagle wszystkie naraz załopocą skrzydłami i wzlatują nad wodę. Wzlatują coraz wyżej, formują się w sznur i wysoko nad lasu wierchołkami znikają.

Gdy pod czapłą wyspę podpłynęli — nowy widok. Tam jedno, ówdzie drugie stado czapli zrywa się, wzlatuje wysoko nad jeziorem i w regularnych oddziałach z krakaniem spada na nadbrzeżne bagniska.

Cichutko, niemal bez szelestu aksamitnem muskaniem wioseł po wodzie okrążają brzegi, wierzbami zaroste i zieleciem; łódka staje w cieniu zwieszających się nad brzegiem gałęzi. W księżycowej poświacie jakieś dziwaczne widma w szarych koszulach z szyjami w kabłak zgiętymi cicho, ostrożnie, powoli snują się na szczudłach nóg, oczy i ostrza żółtych dziobów z natężeniem ku wodzie wymierzają, a ciemne kosmyki piór sterczą na ich głowach schylonych. Nagle jednym błyskiem ich długu szyja, ostrym zakończona dziobem, wypręga się i jak dzida uderza w rybę. Szybkie, dławiące połykanie, poczem dalsze czajenie się i brodzenie.

— Teraz wiesz — mówił doktor — jak żerują nocne czaple.

— Jak po łąkach i błotach bociany.

Noc zapadała coraz ciemniejsza, sierpem księżyca i miliardami gwiazd na niebie roziskrzona.

Nad oparem wody cicho, tajemniczo, niby duchy, jedna po drugiej wzlatują jakieś wątłe, skrzydlate istoty, pobłyskując srebrnymi skrzydełkami w księżycu. Zbijają się w obłoczki i kłębki, które się toczą, przewalają, w różnych stronach wirują. Już miliony ich, już miliardy bujają w szalonych wirach nad wodami jeziora.

— Czy w pogoni za żerem tak uporczywie krążą?

— Kto? Owe jednodniówki? Ani im śni się! — odrzekł doktor — Żerowania ich w postaci gąsieniczek minął okres, tych mianowicie paru lat, gdy o byt ciągle walcząc z niebezpieczeństwem głodu i śmierci samotniczy i rozbójniczy wiodły żywot. Dziś po ostatniej przemianie nie mają nawet narządów, do trawienia pokarmu koniecznych. Zato wdzięk posiadają i skrzydełka błyszczące. Jakby zmartwychwstały teraz na parę końcowych godzin swego bytu, najszcześniejszych i najpromienniejszych: na ekstazę

miłości. Patrz, jak się tłoczą, jak w pary chwytają, jak tańczą, jak omdlewają z roskoszy, jak goreją od miłości, sympatji i uczuć towarzyskich!

Czyż nie jest to przeciwieństwem do dzikiej, wilczej, zabójczej o byt walki?

Ekstaza ta jednak krótko trwa. Oto obłoczki owe, kręcące się i brzęące, jak harmonika, rozdzielają się, opadają, topnieją. Samice rzucają w wodę zapłodnione jajeczka... i same także giną, na żer ryb padając do wody. Samców, miłością upojonych, wiatr na wszystkie strony rozwiewa na pastwę śmierci.

Lecz jajeczka rozwiną się w wodzie, przejdą fazy przekształceń, by za lat parę istoty z nich wzleciały w księżyc uskrzydłone, pobujały godzin parę i nowy posiew gatunku rzuciły w wodę.

To samo ciągle powtarza się co roku od lat milionów; to samo działo się w epoce węglowej, gdy nawet gór na ziemi nie było jeszcze, tylko wiatry gorące wiały po olbrzymich szczytach paproci i skrzypów. I to samo w późniejszej epoce jurasowej, gdy pływał w wodzie potworny Ichtyozaur, a w powietrzu latał ptak-jaszczur, Archaeopteryx, posiadamy bowiem z owych epok jednodniówki, zachowane w bursztynie lub odcisnięte na węglowych blokach.

Wśród takiej rozmowy Zygmunt odłożył wiosło, wzrok ku gwiazdom zwrócił i w niemą popadł zadumę.

— O czym rozmyślasz? — zapytał go doktor, również odłożywszy wiosło.

— Myślę nad cudem świata — odpowiedział chłopak. — Gdyby można było przypuścić, że niektóre z tych niezliczonych gwiazd na niebie ożywione są podobną, jak nasza ziemia, różnaitością życia: jakież zawrotne z tego wnioski, których ani fantazja ogarnie, ani ludzki język wysłowi! Jaki cud, jaka piękność i wielkość Stwórcy!

— Mój drogi, myśl nasza musi przyjąć, że te niezliczone, okiem niedoścignione, w bezmiarach nieskończone nad nami światy przepełnione są niepojętą różnaitością życiowych zjawisk. Odczuwa się instynktem oraz mocą wrodzonego nam daru myślenia tę prawdę, a lubo naukowo jeszcze udowodnić jej nie zdołaliśmy, niemniej ogólnie i zasadniczo wydaje się ona oczywistą.

— W takim razie jedno jest dla mnie niezrozumiałe. Przyjawszy, co wydaje się tak oczywiste, że w postępowym rozwoju światów ziemia nasza nie kroczy na czele innych, lecz raczej o miliony geologicznych epok w tyle, dojdziemy do wniosku, że na innych globach istnieć mogą istoty, nieskończenie wyżej umysłowo i duchowo rozwinięte od człowieka.

— Przypuśćmy.

— Czemuż nie znalazły ani sposobu skomunikowania się z człowiekiem na ziemi, ani wpływania na jego wiedzę, ducha, szczęście.

— Najpierw, skąd pewność, że nie znalazły sposobu tego i nie wierają wpływu, który może tylko dla nas uchwytany nie jest ani dogadza-

jący grubej naturze. Co się tyczy skomunikowania się, jak powiadasz, zależy ono od mocy i woli stron obu: i oddziaływać chcącej i tej, któraby miała oddziaływanie przyjąć. Czy człowiek, tak znacznie rozwojowo wyższy od mrówki, znalazł sposób porozumiewania się z nią i wpływania na jej psychiczny rozwój?

Ale rozmowa nasza zesłała na manowce, jak zwykle bywa, gdy traci grunt pozytywnej wiedzy, a zacznie podawać żagle na wiatr przypuszczeń, fantazji i pragnień osobistych.

Wróćmy tedy do rzeczy, dających się rozliczać, rozmierzać i rozważać. Zaciekało cię niebo, zasiane gwiazdami. Zaciekały nietylko żaby w błocie, ale także ta wspaniała, ta niezmierzona, ta szeroko nad naszymi głowami rozwarta i cudów głoskami zapisana księga wszechświata, której alfabetu dotychczas jeszcze nie poznali najznakomitsi nawet astronomowie, chociaż już znaczne obszary oceanów nieba zmierzili i zliczyli.

Zawrotu głowy doznajemy, wzrok, jak w przepaść, zapuszczając w te otchłanie gwiazd, nad nami świecących; ludzka wyobraźnia wzdyma się, jak żagiel, na ten widok; uczucie to drętwieje z lęku, to nie posiada się z zachwyty: tak nas przenika przezuwanie niezgłębionych przeznaczeń, tak w proch unicestwienia świadomość niemocy wobec straszliwej potęgi i wielkości światów.

Nic w całym życiu, w całej przyrodzie tak głęboko, tak głośno nie ogłasza nam nieśmiertelności ducha, jak te mirjady gwiazd na niebie.

Spojrzyj: tam na lewo od Polarnej gwiazdy i Małej Niedźwiedzicy w pobliżu wspaniałej Liry świecą gwiazdy owe Herkulesa, ku którym z zawrotną szybkością pędzi nasze słońce z całym swym planetarnym systemem: z Merkurym, Wenerą, Ziemią, Marsem, Jowiszem, Saturnem, Uranem, Neptunem i wszystkimi ich księżycami.

— Nie odczuwa się, ani dostrzega okiem żadnego ruchu; wszystko zda się spoczywać w bezwładzie.

— Zawrotne ogromy i odległości to sprawiają, jednak udowodniono, że wszystko krąży porwane huraganami wielorakich wirów. Nasza ziemia wirując dookoła własnej osi z szybkością w pasie równika 464 metrów na sekundę, równocześnie wiruje dookoła słońca i pędzi z niem w przestrzeń z niepojętą dla umysłu ludzkiego szybkością 29.500 metrów na sekundę, t. j. 38 razy szybciej od kuli armatniej. Gdyby zderzyły się z sobą w tym potężnym wirze dwie planety, w mgnieniu oka stałyby się rozpyloną i ogniem zionącą mgławicą.

O ogromach zaś ciał niebieskich i bezdennej przestrzeni, która je rozdziela, trudno ziemską miarą dać wyobrażenie. Najbliższy ziemi nasz księżyc jest od niej oddalony o 38.400 kilometrów, czyli tak daleko, że głos z tego globu doszedłby do nas w przeciągu 13 dni i 20 godzin zaledwo, a pocisk broni palnej w dniach dziesięciu. Odległość ziemi od słońca jest 385 razy większa, a od najbliższej nam gwiazdy α w konste-

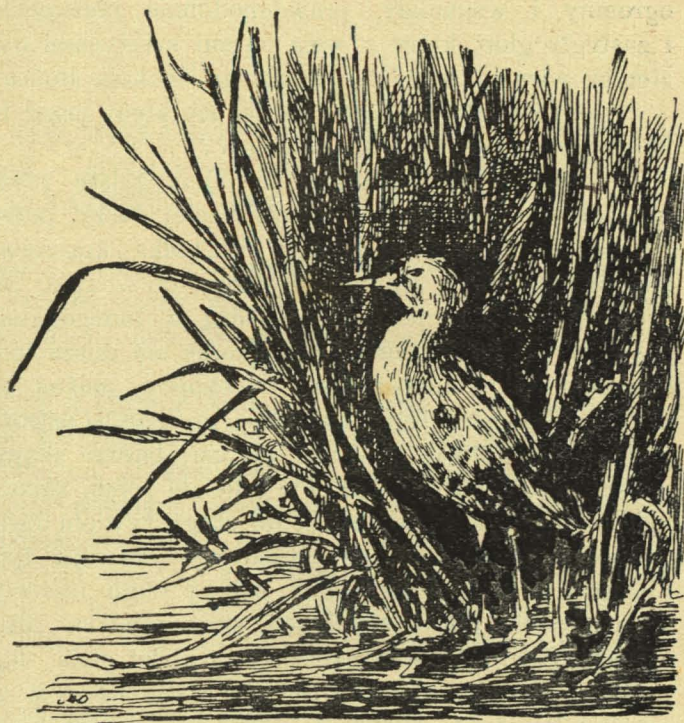
lacji Centaura 100 milionów razy większa! Astronomowie mierzą astralne odległości szybkością światła, wynoszącą 300.000 metrów na sekundę. Owóż światło gwiazdy α Centaura dopiero w ciągu 4 lat dobiega do nas, a są gwiazdy, których światło musi zdążać do ziemi lat setki, nawet tysiące!

— Ile też gwiazd naliczono?

— Nieuzbrojone oko rozróżni ich zaledwo 6.000, ale odkryto teleskopami przeszło 43 milionów, rzeczywista zaś ilość jest bez granic.

— I wszystkie są słońcami, którym, jak naszemu, towarzyszą planety z księżycami?

— Trudno co innego przypuścić, zwłaszcza, że nasze słońce jest jedną z gwiazd mniejszych. Zresztą, mój drogi, na niebie są tajemnice, o których nikomu się nie śniło, których blady zaledwo wyraz czasem jest pochwytny. Różnice już samej wielkości gwiazd są olbrzymie; dodaj do tego, że różne gwiazdy różne mają zabarwienia: czerwone, szkarłatne, pomarańczowe, fioletowe, smaragdowe, szafirowe. Jedne już zagasty powoli, inne pokazywały się i znikły, znów inne zmie-



niają perjodycznie natężenie i barwę swego światła, są podwójne i potrójne, są całe mgławice, żadnym teleskopem nie dające się rozdzielić na gwiazdy.

— Niech mi dziaduś pokaże na niebie gwiazdę polarną.

— Nietrudno ją znaleźć. Oto siedem owych gwiazd, widzialnych w każdej porze nocy, stanowi konstelację Wozu Dawida, czyli Wielkiej Niedźwiedzicy. Jeżeli od jej gwiazdy α do β poprowadzimy linię prostą i przedłużymy ją pięciokrotnie, trafimy na gwiazdę polarną, stanowiącą zakończenie ogona innej konstelacji, zwanej Małą Niedźwiedzicą, lub Małym Wózkiem.

— Czemu to żeglarze w stronach świata orjentują się wedle gwiazdy polarnej?

— Jest to bowiem jedyna na niebie gwiazda, która w dzień i w nocy

nie zmienia swego położenia; wszystkie inne ruchem 24-godzinnym dookoła niej właśnie zmieniają swoje położenie na niebie.

— A w tej chwili czy widać jaką planetę?

— Przedewszystkiem wspaniałem a niemigotliwem światłem błyszczy oto tam, gdzie wskazuję palcem, Venus, nazywana także jutrzeńką, gwiazdą zaranną, gwiazdą pasterzy, Lucyferem, lub wreszcie gwiazdą wieczorną. Dostrzeżono na niej gęste mgły, chmury, wielką ilość pary wodnej i pasma górskie, wyższe od naszych Kordyljerów lub Andów. W tamtej znów stronie po wyraźnem i niemigotliwem świetle łatwo rozpoznać Jowisza, ogromny i wspaniały, prawdopodobnie niezupełnie jeszcze zgęszczony i zastygły glob, który z 4-ma swemi księżycami dwukrotnie szybciej, niż ziemia, wirując, w 12 latach obiega dookoła słońca.

— Czy dziadunio przyglądał się kiedy przez teleskop tarczy naszego księżycy i jakiego doznał wrażenia?

— Owszem. Wrażenia doznałem zaiste niezapomnianego, przede-wszystkiem mistycznego wstrząsu całej duszy, przerażonej myślą, że owe tak ostro i wyraźnie rysujące się kółka kraterów i całe pasma górskie ze smugami dolin, trupim blaskiem błyszczące, są czemś pozytywnem, czemś realnem, a jednak pochodzą z innego, tak odległego od naszej ziemi globu. Jakże potężnie rozszerzy się dusza ludzka, gdy kiedyś z postępem nauki, z ulepszeniem teleskopów można będzie bliżej spoglądać na tarcze planet! Teraz badawcza myśl musi ostrożnie wysnuwać wnioski jeno z niewątpliwie pewnych, narazie bardzo skąpych przesłanek. Natomiast wyobraźnia ma szerokie pole do rojeń, zaludnia też nieznane globy najdziwniejszymi tworam, do czego żywiołu dostarcza jej nasza ziemia. W różnych epokach jej dziejowego rozwoju żyły na niej tak dziwne rośliny i zwierzęta, że trudno byłoby temu uwierzyć, gdybyśmy w warstwach ziemi nie znaleźli ich skamieniałych szkieletów. W pokładach okresu drugorzędnego znaleziono szkielet gada długości 96 metrów. Pomysł, co za potworna długość! Sam widziałem w muzeum Nowojorskiem szkielet Brontozaura długości 20'44 m., a wysokości 4'88 m. Dynozauiry Dyploki były to ociężałe roślinożerne potwory, z szyją długą, jak fabryczne kominy. Straszliwsze jednak, acz znacznie mniejsze były drapieżne Teropody, które rzucały się w skok na ofiary kilkakroć większe od siebie, chwytając je potężnymi szczękami i przednimi odnóżami, uzbrojonymi w kciuki, jak hak stalowy, mocne. Nie będę ci wyliczał innych gadów, smoków, zaopatrzonych w skrzydła do latania, olbrzymich żółwi i potworów, wobec których nasz słoń lub wieloryb wydałby się karłem.

Patrz teraz na gwiazdy i zaludniaj mocą wyobraźni te niezmierzone i otchłanne światy, lecz nietylko potworami złośliwymi, ale także istotami anielskimi. Zaprawdę, ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani wysłowi język ludzki, co Stwórca gdzieś na odległych wirach bytu tym nagotował, którzy Go miłują.



XIII.

ZBIORY JESIENNE — TOK, „STĘPA I ŻARNA” — LEN I PRZĘDZIWO —
ORZECHY — PALISADY — MYDŁO I ŚWIECE — WYROJE PTAKÓW —
ROZMOWA O NATURZE — JESIEŃ I TĘSKNOTA.

Korzystając z pogody, doktor z Jerzym i Frankiem kosili, wiązali w snopy i ustawiali w mendle owies, jęczmień, groch i proso; do koszów obrywali dojrzałe strąki fasoli; gdy zaś mendle wyschły, zwozili zboże do szopy.

W tymże czasie Hryć z gliny z ziemią zmieszanej, a gnojówką podlanej, wymościł w szopie klepisko czyli tok; gdy po dniach kilku wyschło, wydeptał je starannie i mocno, plewami posypał, znowu wydeptał, poczem do gładkości drewnianymi dobniami przeklepał, cierpliwie wygładzając wszelkie szczeliny i nierówności.

To uczyniwszy, wybrał mocny, tego gruby i po pachy sięgający kłoc dębowy, oczyścił go z kory i ociosał zewnątrz w formie kielicha na wino, poczem jął dłótami jego środek z górnej strony wydrążać, a krańce wygładzać.

— Co to będzie? — zapytywał ciekawy Zygmus.

— Stupa — burknął Hryć, spluwając i w dalszą nie wdając się rozmowę.

Dopiero Franek wyjaśnił Zygmusiowi, że w stępie wytłuka się ziarno jęczmienne lub proso na kaszę zapomocą bardzo ciężkiej, dębowej, jak najwięcej wygładzonej maczugi. Któż dawniej nie słyszał, zbudziwszy się przed świtaniem w zimie, owych z czeladnej kuchni dochodzących przygłuszonych stuknięć: buch! buch! albo hurkotu kamienia młyńskiego z wydrążonym środkiem, obracanego dookoła osi dźwignią. Tak w stępie robiono kaszę, a w żarnach mielono żyto na chleb razowy.

Ale Hania częściej sama, rzadziej przy pomocy Zygmunsa kijanką wymłacała na kamieniu suche lnu łodygi, oddzielając główki z nasieniem; poczem z suchych konopnych łodyg odrywała owoce główaczy; a zsy-pawszy nasiona, układała wiązki łodyg, osobno lnianych, osobno kono-

nych, na płytkim brzegu jeziora, przykrywając je z wierzchu ziemią i umacniając tyką.

— Dlaczego moknąć mają te wiązki? — pytał Zygmus.

— Czem jest gnicie roślinnych tkanek, wyjaśniał ci dziadus, mówiąc o bakterjach. Łodygi lnu i konopi, moknąc przez parę tygodni, nadgniają; wysuszymy je potem i łatwo już międleniem oddzielimy włókna od paździorów zeschniętych i wskutek nadgnicia skruszałej łodygi. Wiesz, co jest międlica lub cierlica?

— Wiem, wiem, przypominam sobie, opowiadał mi i pokazywał Franek: krótka deska z rowkiem na przelot, na dwóch stojąca nóżkach, a nad nią drewniany miecz, do rowka wchodzący, jednym końcem przytwierdzony.

— Doskonale. Uderzając mieczem w łodygi lnu, położone nad rowkiem, pokruszymy je tak, że poodpadają wszystkie paździoiry, a zostaną same włókna.

— A z włókien zrobimy nici?...

— Nie tak prędko, mój chłopcze. Przędzywo, otrzymane na cierlicy, zawiera jeszcze tyle drobniutek paździorów i pakuł, czyli poczochnego włókna, że z tego nikt nie zdołałby uprząść nitek. Trzeba jeszcze należyte wycesać je na metalowych szczotkach.

— A pakuły?

— Służą do skręcania grubych sznurów lub grubych nitek na worki, także do strzelb na przybitki.

— A nasienie lnu i konopi?

— Na zasiew, na oleje.

— I mama umie z przędzywa zrobić nici, a z nici płótno?

— Umie; przyjemne to w zimie, a tak pożyteczne zajęcie. Widziałeś pewno kołowrotek, który mi zrobił Franek?

— Tak, na kołowrotku robi się nici; a płótno?

— Trzeba krosien. Jest to przyrząd więcej złożony, choć dawno znany. Czy Franek potrafi mi zrobić go, nie wiem.

— Teraz powiedz, co wolisz: czy przypatrywać się, jak tam robią palisady dookoła domu; czy pomagać mi przy robieniu ługu, świec i mydła; czy też może poskoczyć w las po orzechy. Przed zimą musisz sam nazbierać pełną beczkę orzechów, pamiętaj.

— Pobiegnę na orzechy; lecz mamusia mi obiecała pokazać, jak robi się mydło i świece.

— Uściskaj mnie; jesteś roztropny, ciekawy i pracowity; ważne to zalety! Jenó w głąb lasu nie zapuszczaj się zadaleko, żebyś nie zabłądził.

— Oho! Całą okolicę znam, jak własną kieszeń. Stąd blisko do takiego leszczyniska, że nazbierałby tam można kilka worów. A wszystko łuskańce, jak воск, żółte i gradem spadające, gdy się leszczynę dobrze potrzęsie,

Więc codzień odtąd wybiegał chłopak na orzechy, a zbierał je zgrabnie i pracowicie, to potrząsając smukłymi pałkami drzewin, to gałęzie osadzoną na drążku kluczką naginając, aby dojrzały w wędnącej łuszczy nie owoc pozrywać.

Pierzchały na ten widok lekliwe wiewiórki, zazdrośnie przypatrując się zdaleka dziwnemu rywalowi.

W tych wyprawach towarzyszyły mu psy, wydry i łasica. Psy krążyły zwykle daleko, ciągle węsząc; wydry biegły tuż przy nogach, okazując miłość ocieraniem się i skubaniem za kierpce; łasiczka zaś najczulej tuliła się ku twarzy i szyi lub skakała po ramionach.

Owe wyderki zachwycaly wszystkich lśniącym futerkiem, zgrabnymi ruchami i pojętnością. Znakomicie nauczyły się już aportować skórzane ryby, nie tylko z ziemi, ale z cebrzyka pełnego wody, a nawet z jeziora. Stopniowo przyzwyczajał je doktor do aportowania ryb prawdziwych i obiecywał, że rychło wyuczą się rybołówstwa.

Tymczasem dookoła zabudowań z pod pił i toporów, kierowanych żyłastymi ramionami czterech mężczyzn, rosły, jak na drożdżach, coraz wyższe i potężniejsze palisady z grubych bierwion, mocno w ziemię powbijanych, ostro ku górze sterczących, tęgimi spojonych łatami. Cała wskutek tego siedziba podobna była do małej forteczki, zapewniającej bezpieczeństwo przed dzikim zwierzem i rozbójnikiem, a obejmowała nie tylko budynek dla ludzi, lecz także źródło krynicznej wody, mogła tedy nieźle wytrzymać nawet parę tygodni oblężenia. Zamierzano ją zewnętrznym rowem i czymś w rodzaju zwodzonego mostu przed wchodową bramą ubezpieczyć.



Z zajęciem śledził Zygmus postępy tego dzieła, żywo interesując się każdym szczegółem. Ale więcej jeszcze nęciło go zatrudnienie matki.

W wielkim baniaku wygotowywała ona roztwór drzewnego popiołu z wodą; w osobnem naczyniu drewnianem lasowała palone wapno, aby pod ręką mieć mleko wapienne. Następnie przydźwigała z piwnicy spory worek kuchennej soli, oraz parę garnków z przegotowanym już i stwardniałym zwierzęcym tłuszczem.

— Wszystko to do robienia mydła potrzebne? — pytał zdziwiony Zygmus.

— Nietylko to; przynies mi jeszcze ze spiżarni ów woreczek z żywicą czyli kalafonją; pamiętasz, dziwiłeś się, dlaczego zbierałam ją z jodeł, świerków i sosen.

— Cóż mama teraz robi? — pytał, powróciwszy z żywicą.

— Ług, wygotowany w baniaku, precedzam przez grube płótno.

— Cóż to jest ług?

— Gryzący płyn, który otrzymałam, rozgotowawszy popiół z wodą. W ługu jest potas, do robienia mydła koniecznie potrzebny, gdyż przy praniu lub myciu łączy się z brudem. Można by także sody użyć zamiast potasu, ale jej nie mamy. Widzisz, teraz, gdy ług precedziła, wleję do niego to wapienne mleko; otrzymam z tego gryzący potas, czyli t. zw. ług mydlarski. Poczekawszy nieco, aż się zagotuje, wrzucać doń będziemy kawały tłuszczu, nieustannie mieszając i gotując przez kilka godzin.

— A potem otrzymamy już mydło?

— Niezupełnie, raczej kleistą i nietwardniejącą masę, zwaną szarem mydłem; trzeba ją będzie jeszcze kilkakrotnie wygotowywać z odpowiednią ilością soli, wskutek czego tłuszcz mydlany oddzieli się od ługu i spłynie na wierzch; i ten dopiero, starannie zebrany i wysuszony, da nam twarde i do prania dobre mydło.

— Do czegoż służyć ma żywica, którą mama kazała przynieść?

— Oprócz mydła do prania, przyda się nam mydło delikatniejsze, wonne i szumiące do mycia się. Osobno tedy w innem naczyniu część mydlanego kleju wygotujemy pół na pół z żywicą. W ten sposób otrzymamy mydło toaletowe.

— A świece?

— Gdy zrobimy mydło, pomożesz mi robić świece. Skręcimy najpierw bawełniane knoty, zawiesimy je szeregiem na drewniku i tak długo zanurzać będziemy do roztopionego łoju lub wosku, aż nalepi się w dostatecznej ilości. Musimy zadowolić się tym najprostszym sposobem, gdyż nie posiadamy rurek do odlewania ani szklanych, ani blaszanych.

Tak zaznajamiał się Zygmus z różnorodnemi zajęciami domowego gospodarstwa, nie zaniedbując jednak głównego swego zadania, t. j. zbierania orzechów.

Ale któregoś dnia wrócił z lasu niezwykle ożywiony i jeszcze zanim do beczki zsypał orzechy, jął dziaduniowi opowiadać o swej przygodzie.

— Zbieram orzechy i nagle słyszę nad lasem coraz większą, rozleglejszą, do ogromnego szumu wody podobną wrzawę. I nawet pociemniało. Patrzę do góry, a tu na wierchołki drzew i leszczyn spada ogromna, gęsta chmura ptactwa. Furga skrzydłami, trzepoce, krzyczy; zaroilo się na wszystkich gałęziach, na każdym krzaku, w powietrzu, na ziemi, nawet na ramionach moich i na głowie. Pociemniało, w głowie mi zawróciło się; oszołomiony, myślałem, że się zaduszę. Tysiące, setki tysięcy drozdów! dziaduś nie przestraszyłby się?

— Bynajmniej, mój chłopcze; i czegoż? Drozdów?

— Ja zrazu nieco się przeląknę, bo stało się to wszystko tak nagle, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Ale rychło przyszło mi na myśl, że drozdy zebrały się do odlotu i spadły na chwilę dla wypoczynku. Więc począłem rozglądać się, a one bez lęku, siadały nawet na moich rękach. Po pewnym czasie zaczęły podlatywać, krążyć, wreszcie ogromną chmurą wzbijać się coraz wyżej, aż z całą wrzawą zginęły pod obłokami. Cóż dziaduś na to?

— Nie w tem osobliwego. Drozdy przed zimą odleciały do południowej Europy i północnej Afryki, gdzie im cieplej będzie, niż tutaj; po zimie wrócą. Widziałeś jak odlatywały dzikie gęsi. Odleciały już do Afryki także wilgi; nawoływały się po nocach, gromadziły i odeszły stadkami polne derkacze, piegże, leśne i błotne kurki. Możesz uważać zeszłego miesiąca, jak po opierzeniu się wesoło świegotały przy ziemi i na drzewach kochane nasze pliszki; cały las wieczorami brzmiał ich gwarem i śpiewem. Aż któregoś wieczora słyhać było ich chóry coraz wyżej, wreszcie szumiały rozgwarem z wielkiej wysokości, zanim nie umilkły zupełnie, pociągnawszy wielką gromadą ku wschodowi, zapewne do Egiptu lub Azji. Jeszcze dziś widziałem turkawki i gołębie, ale i te niedługo zostaną, już bowiem gromadzą się i wnet polecą ogromnemi stadami nad Nil, a za niemi duże stada wróblowatych: gajówki, dzierlatki, czyże, siewki i szpaki. W tych dniach pokażę ci, jak się zrzeszają przed odlotem bociany, żórawie i inne brodzie. Dnia pewnego z krzykiem wzlecą one wysoko pod obłoki, poczem dzień i noc bez przerwy lecieć będą oddziałami. Nad Nil pomkną chyże jaskółki i ze skowronkami krogulce, wreszcie do Włoch — kaczki.

Lecz sporo zostanie u nas, np. niektóre wróblowate, jak zięby, gile, sikorki, no i sławne sojki, które zbierać się w gromady będą, niby do odlotu gotować, zwodzić, zwlekać, wreszcie pozostaną. Stąd przysłowie: „Wybiera się, niby sojka za morze“.

— Ależ to wszystko cudowne, dziaduniu, takie piękne i jakies bardzo smutne.

— Czemu smutne znowu?

— Że nas opuszczają te kochane ptaszyny...

— Opuszczają na zimę tylko, bojąc się śniegu, mrozu i głodu. O wiele miłszy i piękniejszy będzie ich wiosenny powrót.

— Ileż to zginie ich w tak dalekiej i uciążliwej podróży!

— Zapewne, zawsze mniej, niż zginęłoby u nas w zimie. Zresztą pomagają sobie w podróży, lecą gromadnie i karnie, korzystając ze wszystkiego, co do ocalenia i odpoczynku posłużyć może. Nic bardziej godnego uwagi, jak to zrzeszanie się i organizowanie wzajemnej pomocy ptactwa podczas wyrojów. Stwierdzono np., że niektóre najdrobniejsze ptaszyny przebywają ponad wielkimi obszarami mórz na plecach ptaków większych, jak na samolotach, a także z wiatrów korzystają.

— I nie pomyłają się w terminach wyroju, nie pobjadzą w locie, wrócą do własnej ojczyzny?

— Do tych samych miejsc, gniazd i siedzib. Wszystko to świadczy, jak potężna jest w przyrodzie moc instynktu, zrodzonego doświadczeniami milionów lat i pokoleń. Człowiek zawsze uczyć się będzie z zasobu tych doświadczeń. Od dawna ptak umie latać, człowiek zaś nie zdołał sprostać mu w tej sztuce.

Przypatrz się lotowi tego bąka. Gruby, pękaty, stosunkowo bardzo ciężki, z małutkimi skrzydłami; zdawałoby się, że ciało jego najmniej do lotu sposobne; a jednak jakże zręcznie, sprawnie i szparko lata na wszystkie strony, jak wartko siada, zwraca się, zrywa to w dół, to w górę, to w bok, zakreślając zygzaki i koła, omijając każdą przeszkodę, opór stawiając wiatrom, nieścigle goniąc w prostej linii. Z dziedzictwa tysięcy pokoleń nabyty instynkt, acz nieświadomy, większą daje pewność, niż sztuka, świadomą wiedzę i jej prawidłami kierowana.

— Zato człowiek świadomie tworzy i samodzielnie, czego nie znajdujemy w naturze.

— Twórczości natury nie dostrzega wzrok chyba bardzo powierzchowny. Od zarania bytu tworzy ona nowe związki i zjawiska bez przerwy, bez końca, każda zaś istota, każde zjawisko jest tego stwarzania i ogniwem i dowodem.

— Świadomie, czy nieświadomie?

— Mój chłopcze, nie wiesz, jak trudne rzuciłeś pytanie. Przyrodnik musi ci na nie odpowiedzieć: nieświadomie w szczegółach; w całości jednak nieświadoma, zatem bezcelowa twórczość wydawać się musi ludzkiemu umysłowi nonsensem. Tedy na mocy własnej dozy świadomości wierzymy, że istnieje duch świadomą i celową wolą kierujący twórczością natury. Jesteśmy narzędziami i dziećmi tego ducha, drobną iskąrką Jego świadomej i twórczej woli, wyposażoną jej rozmnażania darem.)

Lecz dosyć o tem. Spójrz, jakie wiry wiatru od chmur po konarach pędzą, żółte zrywając liście. Jesień w pełni. Od świętej Hanki, zimne poranki — mówi przysłowie. Biada istotom lekkomyślnym, które ani po-

karmu, ani dachu nie zapewniły sobie na zimę. Może znasz bajkę o koniku polnym i mrówce. Natura dzieci swoje wychowuje zaiste z żelazną konsekwencją i bez żadnego sentymentalizmu różgami doświadczeń, od których obietnicami poprawy nikt nie wyżebrze się, których poniewczasie odwrócić żadna moc nie zdoła.

Rychło już, rychło od zimnych słońc do reszty powiędną liście, owoce rozgniją, w drzewach zamrą ożywcze soki; jak borsuk w jamie, tak my schronimy się pod wymoszczone dachy do ogniska, zabezpieczeni palisadami, aby umiarkowanie używać w zimie zapasów, skrzętną pracą nagromadzonych w lecie.

— Tak, postąpiliśmy roztropnie, gromadząc na zimę zapasy. A jednak, dziaduniu, ogarnia mnie czasem jakaś tęsknota, jakieś niezadowolenie, sam nie wiem z czego i za czym. Czegoś mi jeszcze brak jednak, czemuś zda się, jakby to życie, które w ciągłej i mocnej pracy spędzamy w puszczy, nie było dla duszy wystarczające. Może jest w tem pragnienie szerszego poznania, głębszego nabywania wiedzy, a może brak ludzkiego towarzystwa i podziału doli ludzkiej i niedoli. Czy dziadus nie doznaje czegoś podobnego? Czy myśli, że nie doznaje tatuś i mamusia?

— Jesteś wrażliwy, mój chłopcze, i bardziej, niż sądziłem, rozbudzony. Tak, masz zupełną rację. Życie w puszczy nie może w pełni duszy młodej i dzielnej zadowolić. Co do mnie, mógłbym dziesiątki lat w niej spędzać bez niepokoju ducha, byłem miał możność i czas uzupełniania botanicznych swoich zbiorów i badań. Udało mi się tu rozwiązać już kilka ciekawych zagadnień i mam nadzieję, że wyniki moich badań, przesłane przy sposobności zagranicę, zainteresują uczonych. Tatuś twój i mama są jeszcze weseli i zadowoleni, aczkolwiek nie wiem, jak to potrwa długo. Co się ciebie tyczy, fizycznie i umysłowo zyskałeś tu dużo. Bądźże cierpliwy, zwalczaj swoją tęsknotę, zwalczaj pragnienie szerszych dążeń i ludzkiego towarzystwa. W samotni karmi się i tężeje duch. Bądź dobrej i spokojnej myśli. Nie zagrzebiemy się w puszczy i ciebie tu nie utopimy, wiedząc dobrze, że głównym celem ludzkiego życia jest pożytecznie dla bliźnich pracować, a główną rozkoszą żyć z ludźmi.

Radbyś nam już z ptakami do cieplejszych krajów wyfrunąć! Poczekaj, powstrzymaj się, nie stracisz na tem, jeno zyskasz w niewygodach, w trudach, w umiarkowaniu i ciągłym obcowaniu z przyrodą.



XIV.

JESIENNA SŁOTA — WIECZORY PRZY OGNISKU — ROZMOWA O CZYSTOŚCI — ZIEMNIAKI.

Deszcze jesienne lały od tygodnia; rozmokły leśne mchy i darnie, strugi wody ściekały po liściach i korze drzew, wilgotne mgły nakryły puszcę tak, że śladu słońca na niebie widać nie było, a pnie i konary bez liści majaczyły, jak blade widma. Wszędzie kałuże, mokradła, błoto, plusk i kapanie wody; z jeziora dochodził aż do mieszkania szum wzbieranej fali.

Z konieczności zamknięci w obrębie palisad, nie próżnowali jednak koloniści. To snopy zboża na nowym toku cepami wylącali; to świeżą słomą i gontami łatali dachy; to suchem w pogodny czas nagromadzonem trzcinowiskiem obszywali ściany zabudowań; to drzewo i smolne łuczyno na zapas rąbali w szopie; to koryto strumienia pogłębiali i brzegi jego umacniali, regulując w podwórzu ścieki, a z desek i kamienia układając wygodne chodniki; zabezpieczali stogi siana, słomy i podściółki, wydobywali gnój ze stajni i obory, wozy naprawiali i uprząż, strzelby czyścili, narzędzia ostrzyli: słowem różne załatwiali czynności, jak bywa w gospodarstwie, gdzie wszystko w ładzie utrzymuje się tylko czujną, skrzętną i zapobiegliwą pracą, od gnuśnego zaś zaniedbania tak psuje się i rozprzęga, że do uporządkowania poniewczasie i stu rąk bywa niezaduzo.

Franek znowu najwięcej majstrował i medytował w swojej szopie i to nad krosnami.

Wieczory zaś spędzali razem w wielkiej izbie przy buchającym na kominie ognisku, każdy przy jakimś zatrudnieniu. Hania przędła na kołowrotku, doktor z Zygmutem dawne odnowili próby z kaolinem; Hryć wypłatał z wikliny więcierze i kosze, z łyka kobiele i postoly, a ze słomy rogoże i maty; Franek do czysta wystrugiwał różne kółka, bloczki i inne części krosien; wreszcie Jerzy obejmował rolę lektora, na głos z książek czytając. Niestety zapas lektury ani obfity był, ani urozmaicony: prócz

biblii przekładania Wujka i Psalmów Kochanowskiego nie było więcej nic, gdyż specjalne i w obcych językach pisane dzieła doktora do wspólnej lektury służyć nie mogły.

— Musi jeden z nas kiedy wybrnąć z puszczy na świat, skoro ustali się pogoda, a ziemia obесhnje — mówił doktor. — Odczuwamy dotkliwy brak wielu potrzebnych rzeczy; nawet szczepieniem owocowych drzewek zająć się w roku przyszłym bez zrazów nie będzie można; a chciałbym także odesłać mój rękopis tu wykończony i może listy jakie lub pisma odebrać.

Na to zauważył Jerzy:

— Oczekać z tem wypadnie, aż małemi saneczkami i jednym konikiem uda się przemknąć przez puszcę. Roboty przed zimą sporo jeszcze mamy; przerwała je słońta, aleć lada dzień ona ustanie.



— Ile razy rozbeczy się taka szaruga, porywa mnie złość — mówił Franek. — Bo niechże jeno wyrzy jegomość: ciap, ciap, kapie, siapi, romoli, zbyrce: prawdziwie zwą deszcz taki kapuśniakiem; ani słońca, ni ciepła, wszystko gnije, żółte liście spadają, słotny wiatr dmucha po mokrem poszyciu dachu i po szczelinach. Na duszy smutno; zda się, że na wieki już zostanie taka słońta. Oprócz pracy przy ognisku jedynym ratunkiem byłaby krzyna miodu, którego jednak paniusia nam skąpi.

— Nawarzę wam na wigilię Bożego Narodzenia gorącego krupniku z korzeniami. Teraz, co to chciałam powiedzieć? Aha, wiem, żebyście mi izb, szop i stajni nie zabłacali. Ludzie rozsądni nie lekceważą czystości. Tylko gruby prostak bez odrazy żyje w cuchnących i zagnojonych izbach, na brudnych śpi barłogach, do izby włazi w zabłoconych buciskach lub postołach, ani mydła, ani kąpieli nie używa.

— Tego chyba o nas powiedzieć nie można — śmiał się Franek. — Pani pewnoby zemdłała, gdyby tu kto z nas po tych błyszczących matach

chodzić zaczął zabłoconemi nogami. Wszystko wymyte, wyszurowane, wytarte, wyczyszczone. A krowy i konie jak w pałacu sobie mieszkają, zawsze wyszczotkowane i na suchej podściółce.

— W porządnym domu gospodarskim inaczej być nie powinno — dodał Jerzy. — Czystość koniecznym jest warunkiem zdrowia.

— Raz to — mówiła Hania — a powtórę taka miła, tak przyjemnie żyć w czystym domu, na sobie czyste mieć odzienie. Niechlujny brudas nie tylko choroby na siebie ściąga, ale zazwyczaj brudną ma duszę.

— Dziaduś mówił, że najwięcej szkodliwych bakterij lęgnie się we wszelkim brudzie — zauważył Zygmunt.

— Dobrze, że zapamiętałeś. Nie dosyć jednak wiedzieć, trzeba jeszcze nieleniwić w całym życiu stosować się do wiedzy. Ludzie własnem najczęściej niedbalstwem i własną ciemnotą nabawiwszy się nieszczęść, mają zwyczaj obwiniać zły los albo mówić: Dopust Boży! Gnuśnik nie wygarnie z obory gnoju, nie wymyje ani wyszczotkuje codzien dobytku, gdy zaś bydłę mu schudnie, ośowieje lub zdechnie: dopust Boży! Na podwórzu i w chałupie gniją stopy brudu, z tych zatrutych gniazd rozmnażają się w lecie komary, muchy, myszy, szczury, pchły, na wszystkie strony roznoszące zarazki malarji, cholery, czerwunki, tyfusu i wielu innych chorób; ale gdy on sam, jego żona lub dzieci zapadną na gorączkę, na karbunkuł, na gruźlicę, na czerwonkę, na krosty, na cholere, na szkarlatynę, na raka, lub na dyfteryt: znowu dopust Boży!

— Niechno jegomość przestanie zrędzić, bo już mdlić od tego zaczyna. Lepiej proszę nam powiedzieć, kiedy wreszcie wykopujemy owe sławne jegomości bulwy, ziemniaki zwane?

— Wykopuje się je w jesieni przed śniegiem i mrozem, wcześniej nieco, niż wycina się kapustę.

Nazajutrz ustały deszcze, oziębilo się i jasna tarcza lubego słońca rozpromieniła puszcę. Po kilku dniach, gdy obeschło, koloniści nasi pracowali już w polu, wykopując ziemniaki i resztę ogrodowizny.

Wszyscy szczególnie ciekawi byli ziemniaków. Cały niewielki ich łan oczyściwszy ze zwiędłych łodyg, jedni krok w krok motykami skopywali zagony, inni zaś dorodne żółte lub żółto-fioletowe bulwy zbierali i zsypywali do skrzyni, ciesząc się, że na nowinie i w sypkim gruncie plon był obfity.

— Czekaście — zawołał doktor — nie przerywając pracy; rozpale z Zygmutem wielkie ognisko, a gdy będzie dużo żaru z popiołem, upieczemy kilkanaście bulw, abyście przekonali się, jaki to smaczny pokarm, zwłaszcza z masłem i solą.

Zygmunt z radością skoczył po suche łomaki, za nim nieodstępne wydry, psy i łasica. Za chwilę buchnął potężny płomień, podsycany dorzucaniem zarzewiem. Ożywili się i rozradowali wszyscy zarówno widokiem, jak nadzieją niezwykłego posiłku. Już w stosie popiołu i żaru pieką się

bulwy. Już zwołuje doktor całe towarzystwo na biesiadę, a Hania wydobywa sól i masło z kobieli. Doktor poucza, jak zdejmować zwęgloną lupinę, sam świeci przykładem, ostudza, osala, nakłada świeżego masła i ze smakiem zajada, zachwycając się pysznym pokarmem. Hryć i Franek kiwają głowami z niedowierzaniem, widząc jednak, że inni jedzą bez obawy, decydują się sami.

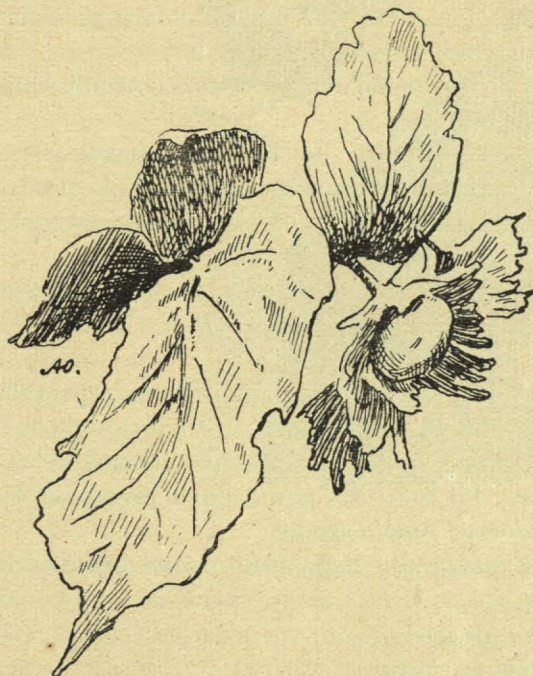
— Dalibóg nieźle — woła Franek — sypkie i smaczne, jakiś niby pański pokarm, nie to, co groch, fasola, pęczak, ale ujdzie. Czy jegomość jeno pewny, że nikt od tego nie zachoruje?

— Najpewniejszy, mój Franku, jedz bez obawy.

— Wątpliwe jednak. Grochu ze słoniną zjesz misę, dobrze poczujesz, żeś syty; tego trzebaby zmachać chyba pół korca, żeby poczuć.

— Nie to, co groch i fasola — mówi Hryć, spluwając.

— Ale suto wyrasta i uprawy wielkiej nie wymaga, przeto stanie się może kiedyś głównym pokarmem ludzi pracowitych i skromnych — dodał doktor.





XV.

KOLONJA BOBRÓW — WALKA ZE ZBÓJAMI — GDZIE ZYGMUŚ?

W nocy była śnieżycą, lecz niedzielny ranek wstał z przymrozkiem w blaskach słońca. Po modlitwie Hania wróciła do domu, mężczyźni zaś, zaopatrzeni na parę dni w żywność, wyruszyli ku drugiej stronie jeziora, aby zbadać, w jakim stanie było bobrowisko. Jak zwykle, wszyscy prócz Zygmunta byli uzbrojeni, choć nie mieli zamiaru polować. Zygmunsiowi towarzyszyły nieodstępne psy, łasica i wydry.

Szli wesoło po skrzepłej od przymrozku ziemi, między drzewami ze śnieżną zaiskrzoną szacią.

Przed wieczorem dotarli do kolonji bobrów i z zajęciem oglądali olbrzymie tamy, setki stożkowatych domków, na brodzisku sterczących i nadbrzeżne przestrzenie lasu, ostrym zębem zwierzątek mocno przeźrebiane.

— Cieszy mnie, — mówił Jerzy, gdy usiedli do posiłku, — że kolonja bobrów tak znacznie się rozmnożyła. Kilkaśet zimowych skórek pewnych, każda po dukacie.

— Gdybyś bliżej poznał, jak zapobiegliwie i porządnie one żyją, możebyś się zawahał przed eksploataowaniem ich skórek, — zauważył doktor.

— Proszę jednak spojrzeć, — odpowiedział Jerzy, — jak one las dookoła zniszczyły. Po roku lub paru latach przeniosą się w inne miejsce, by coraz dalej szerzyć spustoszenie.

— Bądźmyż szczerzy, mój drogi, o cenne skórki chodzi ci, nie o lasów ochronę.

— O jedno i drugie.

— Ale więcej o skórki.

— Nie przeczę. Słusznie mi przecie należy się jakiś dochód z puszczy, zwłaszcza, gdy muszę się z tem liczyć, że nie na całe życie tu zagrzebaliśmy się, że o edukacji i stanowisku Zygmunta w świecie nie wolno nam zapomnieć. Nie z chciwości tedy na grosz, lecz z godziwej potrzeby myślę o tym dochodzie.

— Z zabijania bezbronych...

— Wszak nieraz już musieliśmy i jeszcze będziemy zmuszeni różne zwierzęta zabijać; o wytępieniu bobrów wcale nie myślę.

— Nie chcę się z tobą sprzeczać, tylko muszę się wymówić od udziału w tem gromadzeniu bobrowych skórek na handel.

Śród tej rozmowy nagle zerwali się, pełni zdziwienia. Z odległości bowiem niewielkiej dały się słyszeć strzały: jeden, drugi, trzeci... W zapadłej puszczy wydało się to zrazu czemś niepojętem. Od tyłu miesiący nie spotkali żadnej żywej duszy ludzkiej. Strzały powtórzyły się, a w przerwach dochodziła nawet wrzawa, jakby krzyki o pomoc.

Przypomniął sobie Jerzy, że nieopodal znajduje się szlak handlowy. Zagrała w nim krew rycerska. Stanowczo i szybko zadysponował:

— Zygmus! tu zostanie, ukryty w krzakach, inni opatrzyć broń i naprzód z Chanem i Bejem. Zbójcy!

Ale Zygmus przyskoczył do ojca, prosząc:

— I ja, i ja pójdę; umiem strzelać.

— Rzekłem, tu zostaniesz i na nas zaczekasz.

Zniknęli między drzewami, Zygmus zaś, choć z przykrością, musiał spełnić wolę ojca, zaszył się z wydrami i łasiczką w krzewinie i czekał z zapor-tym oddechem.

Tamci zaś zrazu biegli, potem czołgając się podchodzili ostrożnie i oto z za krzewów i drzew odsłonił się im wreszcie niezwykle widok.

Na leśnej polanie uwijali się zbóje w plugawych szatach, z zarostem długich włosów, olbrzymich bród i wąsisk. Dwóch odwlekało zabitego, czy ciężko rannego człowieka do zarośli, dwóch kończyło wiązać jeńców, inni krążyli koło wozów, uspakajając spłoszone konie i grzebiąc w towarach. Tej dzikiej scenie ponurego wyrazu dodawał dym, unoszący się z podeptanego w bitwie ogniska, przy którym sterczał wywrócony kocioł i broczyły niedopieczone mięsiwa. Raz poraz rozlegały się śród dzikiego



charkotu wyuzdane ich kłatwy i wybuchy niepohamowanego śmiechu. Wreszcie wrzeszcząc wydobyli z wozów beczułki, worki, puzdra z zapasami, dźwigając je do ogniska. Jedni legli na murawie, drudzy dorzucali łomaków, od których buchnął silny płomień. Widocznie po zwycięstwie zamierzali wypoczywać i ucztować.

Bacznie śledził ich i obliczał Jerzy. Sześciu było, wszystko barczyste, żyłaste, zuchwałe draby, z wyrazem zwierzęcej namiętności na szczękach, z nożami i pistoletami za pasem. Czuli się zupełnie bezpieczni, gdyż w jedno miejsce odrzucili zbójcekie pałki i strzelby, żadnej nie postawili straży i nie hamowali krzyku. Herszta poznać było można po posępnej twarzy, po bogatszem uzbrojeniu i po rozkazach, które wydawał.

Szereg powiązanych pacholków konwoju i kupców opodal leżał bez ruchu. Konie odprężone i popętane wyskubywać jeły trawę z śnieżnej runi.

Zbójce zaczęli pić i ucztować. A ponieważ wyuzdany gbur i bandyta zawsze taką ma naturę, że nigdy i w niczem nie zdoła być powściągliwy: więc i oni przebrali wszelką miarę. Rychło doszło do tego, że jedni, z nóg zwaleni, chrapali, dwaj zaś inni po pijacku naigrawali się i znęcali nad powiązanymi; tylko herszt mało pił, leżał, łokciem podparty i ponuro całą przyglądał się scenie.

— Moglibyśmy tę bandę, od bydłał gorszą, co do nogi teraz wytępić — mówił szeptem Jerzy. — I doprawdy taki czyn byłby może najpożyteczniejszy.

— Jezus, Marja! Jerzy! Co się z tobą dzieje? — zawołał zgorszony doktor. — Jakto? Zabijać zbójceką metodą niemal bezbronnych i bez żadnego sądu?

— Wszak uwolnić trzeba kupców!

— Zgoda! Nic nas jednak nie zmusza do mordowania zbójców. Niech sądzi Bóg. I może niejeden przed tym sądem więcej stanie uniewinniony, niżeli z nas który.

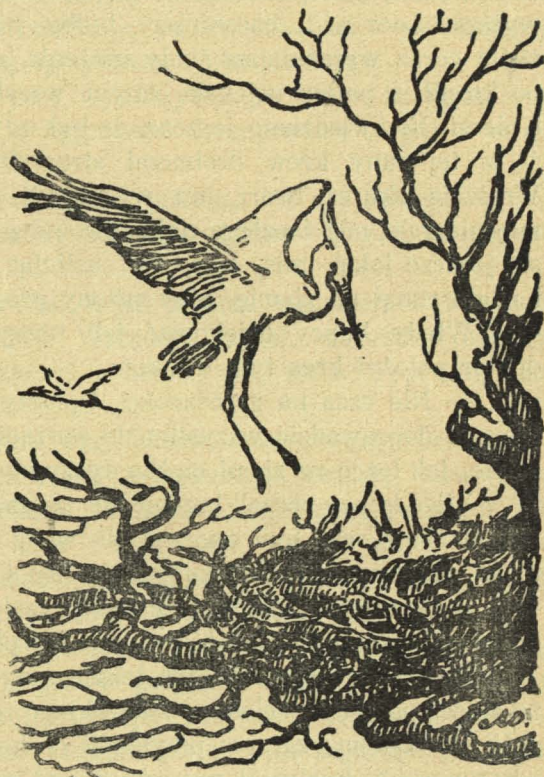
— Mamy pozwolić, by dalej rozbijali i grabili?

— Bynajmniej! Możemy powiązać i kupcom powiązanych oddać, aby ich podali ludzkiej sprawiedliwości.

— Nie kijem, to pałką! Niechże będzie! Trzej śpiący nie groźni; powiążemy ich łatwo, o ile po pierwszych strzałach nie dadzą drapaka. Trzech innych musimy zmóc w ręcznej walce. Ojcu wyznaczam tego z krwawą szramą na pysku, który teraz kupcowi wydobywa portfel; Hryć zwiąże owego ryżego dyabła w jakimś napoły wojskowym stroju; ja uporam się z hersztem. Każdy z nas wystrzeli dla popłochu, poczem rzuci się na upatrzonogo, aby nie wydobył ani noża, ani pistoletu. Bardzo ważną rolę wyznaczam tobie, Franku. Równie ze strzałami wlot z Chanem i Bejem skoczysz, rozwiążesz kupców i broń im porozdzielasz. Jeny dokonaj tego piorunem, aby natychmiast ubezwładnić i powiązać trzech śpiących zbójców, nie dając im chwili czasu do oprzytomnienia. Pamiętaj, od szyb-

kości zależy połowa powodzenia. Musisz uporawszy się z kupcami, pachołkami i śpiącymi zbójami także nam pospieszyć na wszelki wypadek z pomocą. W imię Boże! Po wystrzeleniu z krzykiem rzuci się każdy na upatrzonogo. Raz, dwa — ognia!

Huk, krzyk i dym zmieszwały się z ogólnym zamętem. Prócz bezładnego ludzi i zwierząt kotłowiska, tupotania, charczenia i psów ujadania, dobrą chwilę nic więcej nie można było rozróżnić. Pierwszy Franek ze zwykłą fantazją dokonał swego zadania, niestety niezbyt pomyślnie. Zanim bowiem uwolnił powiązanych i broń im rozdał, z trzech śpiących zbójów dwóch oprzytomniawszy umknęło, tylko trzeci popadł w takie przerażenie, że go obezwładniono łatwo. Wówczas dzielny Franek rozejrzał się w sytuacji. Nie była świetna. Trzech silnych i dzikich drabów, zaatakowanych przez Jerzego, doktora i Hrycia, bronili się wściekle, z zażartą rozpaczą. Wnet pojął, że największe grozi niebezpieczeństwo doktorowi, który nieszczęsnym trafem potknął się w zapasach i nawznak runął, z czego korzystając jego przeciwnik przygniótł mu pierś kolanami, żylastą łapą dusił za gardło, a drugą po nóż sięgał. Przyskoczyć z tyłu i chwycić zbója za ramiona było dziełem jednej chwili. Pośpieszyło z pomocą dwóch jeszcze kupieckich pachołków. Wspólnymi siłami związano draba, a doktor, który był już dobrze posiniał, odetchnął głęboko i zwolna dźwigał się z ziemi.



Tymczasem i Hryć pokonał swego przeciwnika, którego zajadłe psy szarpały ujadając z tyłu. Najdłużej trwała walka Jerzego z hersztem bandy. Był to rostry, barczysty, smukły, w pełni sił atleta; nos orli, krucza broda, twarz sępia, szyderstwem i zaciętością zionąca, oczy pełne błyskawic — znamionowały niepospolity typ bandyty. Bronił się jak odniechcenia, ale przytomnie i z zimną krwią, bacząc czujnie na każdy ruch przeciwnika. Lecz i Jerzy był graczem nieladajakim. Zwarli się, jak w cyrku, gdy dwaj siłacze wedle wszelkich prawideł zapaśniczej sztuki preżą się w kleszczach ramion i w żylastym rąk uścisku, pragnąc jeden drugiemu do reszty siły

wysączyć, by potem na obie obalić łopatki. Chciano śpieszyć Jerzemu z pomocą. Warknął przez zęby:

— Precz, i psy na smycze. Sam podołam! Niech wie, że nie zbójecką modą walczę i pozna swą hańbę!

Do żywego te słowa rozjuszyły herszta. Z nadludzkim wysiłkiem chwycił Jerzego oburącz, uniósł do góry i cisnął; zdawało się, że na miazgę stłucze. Jak piłka jednak, ciśnięta o ziemię, tak Jerzy zerwał się sprężysto na nogi i znów ramionami objął herszta. Pot kroplisty zrosił czoła obu walczących. Zmagali się długo, otoczeni kołem świadków, którzy w niemej trwodze śledzili każdą zmianę walki, widząc, że herszt przytomnością i siłą bynajmniej nie ustępuje Jerzemu, a może go nawet przewyższa. Lecz widz baczniejszy byłby już dawniej zauważył na twarzy zbója coraz wyraźniejsze ślady znużenia, coraz gęstsze strugi potu. Kropla po kropli z potem uciekała razem wszelka moc z jego ramion, twarzy i piersi. Nie wiedziano jeszcze, że był od czyjegoś strzału ranny w piersi, że z tej rany krew drobnymi strumykami spływała mu pod odzież. Wreszcie skurcz twarz mu wykrzywił zbielełą, jak płótno, i rozluźnił mięśnie rąk, nóg i całego ciała. Zwolnił go wówczas Jerzy; on zaś chwiał się jeszcze jakiś czas, napróżno usiłując wołą ożywić mdlejące członki, i nagle runął na ziemię, niby rażony gromem.

Wtedy kupcy dziękować jeli naszym kolonistom za ocalenie. Ale doktor położył kres tym dziękom.

— Nie czas na grzeczności. Opatrzeć trzeba rannych, pozgromadzać towary, doprowadzić wszystko do porządku i siły po walce skrzepić. Widzicie, jak leżąc na ziemi ciężko dyszy syn mój, który walczył z hersztem.

Więc kupcy zaczęli krzątać się po obozie i napoje krzepiące rozdawać swoim zbawcom. Inni oporządzali wozy i konie, inni rozniecali ognisko i nad ogniem zawieszali kotły z jadłem i rożny z mięsiwem.

A tymczasem chmury zasłoniły zachód słońca i z nieba poczęły łagodnie ale gęsto spadać białe, miękkie płatki śniegu.

Doktor zaś opatrzył już lekkie rany dwóch pacholców; zbadawszy, że trzeci potężnym ciosem zbójeckiego czekana był zabity, kazał kopać grób pacholcom; zaczęł przystąpił do herszta, który nie odzyskał jeszcze przytomności. Rozluźnił mu odzież pod szyją, odsłonił piersi, ucho przyłożył do serca.

— Żyje, jeno omdlał ze zmęczenia; ba, koszula zakrwawiona, prawe płuco blisko obojczyka przedziurawione; ktoś pewno z naszych przypadkiem go trafił, lecz rana nie zda się ciężka. Przynieście wody i flaszkę z winem.

Począł czoło i piersi zmywać zimną wodą i przez zaciśnięte zęby do ust wlewać wina. Ranny wracał do przytomności, wreszcie ciężko podniósłszy powieki, rzucać się zaczął, jakby pragnąc powstać.

— Poniechaj próżnych wysiłków — mówił doktor — ranny jesteś w piersi. Opatrzmy ranę, byś wyzdrowiał.

— Dobijcie, psubraty — jęknął, zdjęty bezsilną nienawiścią.

— Zowiesz nas psubratami, nie wiedząc, że nie znajdujemy w tem przezwisku obelgi, gdyż i psom żadnej nie wyrządzamy krzywdy.

— Z tyłu dźgacie, jak żmije!

— Tyś jak napadł kupców? Strzelaliśmy dla postrachu, a ciebie trafili przypadkiem. Bóg kulę niósł, aby pokarała twoje zbrodnie. Zabiliście pachółka, trzech innych poranili, cudze mienie rozgrabili. My zaś życie stawiali w obronie niewinnie pokrzywdzonych.

— Tfu! Obłudnicy! Dobij, nie znęcaj się, albo własnym udławię się językiem.

— Jeśli się nie uspokoisz, każę cię związać i ocalę wbrew woli.

Ale herszt znów popadł w omdlenie, po ocuceniu zaś — w obojętny bezwład, pozwalający zmyć ranę spirytusem i obandażować.

Nagle Jerzy, który do tej pory wypoczywał po walce, krzyknął:

— Franek, zapomnieliśmy o Zygmusiu. Czempredzej biegnij i tu go przyprowadź.

Pobiegł Franek. A inni krzepili się jadłem, nie zapominając o powiązanych zbójach, rozbijali namioty na nocleg i naradzali się, co uczynić nazajutrz.

Ale Franek długo nie wracał, a już dobrze zmierzchło. Wreszcie przybiegł zmęczony i niespokojny. Wszędzie szukał, wszystkie krzewy w znanem miejscu zbadał, krzyczał i nawoływał, aż ochrypł: nigdzie żadnego śladu.

Mocno tem zatrwożeni, straż przy obozie zostawiwszy, bez zwłoki wyruszyli z psami, w szerokim kręgu przeszukując okolicę, nawołując, hukając, krzycząc, z flint strzelając. Wszystko na próżno: przepadł, jak kamień w wodzie. W ciemnej nocy i z powodu nowego śniegu nawet psom trudno było tropić po śladach. Zrozpaczeni, z nóg spadając wrócili późną nocą, postanawiając zaraz o świcie dalsze czynić poszukiwania.

Ani Jerzy, ani doktor do świtu oka zmróżyć nie mogli, wciąż rozmyślając o chłopcu: czy mu do głowy przyszło wracać do domu, czy może uwiedli go z sobą dwaj zbiegli zbójce. Pierwsze nieprawdopodobne, pozostało drugie, stokroć gorsze. Lecz w jakim celu zagarnęli go, sami pościgiem zagrożeni? Dokąd zawlekli? Do czego zmuszać zechcą? Czy chłopak wytrzyma trud i jak stawić będzie czoło niebezpieczeństwu? Jak i gdzie go jeszcze szukać?

Świt ranny nie przyniósł skuteczniejszej rady. Chorego herszta, którego zmagać poczęła gorączka, nie podobna było zostawić kupcom. Uradzono tedy, by Jerzy i Franek jeszcze raz wyruszyli z psami na poszukiwania, doktor zaś z kupiecką furmanką i pachółkiem miał odwieźć herszta do domu kolonistów, a cała karawana zaczekać na powrót tej furmanki.

Przy pożegnaniu kupcy ze łzami błogosławili swych wybawców, suto napelniając całą furę różnemi dla nich podarunkami,



XVI.

KARMIENTE PTAKÓW — DYSKUSJA.

Nic tak nie dręczy, jak długie oczekiwanie w obawie nieszczęścia. W takiej obawie była Hania, zanim przyszła wiadomość o walce ze zbójami i porwaniu Zygmunta. Zmarła się, ale nie beznadziejnie.

— Moja droga — uspokajał ją doktor — Zygmunta nie stanie się nic złego, odszukają go. Tymczasem pomożesz mi wyleczyć tego zbrojnego przywiozłem. Z wielu oznak wnoszę, że w duszę on ciężiej ranny, niż w płuca; kulę z płuc wyjmę i ziołami zaognienie ugaszę, ale trudniej z duszą. Kto zgadnie, jaka tam kula w niej siedzi, zwłaszcza że ma się do czynienia nie z prostakiem, lecz z naturą lepszą, jeno bardzo szyderczą i na cały świat rozsrożoną. Dobrem na to lekarstwem bywa przekonać, że nie wszyscy są źli, jak sobie uroził. Postaramy się pogodzić go z ludźmi i światem, z czego obiecuję sobie dużo zadowolenia. Zbój, ale bliźni.

Hania, z natury dobra i gościnna, rozwijała wszystkie zasoby gorliwości i współczucia, byle ranny czuł się w ich domu jaknajlepiej. Pomieszczony na wygodnym łóżu w obszernej i jasnej izbie stołowej, mając zrazu w gorączce, klnąc na świat i rzucając się niespokojnie. Niełatwo doktor wyjął mu kulę i założył bandaż, czego jedynie dzięki pomocy kupieckich pacholek dokonać zdołał.

Śnieg przestał padać; po posiłku tedy pod wieczór pacholek kupców, złożwszy przywiezione dary: beczkę przedniego wina, sztukę sukna i drugą płótna, baryłkę prochu, puzdro rodzynek i migdałów, — odjechał; Hania zaś i doktor, zobaczywszy, że ranny zasnął, ułożyli się także do wcześniejszego wywczasu. Alić długo sen nie sklejał ich powiek.

Nadszedł poranek i znowu dzień minął bez wieści. Ani następne żadnej nie przyniosły odmiany, oprócz tej jednej, że ranny herszt czuł się znacznie lepiej, gdyż zasypiał częściej, rzadziej we śnie mając, mniej się miotał i pokarm chętnie przyjmował. Na Hanię zaś spoglądał jakimś błędnym wzrokiem, jakby wahając się, czy dziękować ma, czy podejrzewać.

Żywykle coś burknawszy pod wąsem i twarz niecierpliwym skurczem wykrzywiwszy, odwracał się po jadło do ściany i udawał, że zasypia.

Natomiast doktorowi przy każdym zakładaniu opatrunków dogadywał:

— Godna metoda: umyślnie i podstępnie zranić, a potem rany czule leczyć; na rzeź ludzi bagnietami pędzić, potem pomniki im stawiać.

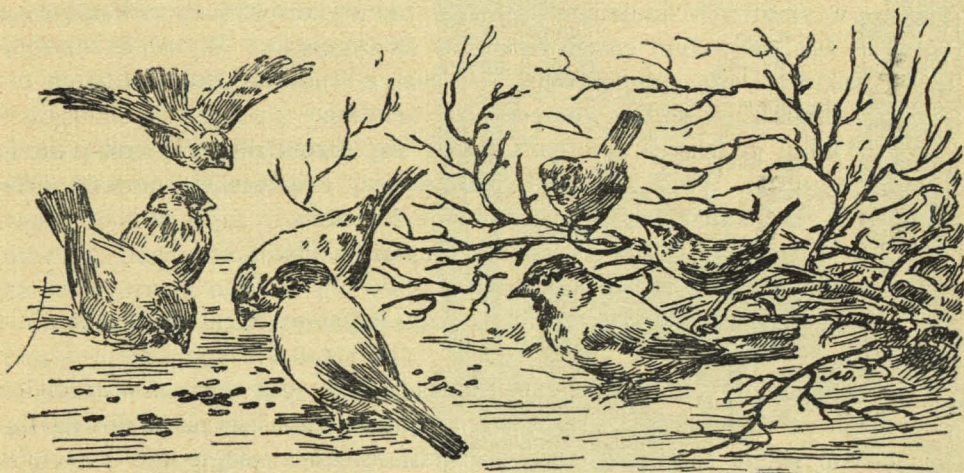
— Mówiłem prawdę: przypadkiem postrzelono cię; to, żeśmy kupców bronili, nie było grzechem.

— Cha, cha! Grzech, obraza Boża, niebo, piekło, pokuta! Dalejże, odmawiaj swą litanję, może nawrócisz zbójecką duszę. Przeklęte świętoszki! Nigdzie uciec przed wami!

— Jeszcze trudniej przed samym sobą.

— Znowu kłasasz! Zaraza na was!

— Klnij sobie, jeżeli ci to ulży, byłeś nie miotał się, gdyż bandaże pozrywasz.



— Coście z kamratami mymi uczynili?

— Dwóch uciekło, inni w tych moc popadli, których pozabijać i ogra-
bić chcieli.

— Bodajeś przepadł!

— Bodajeś wyzdrowiał!

— Dla korzyści jakiejś schlebiasz.

— Po sobie sądzisz.

— Czemuś nie zadusił odrazu?

— Nie jestem rzeźnikiem, katem, ani zbójem.

— Ani zbójem, pewno przebraną babą lub opatem. Licho was przy-
niosło. Smotę pędzicie? Szpiegujecie?

— Osadę rolną zakładamy.

— Porządni! A ta z oczyma sarny?

— Żona owego, co cię zmógł, a moja synowa.

— Byłbym mu gnaty połamał, jak patyki, gdyby nie postrzał. Gdzież on? Wstydzi się pokazać?

— Za synem chodzi, którego mu porwali pono zbiegli twoi kamraci.

— Nie oddadzą żywcem, jeśli porwali, chyba w zamian za mnie. Lecz i mnie odbiją.

— Nie potrzebują odbijać. Pójdiesz po wyzdrowieniu, dokąd wola. A chłopca nie zjedzą. Co im po tak młodym?

— Każą mu drogę do was wskazywać, a nie zechce, zamęczą.

— Nie wstyd kumać ci się z dzikimi bestjami?

— Wyzuci z praw, ze stryczkiem na szyjach, mają całować wasze nogi?

— Mógłbyś im posłać nakaz uwolnienia chłopca.

— Masz mnie za głupca. Z jamy ich wykurzyć chcecie. Niedoczekanie! Nie wy do nich, oni do was znajdą drogę i raz na zawsze wykurzą.

Zmęczony rozmową umilkł, doktor zaś, groźbą zaniepokojony, pograżył się w smutnych dumaniach. Herszt nie wyzdrowieje przed upływem tygodni. Jak go w tym czasie wymienić za Zygmunta? Wytropić zaś zbójnicką jaskinię i siłą chłopca odbić — jeszcze trudniej. Do zdrady go nie zmuszą, prędzej na śmierć zamęczą.

Po kilku godzinach rannemu, który się rozbudził, przyniosła Hania posilnego rosółu. Wypił i widno tłumil wyrazy, cisnące się na usta. Widząc okna, błonami zakryte, prosił, by je rozwarła.

— Mróz, choć słońce świeci — zauważyła Hania.

— Przywykłem, powietrza brak.

Więc rozwarła i równocześnie kazała Hryciowi rozniecić na kominie ognisko.

Przez wyloty okien czerniały palisady, na tych zaś w niewielkich odstępach szerokie przytwierdzone były stolnie. Właśnie przed chwilą na sypała tam Hania rozmaitego ziarna i widno codzień o tej porze to czyniła, gdyż wielkie roje ptactwa z ćwierkaniem, gwizdaniem, czyrykaniem, szumem skrzydeł zlatywały z sąsiednich gałęzi, z dachów, z palisad, nawet z dalszych stron puszczy. Strzyżyki do góry zadzierały ostre dzióbki, migocząc to główkami swych czerwienią i czupurną ich koronką, to zielenią skrzydełek. Malutkie Mysie-króliki, zwane także Wołowami Oczkami, prekomarzały się tamtym, zalotnie białymi brewkami kokietując; zwabione ziarnem, przerwały dźwięczne trele, jedyny koncert zimy, a teraz szczebiotały:

— Cek, cek! Smaczne ziarenka!

Dzięciołki różnobarwne, zarówno czarne, jak pstrokate i zielonawe, przenikliwie krzycząc: „klik-klik!“, „krr-krr! — falistym lotem spadają z drzew szpilkowych. Rozczarowane jednak wołają:

— Pik, pik! Zawód, zawód! Niema korników, niema mrówek, niema larwek.

A jednak kręcą się, nie odlatując, pilnie i ciekawie na wszystkie rozglądają strony, wypytują, o wszystko się troszczą, we wszystko swoje

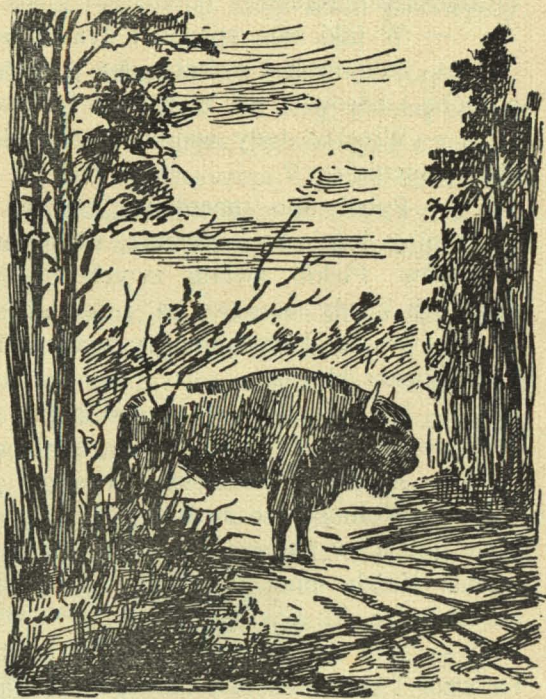
dziobki wtrącają, choć nie są na ziarna łakome, gdyż wolą kuć i kuć w grubej korze.

Najwięcej zlatuje się sikorek. Świergotliwe, ruchliwe, wesołe, kręcą się i skaczą, jak pensjonarki: takie same mają białe kryzki na szyjach, takie same żółto-czerwone na głowach kapturki. Wesoło szczebiocą:

— Cit-cit, cit-cit! Dobrze życie, przyjemne, nawet w zimie, choć zimno i głodno.

— Jakto? I tyś tu, szczygiełku? Czy nie z samego krańca puszczy? Moje uszanowanie panu dobrodziejowi, tak uroczyście wystrojonemu w czarno-żółty fraczek! Ależ błyszczą ci czarne oczka i czerwone na twarzy raczki! No, no, nie wstydźmy się, każdemu biesiada miła. Możebyśmy tak zaśpiewali cokolwiek dla jej urozmaicenia? O, najszczęśliwsze na świecie istoty! Żyjecie sobie bez żadnej troski o jutro, ani orząc, ani siejąc, lśnięciami ciesząc się barwami piórek, wyśpiewując, latacie pod słońcem, między drzewami i krzewami, jak w raju, zawsze rozmowne, taneczne, rozbawione, nawet w mrozie, nawet w głodzie!

Patrzcie, i gil, kanonik katedralny, nie pogardził uczcią. Jak to zadziera czarny beret, odstawiając purpurowe podgardle i piersi! Jak pysznie nadyma niebieskie swoje aksamity na grzbiecie! Jak dumnie kręci czarnym ogonkiem! Dziw, że nie umknął jeszcze przed śniegiem pod błękit włoskiego nieba. Widno lekka będzie zima. —



Tak dogadywał doktor, stojąc przed oknami; jego gestykulacja, jego rozjaśniona twarz, entuzjazmem pałające oczy, miłością i dobrotliwym zapalem głos tchnący — świadczyły, że szczerze i bez opamiętania rozkochany był w leśnych ptaszynach.

Ranny spoglądał z coraz większym zajęciem, podziwiając zachwycone twarze Hani i doktora. Wreszcie burknął:

— Głupie są.

— Bez świadomości, więc niewinne; bez fałszu, więc piękne; bez winy, więc wesołe.

— I bez rozumu, więc głupie. Poco to karmienie?

— Mamy pozwolić, by tysiącami ginęły w zimie?

— Natura nie tylko tworzy, lecz zabija także.

— My nie stworzyliśmy, przeto zabijać nie mamy prawa. Uszkodzić, ukąsić, zranić, zabić — lada wilk potrafi. Uleczyć, ożywić, ozdobić, stworzyć jest zasługą, kulturą, sztuką. Wolimy Boga naśladować, niż wilka.

— Ach, znowu Boga! Ciągłe to imię powtarzasz. Za pan brat z nim jesteście, może nawet widujecie go?

— Ani rozumem, ani wzrokiem śmiertelnym istoty Jego nikt nie ogarnie. Ale uczuciem odblask piękna i wszechmocy Bożej odczuwamy w sumieniach własnych, w przyrodzie całej, w ziarnie piasku i w gwiazdach niezliczonych rojach.

— W taki sam sposób i dyabła pewno widujecie?

— Jak mrok i światło, jak grzech i cnotę, jak śmierć i życie, jak chorobę i zdrowie, jak nienawiść i miłość.

— Wieczna tedy wojna między białym i czarnym Bogiem, a zwycięży mocniejszy?

— Pytać, kto mocniejszy, może tylko ten, który Boga wyobraża sobie niby żołnierza w hełmie, z toporem i dzidą, nogami deptającego buntowników. Piekło świata zwycięża Bóg mękami, na krzyżu rozpięty, a grzech każdy sam osądza i potępia siebie, sam sobie tworząc piekło.

— Na co Wszechmogący zgadza się, choć z przykrością. Tak właśnie myśli każdy klecha.

— Nie, nie, jeno myśląc o życiu, muszę równocześnie myśleć o ciągłej przemianie, zmierzającej ku coraz większej doskonałości.

— A jednak wierzysz w wieczne potępienie.

— Wolność nie może być równocześnie przymusem, daje tedy swobodę gnicia w śmierci materializmu i najcięższego z grzechów, zastoju ducha. Każdy musi wybierać, każdy zmagać się wśród męczarni i pokus ku zaśłudze, ku postępowi.

— Bicz na głupców. Z podłego strachu stworzyliście sobie tyrana na wzór i podobieństwo bałwanów z koronami.

— Z podłego strachu — mówisz? Było i to ziarno; może i dziś jeszcze wydaje się jedyne krecim mózgom. Z marnego ziarna — przepychy kwiatu! Nie strachem zdumienie wobec tęczy wschodu i zachodu słońca; nie strachem wstrząs nieskończoności na widok zenitu z mleczną drogą w noc czerwcową; nie strachem w bezmiarach duszy wszelkie drgnięcia miłości, zachwytów, uwielbień i górnych upojeń! Powiedziałeś: bicz na głupców. Może bicz, jeno nie tyrana, lecz ojca — na wszystko, co się szamoce w bagnach lenistwa, gnuśności, głupoty, przesądu, zastoju, zdziwienia, zmysłowych i namiętnych opętań. Bicz ten ojcowski głązom otwiera usta, drzemiące nerwy, jak struny, napręża i skażenia przodków oczyszczającym ogniem leczy w dzieciach.

— Miła naprawdę rzecz to leczenie. Od iluż to setek tysięcy lat katusze dręczą najniewinniejszych!

— Niełatwo zrozumieć — przerwała Hania — czemu cierpienie jest czemś koniecznem i pożytecznem, zwłaszcza gdy spada na niewinnych. Co do mnie, nie lubię tych kwestyj roztrząsać; każdy ból jest bólem i niczem więcej. O, jakże pragnęłabym każdemu nieść ukojenie, nie zastanawiając się, ani rozumując, gdyż i sama oto, jak dręczony robak, wije się w męce na myśl o mężu i dziecku, które nie wiadomo gdzie i jak cierpi.

Wlepił w nią herszt zbójów wzrok uporczywy a błyszczący, nie odrywając, aż odwróciła twarz do ogniska i zaczęła poprawiać głównie, choć nie było potrzeby. A przez usta zbója przemknął szept mało pochwytny:

— Taksamo tamta mówiła.

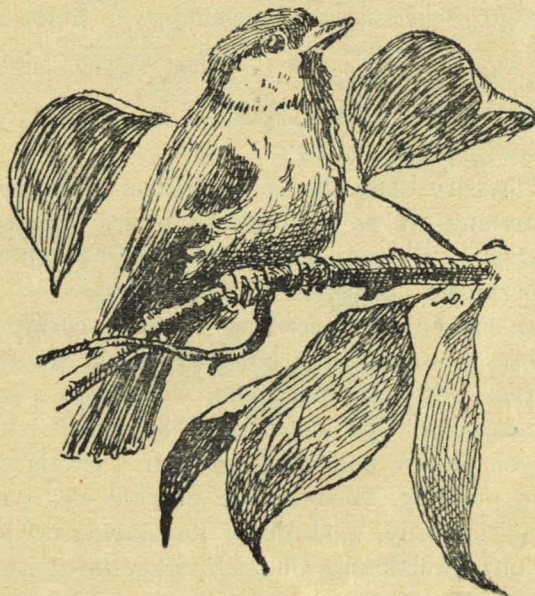
Na drugi dzień rano po śniadaniu odezwał się herszt do Hani:

— Jezioro to nazywacie Dolną Tonią. Kilka dni drogi pieszej borami ku północy jest drugie, zwane Górną. Tam wyspa, na niej głaz z żerdzią. Niech kto moją kartę zanieśie, do żerdzi przyczepi i jeden dzień nad brzegiem zaczeka. Odbierze waszego chłopca, jeżeli go moi schwycili.

— O, dziękuję ci, dobry panie! — zawołała do łez wruszona i rozradowana matka, składając obie ręce.

— Jeszcze go nie macie; a chociażby, to i tak nie mnie dziękujcie.

Rzekłszy to, oddał kartkę, a sam odwrócił się do ściany. Długo radzono, kto i jak ma wykonać zlecenie herszta; wreszcie doktor postanowił wyruszyć sam sankami o jednym koniku, zwłaszcza że śnieg był znaczny, a w sanie zabrać można było i odzieży ciepłej i żywności.





XVII.

ZYGMUŚ I ZBÓJE — DRUGIE NAWIEDZENIE DUCHA PUSZCZY.

Zygmus, zaszyty w gęstych krzakach, siedział czujnie nasłuchując. Kilkomiesięczny pobyt w puszczy już był go znacznie zahartował i wyposażył w rozwagę. Bez obawy niebezpieczeństwa, jedynie z przezorności obliczył na wszelki wypadek zapasy, zostawione w torbie, obejrzał strzelbę i torebkę z prochem, przekonał się, że w kieszeni ma krzesiwo, ręczny nóż i nabity pistolet. Zadowolony i syty, głaskał łasicę, która mu wskoczyła na ramiona i wydry, do nóg przytulone. Odgłos kilku równoczesnych strzałów zwiastował mu rozpoczęcie walki. Nie miał obawy.

— Oho — myślał — kilku takich zuchów, jak tato, dziaduś, Franek i Hryć, da radę nawet dużej bandzie zbójckiej.

Niedługo potem słyszy trzask łamanych gałęzi i tuż w nagłym biegu omal nie potrąca go dwóch drabów, uciekających przez zarośla. Na widok chłopca stanęli:

— Ty co tu? Skąd? Kto?

Ale chłopak, zerwawszy się, dumnie odpowiada:

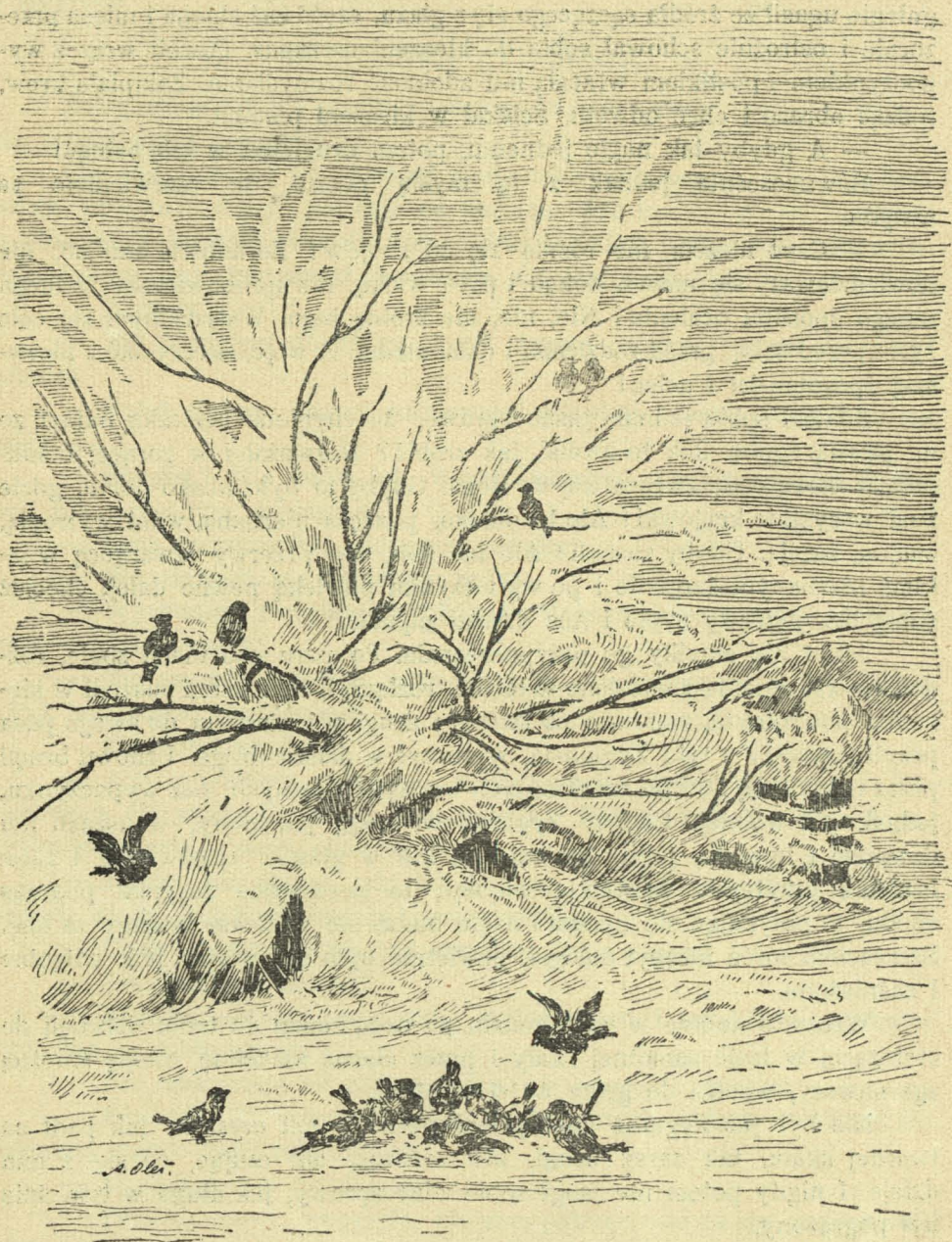
— A wy co za jedni i skąd?

Zaskomliły wydry, łasiczka z wściekłym parskaniem skoczyła do twarzy draba i byłaby mu ją rozdarła, gdyby się był oburącz nie obronił, ciskając ją w krzaki. A drugi kułakiem w plecy tak silnie ugodziwszy chłopca, że potoczył się i padł na ziemię, warczał:

— Tyś taki, szczeniaku, poczekaj, poznasz, cośmy za jedni. Poczem łapczywie porwawszy strzelbę i torbę, a Zygmutia rękami ścisnąwszy, jak żelaznym obręczem, bez zwłoki pogonili, wlokąc go z sobą.

Pędem przez zarośla po korzeniach, łomakach i kłodach, gnali bez tchu wśród mokrych płatów padającego śniegu. I trwała ta ucieczka bardzo długo bez żadnej przerwy. Biedaczysko potykał się, padał ze zmęczenia ledwo oddychając, spocony, podrapany łomakami, do pośpiechu naglony groźbami, kłótwami i kułakami. Chłopak, wszystkich sił dobywając, zaciskał zęby i powtarzał sobie w duchu:

Wytrwać, tylko wytrwać i nie pokazać tym zbojom słabości!
 Dopadli wreszcie do wąwozu leśnego, a w nim do kryjówki, zaro-



ślami i zwalami pni gęsto przykrytej. Tam skałą i krzakami zakryci, legli
 na spoczynek i jeśli łapczywie pożerać zapasy, z torby Zygmunta wydo-

był. Chłopak długo leżał zmordowany, jak bez życia, tylko wstrząsany dreszczami. Wreszcie nie z litości, ale z obawy, by ze zmęczenia i głodu nie zmarł, rzucili i jemu kawał chleba z mięsiwem. Jadł smacznie, pragnienie ugasił ze źródła sączącego się z głazu, część zaś chleba i mięsa przeznornie i ostrożnie schował sobie do kieszeni na zapas. Powoli wraz z wypoczynkiem i posiłkiem wracała mu zdolność rozmyślenia. Zakipiała krew, rodząc obrazę i chęć odwetu. Ścisnął w kieszeni pistolet.

— A gdyby tak nagle jednemu, potem drugiemu w łeb palnąć!

Równocześnie jednak z tą myślą poczuł, że czerwienieje ze wstydu.

— Czyż nieчем nie różnię się od zbójów? Zdradliwie zabijając, nie dowiedziawszy się nawet, dokąd i poco wloką, nie spróbowałszy żadnego innego sposobu ocalenia? Nie, nie, nie zrobię tego. Wstydziłbym się całe życie przed sobą, przed rodzicami i dziaduniem. A więc, skorzystać z pierwszej sposobności i uciec!

Zdawał sobie jednak jasno sprawę, że chybiona ucieczka narazi go na pewną zgonę. Jak to zrobić, jak zrobić? Rozwagał i w gorącej modlitwie o dobrą radę zwracał się do Boga. Gdyby to było blisko domu, gdzie znał wszystkie kryjówki! Ale tu daleko, puszcza nieznana, wnet wytropią, znajdą, zabiją. Gdyby zasnęli! Ale nie śpią, bez przerwy szwargocą w jakimś nieznanym żargonie i po wypoczynku powleką pewno dalej, chociaż śnieg bez przerwy sypie i noc dawno zapadła.

Jakoż nie zmyliły go przypuszczenia. Po paru godzinach zbójce, rozdzielwszy zapasy, znalezione w torbie, rozłączyli się: jeden odszedł w kierunku powrotnym, zapewne na zwiady; drugi zaś sznurem do swego pasa przytroczywszy z tyłu Zygmuś, wyruszył w dalszą drogę. I znowu brnęli przez całą długą noc po zaśnieżonych wertepach leśnych, bez wypoczynku, jednak już wolniej. Ciężły Zygmuśowi nogi, jak kłody, w uszach mu dzwoniło i huczało, jakby kto młotem kuł w głowie, zdrętwienie i znieczulenie przytępiło wszystkie zmysły; to bezwiednie zasypiał podczas chodu, to potykając się upadał i nagle budził się wściekle targany za linę. Szczęściem mroz niezbyt dolegał, powietrze było bez wiatru, jeno wilgotne i zaśnieżone.

Wreszcie dobrze w parę godzin po zamglonem świtanu dobrnęli do sterczącej w lesie samotnej skały i przez ciasną szczelinę, zaspę śnieżną zgarnawszy, wpełzli do groty w jej wnętrzu.

Nie był już Zygmuś zdolny ani patrzeć, ani myśleć; jak padł na twardej skale, tak zaraz usnął, nie wiedząc, ani czując, co się z nim dzieje. I nigdy potem nie mógł sobie zdać sprawy, jak długo w tym śnie był pogrążony.

Sen miał zrazu twardy, kamienny, bez żadnych zjaw i rojeń. Po kilku może godzinach dopiero, gorączką, czy głodem i zimnem rozdrażnione

nerwy zaczęły drżeć i tkać na kanwie wyobraźni niejasne zrazu, coraz jednak wyraźniejsze i jaskrawsze obrazy senne z przedziwa wszystkiego co przeżył, co roił, co kiedykolwiek z książek lub opowiadań nauczył się i wyczytał.

DRUGI SEN ZYGMUSIA.

Śnieg sypie i białą płachtą pokrywa ziemię, skały, drzewa. Zimno do szpiku kości przenika.

Cóż to? Cóż to? Po śnieżnej bieli widać ruch czegoś od śniegu bielszego, powolny, cichy, jak sań na płozach. Już można głowę rozróżnić z włosami, w których gwiazdki śniegu drżą blaskiem brylantów; jako świeczki świecą oczy, jak macki, wyciągają się długie ramiona.

— Ktoś ty?

— Nie poznajesz ducha puszczy? Jakom obiecał, jeszcze raz przychodzę.

— Byłeś piękny, barwy rozsiewałeś i kwiaty, teraz śnieg i ziarna śmierci.

— Śmierci? Nie znam jej. Wszak mówiłem: każdy zachód słońca jest równoczesnym wschodem.

— Lecz zmizerniałeś, widocznie cierpisz.

— Bez cierpień nie istniałaby radość.

— Wychudłeś, zbrzydłeś, wybladłeś... Może ci zimno? Możesz głodny? Mam chleba kawałek.

— Nie samym chlebem człowiek żyje, duch puszczy tem bardziej. Czyż tak bardzo zbrzydłem?

— Zbrzydłeś niestety!

— Ach, zmysłowy chłopcze! Kiedyż ducha piękno odczujesz? Nie zachwyca cię wychudła twarz, jeno pyzata? Nie rozumiesz piękna i pożytku cierpienia. Czemu płaczesz?

— Trudno nie płakać, gdy ból dokucza. Porwali mnie zbóje, po werstepach włoką, kułakami trącają, pewno zabiją.

— Cierp ze wszystkimi, jak wszyscy, takie prawo.

— Jak mam się bronić?

— Każdemu własna moc rady, doświadczeń i przykładu najskuteczniejsza — takie prawo.

— Nie odmawiają mi rady rodzice, nie odmawia dziaduś.

— Przestań, jak dziecko, dreptać po maminyh śladach i trzymać się maminej sukni. Bądź młodzianem.

— Myślałem, żeś życzliwszy.

— Puszcza mówi: zwycięża, kto sam patrząc, nie da się podpatrzeć; kto podszucha, sam żadnym nie zdradzając się ruchem; kto zwęszy, sam niezwęszony. Źle uzbroiłeś się. Czemu odzieży nie upodobiłeś do śniegu? Czemu nie wdziałeś pancerza, jak żółwie, ani koleców, jak jeże, ani od-

rażającej woni, jak tchórze, ani jadowitego zęba, jak żmije? Czy w niebezpieczeństwie przykucnąłeś bez ruchu i ległeś, jak martwy, ani plamą na śniegu czarną, ani żadnym nie zdradzając się ruchem? Na zieleni traw zielonego owada, między brunatnem suchem liściem do suchego liścia podobnej larwy, białego na śniegu gronostaja nie wysledzą wrogi.

— Próżna mądrość po szkodzie.

— Czy wytropiony stanąłeś w postawie odstraszającej, grożąc walką na śmierć i życie, by zmusić napastnika do ucieczki?

— Brakło mi sił do walki.

— Czyś tedy użył podstępu, tej potężnej broni słabszych? Czyś usiłował wydać się większym i niebezpieczniejszym, niż jesteś; czy rozdałeś ciało, zapaliłeś płomienie w oczach, nastawiłeś rąk i nóg szpony, jak czyni każdy kot, nastroszony i parszający, gdy mu grozi cios wroga, każdy pająk, każdy jelonek?

— Byliby mnie wnet zabili.

— Więc ratowałeś się potężnym skokiem, jak jaszczurka z wysokości drzewa skacząca przed wrogiem w głąb leśną, jak żaba w toń wodną?

— Zamierzałem tak uczynić.

— Puszcza mówi: długie zwlekanie — pewna klęska. Co musisz czynić, bez zwłoki czyn, jak piorun, który zabija prędzej, niż błyska.

— Boję się, by mnie oni nie chwycili i nie zabili.

— Puszcza mówi: Bojaźń rychłej, niż śmierć, zabija; ocala zaś i zwycięża odważne ryzyko.

— Lecz nierozważne gubi!

— Puszcza mówi: rozważ w momencie, co zaś zdecydujesz, czyń z determinacją i wiarą.

— Rady sypiesz, a wszystkie poniewczasie, pomoc zaś nie chcesz, czy nie możesz. Bez serca jesteście i ty i twoje prawa, albo bez mocy.

— Jestem, jakim jest. Przeszłość dodaję, terażniejszość odejmuję, przyszłość ścigam, piękność w bukiety wiążuję, praw nie stanowią, przestrzenia i czasem się żywię.

— Ale czego chcesz ode mnie?

— Podobasz mi się, pragnę cię wchłonąć i nie zatracić. Jeżeli zechcesz, pobujamy po puszczech różnych i krajach. Nie myśl, że na bliską tylko metę pełzać mogę. Umiem nagle w wielką dal skokiem sięgać, iskry czasu w płomień rozniecać, a płomień znów zaduszać w iskrę. Nieważcy, ciężką materję, lotny czas i wolną przestrzeń w głąb chłonąć i przenikać będziemy. Chodź, nie lękaj się. Pyłkiem cię drobnym uczynię, przyłgniesz do mnie i razem na krańce ziemi, dokąd zechcesz, pomkniemy.

— Czemuż pyłkiem mam zostać?

— Natury swej nie zmienisz, a najdrobniejszego pyłku bogatsza toń różnaitości, niż pycha ludzkich głów, przypisujących sobie moc anielstwa.

— Lecz mnie z powrotem odniesiesz, abym mógł od zbójów do rodziny uciec. Najgorszą rzeczywistość wolę, niż złudne, choć zachwycające majaki.

— Nie majakami, lecz rzeczywistością karmić cię będę. Oto już pyłkiem jesteś. Powiedz, czy pragniesz na własne oczy zobaczyć, jak teraz wygląda życie w kraju podbiegunowym, a potem od bieguna pomknąć pod równik i zajrzeć w głąb morską i w głąb puszczy dziewiczej?

— Niechże stanie się, jak życzysz sobie, lecz powiadaj mi o górach, jeziorach, morzach i krajach, które mijać będziemy, a gdy poproszę, zatrzymaj się.

— Dobrze! Wichru pędem, w śnieżnej kurzawie wzbiliśmy się nad dach puszczy. Nie widać lodem ściętej Prypeci, ani Berezyny, dopływu górnego Dniepru. Gdzie oko sięgnie, wszędzie równina, zawiana śniegiem. Wron tylko stada kraczą, wilk wyje z głodu, lis skrada się pod chaty ludzkie, czasem w śnieżnej wydmy czarną znaczy się plamą trójka koni do sań przyprzężona, a w saniach ludzie w futrach niedźwiedzi.

— Nie zatrzymujmy się, lećmy dalej.

— Jesteśmy nad Dźwiną. Błyszcza zdala światła w oknach mieszkańców Dynaburga, a tam dalej — Wielkiego Nowogrodu.

— Lećmy, lećmy dalej.

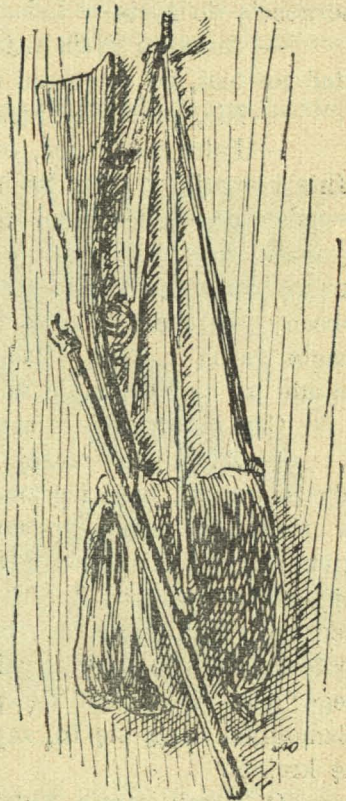
— Nie zaciekawia cię ani Ładoga, ani Onega, ani Północna Dźwina. Więc ponad zamrzłymi tundrami, ponad Kaninem i Katgujemem, ponad lodami Oceanu północy zlatujemy na ostatnie krańce Nowej Ziemi, w wiecznych lodów krainę. Mów, czego w zmysłach, rozumie i sercu doznajesz?

— Zimno mi, tak zimno, że krew zamarza w żyłach, a bólu, do szpiku kości przenikającego, nikt nie wysłowi. Konam.

— Nie skonaasz. Oto wkładam ci do życia w lodach pancerz odporności stu epok, jaką mają brunatny wodorost, między lodami żyjący, lub tłuszczem, puchem, futrem zabezpieczone foki, morsy, niedźwiedzie, nury. Jak teraz się czujesz?

— Żyję, jeno zawsze zimno mi, smutno i tęskno. Odporność tylko dałeś, nie ukochanie. A odporność skąd wzięły żyjące w tem piekle mrozu i ciemnicy istoty?

— Skąd owady i ptaki skrzydła, a inne zwierzęta zęby, rogi i pazury wzięły? Skąd mięśni moc, zmysłów i podstępów bystrość? Czy ci



nie mówił dziadunio, jak w ciągłej walce z otoczeniem o zachowanie bytu i gatunku każda żywa istota przyswaja sobie i swemu potomstwu przekazuje różnorakie zdobycze i w jakie formy wyrasta ten długi łańcuch nabytków, ciągnący się od zarania życia wszelkiego na ziemi z pokoleń na pokolenia?

— Tak, mówił o prawach, wedle których żaden mięśni skurcz, żadne nerwu drgnienie nie mija bez skutku; lecz dodał, że duch przełamywać mocen te prawa, coś i ty potwierdził, obdarzając mnie w momencie odpornością do życia w lodach.

— Rozwoju życia ostatnich krańców nikt nie dociecze. I ty poprzestań na tem, co zmysłami obejmujesz.

— Nie, nie! Nie zrzekę się natury własnej. Tęsknię, cierpię!

— Patrz na tę noc, osrebrzoną blaskiem księżyca. Blade jego smugi lśnią i drgają w szczybach gór lodowych zmiennymi barwami, a z zenitu wyiskrzonego gwiazdami nieba kaskadami spływają na lodozwały strugi granatu, zielonych lilij i fioletu; od strony południowej nieba, na lodów krawędzie kropelkami spadają róże. Tam znowu na północnym skłonie oceany różnobarwnych zórz zwijają się, kurczą, buchają wstęgami pożaru, nagle gasną i znów strzeliście tryskają tęcz promieniami. Tam meteor mknie po niebie i ginie w gwiazdach Łabędzia.

Czy nie doznajesz zachwyty?

— Zdumienie raczej czuję i trwogę. Ze wszystkich stron bowiem słyszę trzaski, huki i grzmoty lodów, pękających w rysy, bloki i wawozy w uścisku strasznego mrozu. Ryczy świat w katuszy okrutnego bólu, stęka, drży i miota się udręczona ziemia, jakby u kresu bytu rozprysnąć się miała w nicość. Z tych huków, jakby na szyderstwo, opromienionych tęczami i bukietami różnych barw, jakże straszliwie wrażają się w serce bolesne wrzaski mew, ryki fok i przeciągłe, rozpaczliwe wycia zgłodniałego lisa. Nie, nie! Nie pięknie tu! Raczej straszno, ponuro i tęskno! Samotnym czuję się tu, zapytując, czy Bóg na wieczne zatracenie skazał tę krainę?

O ziemo moja rodzinna! O leśna puszczo podlaska z jeziorem i brzozi. Teraz dopiero czuję, jak mi droga, jak kochana jesteś!

— Każdemu własna ojczyzna najmiłsza. Lecz i tu w innej porze roku pięknie będzie. Oto już leci na skrzydłach wiosennego wiatru i płynie prądem z oceanu łagodne ciepło. Już na skłonie widnokręgu promienne zorze słońca rozlewają całe potopy życiodajnego światła. Pękają lody i ożywcze spadają deszcze. Życia dreszcz wstrząsa wszelkiem ciałem: i dorsza, między krami płynącego i tej niedźwiedzicy z dwojgiem małych, szukającej żeru, i lasów morszyczyny, łomikamieni, mięczaków, zwierzo-krzewów.

Tu, na bazaltowej skale, jakim warem kipi życie! Niezliczone stada niebieskich mew składają jaja, obok skrzydłami łopocą i wrzeszczą w upo-

jeniu roje nurzyków, poświerek, dzwońców. Tam stado gęsi za słońcem leci z krzykami zachwytu. Tam o płytę lodu kłami oparty mors wlepi ciekawe oczy w lisy, wydzierające sobie porwanego nurzyka.

Lećmy ku wyspie, skąd dochodzą ryki. Patrz! Gdzie spojrzeć po wybrzeżach, tysiące to morsów, to fok, drzemiących w tłuszczu. Przeciągają się, ryczą, wzajemnie potracają się kłami.

Tak-że wygląda ziemia, na zatracenie skazana? Wszędzie, we wszystkich stronach świata tętnią źródła życia.

— Może prawda. A jednak, nawet wiosna stokroć, tysiąckroć smutniejsza tu, niż nasza, z bukietami czeremchy, z rozśpiewaniem skowronków i słowików.

— A jednak nie upodobałby sobie biały niedźwiedź w podlaskiej puszczy, ani krokodyl w Wiśle.

— Tam ryki i wrzawa walki?

— Intruz mors z morza wdrapał się na brzeg kłami i leżał obok innych. Lecz gromada nie znosi intruzów. Z rykiem tedy porwali się sąsiedzi i potężnymi kłów ciosami jeli odpychać go do morza. Na siłacza i śmiałka trafili. Patrz, jak broni się, jak dzielnie paruje ciosy, jak sam na wszystkie strony razi. Pierzchają. Krwią zboczony, ale zwycięski, przemocą zdobył, czego nie dali mu dobrowolnie.

— Siła przed prawem?

— Bynajmniej! Prawo dzielności i siły!

— Ach, i tu znowu te prawa siły, tak różne od pięknych praw serca, w ludzkim wykwitających duchu!

— Larwa puszczy w ludzkiego przetwarza się motyla? Czy nie przedwcześnie?

— Krok ku uduchowieniu nie może być przedwczesny. Odnies mnie teraz, jak obiecałeś, na morskie dno pod równikiem.

— Dobrze! Trzymaj się mocno skrzydeł. Wichru lotem lecimy nad morzem Karskim, już jesteśmy nad ujściem sybirskiej rzeki Ob, już nad dopływem jej, Irtyszem, i nad murami Tobolska, już mijamy ponad lodowatym garbem Ałtaja granicę Sibiru i Chin i mkniemy ponad Dżungarią, ponad potężnym płaskowzgórzem Tybetańskim, wciąż na południe. Oto najwyższy szczyt na kuli ziemskiej, Gauryzankar w Hima-



lajach¹⁾, na granicy dwóch szczepów: mongolskiego i aryjskiego. Czy pragniesz stąd spojrzeć w dolinę Gangesu?

— Lećmy wciąż dalej.

— Więc mijamy deltę świętej Indusów rzeki i mkniemy nad zatoką Bengalską ku Sumatrze nad równikiem i Jawie. Byś nie cierpiał pod uciskiem gór wodnych, daję ci odporność koralowin. Już w głębi morza jesteśmy. Widzisz te żółte, te niebieskie krzaki? To Madrepory owinięte cielistemi rosochami Alcyonij, głowami sinych Poritów, brudno-żółtem nastroszeniem grzybników, czerwienią rozgałęzionych koralowin i Gąsćciółów.

— Myślałem, że ciemności panują w głębi morza. Jakież tu wszystkie kształty dziwaczne, potworne, zdumiewające!

— Słońce do dna²⁾ wód przenika i wszędzie rozsiewa³⁾ ziarna życia. Przysiadzimy tam w szczelinie, gdzie najwięcej się kłębi robactwa, owadów, muszli, krabów, rozgwiazd, jeżowców, strzykw, gąbek, ukwiałów, ryb różnobarwnych i perłopławów. Czy widzisz w naszym sąsiedztwie tego czarno-białego gada, który zwinął się w kłębek, upodobił do skały i od kilku godzin tu czatuje na nieostrożne łupy? Stary to, chytry i jadowity potwór, Hydrus platurus. Nasycił się już, więc zadowolony i możesz z nim porozmawiać. Uczynię cię jego kuzynem. Pozdrów go przyjaźnie, życząc powodzenia i zapytaj, jak mu się powodzi. Ja tymczasem odpędzę stado delfinów, które mogłoby nam przeszkadzać.

— Bądź pozdrowiony, mistrzu, ozdobo rodu! Jak ci dziś powodzi się w łowach?

— Witaj, mały! Nienajgorzej, nienajgorzej, co zawdzięczam cierpliwości własnej i przezornej zwinności. Spodziewam się, że nie przyszedłeś wykraść mi z pyska zdobyczy. Napróżnobyś się trudził.

— Nie jestem głodny: przy trawieniu miła rozmowa, jeżeli sen nie zbiera.

— Snu nie brak na czatach⁴⁾ między jednym daniem a drugim. Pierwszy raz cię widzę w tym rewirze. Czy przypadkiem, czy na stałe tu przypląnąłeś.

— Zapędziłem się w pogoni i zaraz wrócę na własne wody.

— W pogoni? Znac, żeś młody myśliwy. Lecz czyń, jak ci najdogodniej. Każdy ma własny sposób zrzucania starej skóry⁵⁾ i napełniania sobie żołądka. Dobrze, że rychło wrócisz⁶⁾ na własne wody. Na jednym miejscu i kamień morszczyną, mchami i gąbkami porasta. Ucz się od starego.

— Byleś, mistrzu, nie⁷⁾ skąpił mi doświadczeń⁸⁾ starości. Czemu nie pochwalasz mojej pogoni?

— Ogon, w kłębek zwinięty, najbezpieczniejszy, mój synu, do tego wygodny, a w potrzebie rozmach daje. Kto zbyt ugania, zwykle w zasadzkę wpada. Młodych niecierpliwość i ciekawość pędzą do rozczarowań

1) 8840 m. nad pow. morza.

i zguby?; stary, cierpliwie w miejscu siedząc, bezpieczny. Patrz na ryby, kraby, owady, robactwo. Kręci się to niepowściągliwie w kółko albo z miejsca na miejsce, tańczy, głupie stroi miny, gzi, przekomarza się, szukając, czego nie zgubiło, i samo wchodzi w gęby czyhających wrogów. Ha, może to i dobrze; gdyby nie było tylu głupich, przymierałby z głodu mądry.

— Ale ruch bawi! Tu, na przykład, między rafami wolno krążyć jeżowce, do góry wystawiając długie, ostre, grzebieniaste, do pletw rybich podobne kolce; strzykwy to czerwone i pękate, to ogoniaste i z sękami, jak u koralowin; ryby zaś pięknymi błyszczą barwami: czerwienią, fioletem, srebrem, złotem. Warto widzieć to wszystko i podziwiać.

— Tere, fere! Co komu po barwach? Barwy nie pożrzesz, rybę pożrzesz. Radzę ci więcej zważać na smaczny kąsek, niż na piękną barwę. Nie patrzeć karmi, lecz połykanie! Gdy z głodu zdychać będziesz, nikt nie wlezie ci dobrowolnie do pyska, ale zato gdy zdechniesz, wszystko nietylko do pyska wlezie, do brzucha wlezie i do głowy, rozgryzie, roztoczy, rozdrapie, ani małego szczątka nie zostawiając; żadna ci wtedy barwa nie pomoże. Dobra ona na przynętę dla głupich. Patrz, jak chytrą swą zielenią i łagodnością znęca „Kwiat morski“¹⁾. Miły kwiatuszek, udający piękne niewiniątko, drapieżny potwór! Rozłożył się wygodnie, do góry rozdziawił gębę, na wszystkie strony nastroszył do wody podobne, więc niewidoczne macki — i cierpliwie czeka. Taki jeden, drugi i dziesiąty krab lub robak, ciekawy przygód i na piękne barwy łakomy, wchodzi mu prosto w szpony i paszczę. A gdy jego brzuch, nadmiarem łupów przeładowany, nie może już podołać trawieniu, resztki wyrzuca, z czego cieszą się owe czerwone rybki, siedzące cicho blisko żarłocznej gęby i żyjące z jej wymiotu.

Oto prawdziwa mądrość życia!

— Prawo serca nakazuje dbać nietylko o własny brzuch, lecz także o potrzeby potomstwa, gatunku i gromady.

— Dla siebie schowaj serce, młokosie, który chcesz uczyć starców! Prawo serca nakazuje!... Doświadczenie! starości jedynym jest prawem. Ono mówi, że wodna żmija nie żyje w gromadzie, jak śledzie i kraby, że w wodzie pływa, nie w pięknych barwach, że od chwili wyjścia ze skorupy jaja samą siebie broni jadowitym zębem i sama dbać musi o swe jado.

Dosyć mam tej gadaniny. Spać będę. Wynoszę się, jeżeli nie chcesz pogawędzić z moim zębem.

— Jakże ci podobała się ta żmija?

— Cała mądrość jej w brzuchu. Nie różni się od ukwiału, którego sposób życia za wzór mi stawiała. Lećmy w głąb dziewiczej puszczy.

— Nieodległa podróż. Już jesteśmy u samych stóp kolosów.

¹⁾ Ukwiąg, *Discosoma Kentii*.

— Mroczno tu i duszno, jak w cieplarni, pełnej liści i kwiatów, przesyconej parą wodną i gęstym aromatem. W gęstwinie begonij, na pokładach liści wilgotnych z gniazdami pajaków, termitów i jaj jaszczurecznych ruszyć się trudno. Podnieś mnie wyżej nieco pod sklepienie splecionych gałęzi, liści, lianów i kwiatów, skąd pod obłoki strzelają palmy Dammary i Araukarie ze szczytami w pióropuszcach.

Cóż za rozhułkana orgia żądz zmysłowych i upojen! Jakże potworne wyuzdanie życia! Jakie płataniny lianów i powietrznych korzeni, jak te węzowe kłębowiska roślin, kwiatami obsypane, zwieszają się w pomostach i sieciach od szczytów ku samej ziemi, okręcają się pędami, chwytają wąsami, włosami i warkoczami, zahaczają kolecami, zajądają i na przebój walcząc o dostęp ku górze!

— Zmienimy się w tubylcze papugi, aby zrozumieć wszelkie głosy, odbywające się w tem mrowisku roślinnych i zwierzęcych istot. Oto krzykliwą krytyką rozzłoszczę i podrażnię ich namiętności:

— Hola, hołoto, krwią cudzą żyjąca, mchy, paprocie, storczyki, grzyby, pnące, porosty! Kiedyż przestaniecie krew z żywych istot wysysać albo padliną żyć, jak hyeny, a zaczniecie własną pracą na utrzymanie zarabiać?

Jak z węzów kłębowiska zasyczało na ten krzyk i zapiszczało ze wszystkich stron kłatwami, śmiechami i złorzeczeniem, zakolebały się sploty lianów, zatrzęsły bukiety krwawych storczyków, zakotłowało w mchach, grzybach i porostach, zaszumiło w dzikim winie! Od nagłego ruchu olbrzymi konar drzewa łamie się z trzaskiem, lecz nie spada na dół, zawisa w sieciach i szurach roślinnych, płosząc stada owadów, małą i ptactwa.

— Przeklęta papuga — woła najgrubszy i najdłuższy lian, którego liczne odnogi od ziemi do szczytu Araukarii obwijały splotami kilkanaście konarów, — że głos ma chrapliwszy, niż małpa, a pióra jaskrawsze, niż kwiat begonji, znieważa puszcę. Powiedz, jak i czem ty sama żyjesz?

— Małpom służy, żywią ją za to, że im plotki znosi — zawołały storczyki.

— Przytrzymajcie ją kolecami i zaduście wąsami — zawołały porosty.

— Dumna, że na skrzydłach wlecieć umie na same szczyty, na gody słońca i owoców — mówiły ponuro grzyby; — gdyby jej przyszło żyć, jak mnie, w zmroku i bez ruchu, nie wiem, jakby poradziła sobie.

— Nie wie, co to za trud i jaka podróż od ziemi z listka na listek, z konara na konar drapać się powoli na wierzchołek — narzekała jaszczurka.

— Masz przyłgi, kolce i macki — mówiła żaba — ja tego nie mam a także drapać się muszę.

— Śmieszne, wstrętne i podłe mrowie — wołały motyle — prawdę krzyczała papuga, życie cudzą krzywdą.

— Tulung-tumpung! Ungut-ungkut! — zadzwoniły monotennie z wierzchołków drzew ptaki, jakby do zgody wzywając.

— Mnie tam wszystko to mało obchodzi — mruczał cicho do samego siebie figowiec, który na tamaryszkowem wyrósł drzewie, ścisnął, jak boa, splecami swego żywiciela i wysysał z niego wszystkie soki żywotne.

— Huzia, huzia! Kłóćcie się i żrećcie między sobą ze złości, — pisał olbrzymi, pomarańczowy pajak. — Co do mnie, nie mam czasu na zwady, wolę nasycić łaknący żołądek ucztą.

To mówiąc, dopadł szponami chrząszcza, który rozpaczliwie zatrzepotał w nastawionej sieci.

— Tulung-tumpung! Ungkut-ungkut! — zadzwoniły na wieczny sygnał zgody z wierchołków ptaki.

A krople ciepłej wody, rzewne i łzawe, z liści na liście z głuchym jękiem wciąż spadały ze spoconych drzew.

A z dziwnym, tajemniczym szmerem, jakby od rozdarcia twardych kartek papieru, tu obok, tam w górze, gdzieś naraz równocześnie z kilku dalekich stron odrywały się od macierzystych pni suche liście bambusów i spadały na cmentarną ziemię.

A wąż boa, nasycony nocną ucztą, smacznie spał, owinięty między konarami i tak liśćmi i kwiatami zakryty, że go najbystrzejsze oko nie zdołałoby wysledzić.

— Dość mam, dość tej dziewiczej puszczy — mówił chłopak do swego Ducha. — Rodzinna moja, podlaska, sto razy, tysiąc razy milsza, taka rzeźwa, taka spokojna, zdrowa i swobodna, tak kochana! z jodłami, brzo-
zami i dębami, których przeciągły po wierchołkach szum, jak na organach granie, do Boga podnosi i wszelkie smutki uśmierza. To wzajemne pożeranie się, ta dzika i krwawa o byt walka, to żarów zmysłowych i niczem nienasyconej pożądliwości rozpasanie jakże mi do głębi obrzydło, jak do upodlenia za włosy wlecze, jak odczłowiecza!

Dosyć! Coś zgoła innego w duszy mej wyrasta, moc, która pragnie ramiona ku światu podać uprzejmie, a choćby i życie dla drugih, zwłaszcza najbliższych, poświęcić.

I nigdy nie uwierzę, by kiedykolwiek trwale mogła zwyciężyć siła, która duchowi uraga.

A piękno, które mi pokazywałeś, zda mi się teraz powierzchowne i zmienne; przeczuwam stokroć wspanialsze i głębsze: w cierpieniach, zmaganiach się i zachwytach ludzkiej duszy.

— Świątynia tego piękna, o którym mówisz, na stroim i wysokim szczycie; nim do jej przedsionków dojdiesz, mózg wysuszysz, nerwy stargasz, głowę siwizną ubielisz. Ani młode skrzydła tam nie sięgną, ani stare nie zadźwigają nogi.

— Ku tym właśnie szczytom lecieć pragnę. Dopomożesz mi i przeniesiesz ponad siedliskami ludów, które przetwarzały zwierzęce swoje instynkta w miłość, prawdę, sprawiedliwość i piękno.

— Zwaliska jeno zobaczysz i gruzy.

— W zwaliskach i gruzach szukać będę kwiatu.

— Więc trzymaj się mocno moich skrzydeł i lećmy. Czy słyszysz, jak pod nami huczą fale Oceanu Indyjskiego, a teraz, jak szumią piaski pustyni Arabskiej? Przelećmy, wpoprzek morze Czerwone, przez które suchą stopą Mojżesz przeprowadzał Izraelitów. Nil! Memfis i Teb gruzy! Luksoru i Karnaku pogruchotane obeliski, świątynie, posagi, filary, pylony! Przenieś się wyobraźnią, jeśli zdołasz, w czasy kilku tysięcy lat przed naszą erą, gdy czarny lud zeschniętych mumiij żył, gwiazd drogi mierzył, piramidy budował, Sfinksa ociosywał, kanały, tamy i sztuczne jeziora kopał, płaskorzeźbami grobowców i świątyń ściany ozdobił, w wyprawach wojennych aż po Tyr i Eufrat do rozkosznej Babilonji chaldejskiej i do srogiej, wojowniczej, straszliwej Niniwy asyryjskiej sięgał, albo i sam w jarzma wilczych plemion popadał.

— Solonie, Solonie! Mówiłeś ty prawdę. Coście mieczem zdobywali, wszystko miecz wam zabrał i nikt przed kresem nie mógł mienić się ani pewnym, ani szczęśliwym. Wszystkim wam sen spokojny płoszyły straszliwe słowa: mane, tekel, fares! Tylko ducha zdobycze nie doznawszy zagłady przeszły do potomności, by z nowych związków w nowe wykwiatać kwiaty i nowę na przyszły rozwój nasiona sypać.

— Może oglądać pragniesz ruiny greckie, kędy, jak z morskiej piany Afrodyte, plastyczne i harmonijne wyłoniło się piękno w architekturze, rzeźbie i słowie; kędy ludzki Prometeusz najpotężniej targał pęta, któremi był do skały przykuty; Platona duch pod obłoki wlatywał, Arystotelesa skalpel ciosał wszelakiej wiedzy podwaliny, a Eschyla i Sofokla genjusz za bary brał się z przeznaczeniem.

Może uczyć pragniesz to sławne miejsce, gdzie w obronie wolności przed zagładą barbarzyństwa poległ Leonidas z 300 Spartanami, o czym tak głośno woła cichy napis: „O przechodniu, obwieść Spartanom, że tu leżymy, posłuszni ich rozkazom!”

Lub może dalej chcesz polecieć nad kopuły wiecznego miasta i zajrzeć w katakomby, gdzie przed zmartwychwstaniem cicho śpią ciała chrześcijańskich męczenników? Oni śmiercią śmierć samą zwyciężyli.

— Wiem. Z oparu łez i krwi, z pierwotnych w przyrodzie drgnień miłości wyłonił się duch, który sam przeżywa swój rozwój, sam go poznając i udoskonalając. Stąd pierwszy śpiew pokoju w krwawej o byt walce, miłość, w tysiączne rozpryskująca fazy: bliźnia, patriotyczna, wszechludzka, stająca się pięknem, które przybytek wspólnego szczęścia powoła dźwiga.

Znikomy przybytek ów bez innego uświęcenia! Blisko nas leży uroczyste Betleem, nad którym ongiś zabłysła cudowna gwiazda łaski i ofiary, ze wszystkich najświętszej. Tam zanieś mnie choć na krótką chwilę, bym pyłkiem przypadł do ziemi i w pokorze modlił się o cząstkę dla siebie, dla najbliższych swoich i dla ojczyzny.

— Nie sięga tam moje skrzydło, ale ci wedle możności pomogę. Tu na szczycie Synaju, gdzie On w trzęsieniach ziemi, błyskawicach i grzmotach wręczał Mojżeszowi tablice dekalogu, zaczekam na ciebie. Moc lotu wzięwszy, kieruj się wzdłuż odnogi, potem za górskim pasmem aż ku morzu Martwemu. Stamtąd dalszą drogę do Betleem wskaże ci gwiazda. Nie zabłądź i szczęśliwie wracaj...

— Z leśnej płonki zwolna przetwarza się drzewo szlachetniejsze; obsypane kwiatem, obciąży kiedyś gałęzie swoje bujnym owocem. Czy wiara jest mu teraz nowych soków zaszczepieniem?...

— Jakto? Już wracasz? Czy z dobrą nowiną?

— Pełni serca nie wysłowią usta. Ukrzepiłem ducha modlitwą. Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

— Dawno już mielibyście ów błogi pokój, gdyby nie zależało to od waszej dobrej woli.

— Pyłkiem leżąc u stóp świętego żłobu, potem w Jerozolimie na brzegu grobu zmartwychwstania, rozważałem moc ofiary i znikomość celów egoistycznych wobec wielkości wspólnego dobra.

— Byleś również pięknie działał, jak pięknie mówisz. Czy teraz do rodzinnej wrócimy puszczy?

— Zanieś mnie do ojczyzny, do Polski, żebym jej ślubował cały trud życia do ostatniego tchu poświęcić.

— Lećmyż tedy i mocno trzymaj się moich skrzydeł. Już w sienie mgły znika za nami delta Nilu; na lewo w słońcu błyszczy bukiet Krety; przed nami Egejskiego morza rubiny i szmaragdy. Czy zatrzymać się nad gruzami Troi? Czy w miejscu, gdzie nad Hellespontem most budował Kserkses? Czy nad kopułą św. Zofji, półksiężycem zhańbioną?

— Nieś mnie ku północnym brzegom Czarnego morza: nad Dniestr, nad Boh i Dniepr. Tam Cecorską i Chocimską ziemię ucałuję, krwią naszych bohaterów pobrozoną. A potem... sam się domyśl... Może kędy między borami nagi krzyż na pagórku z pękiem suchego zielska wydłuża ramiona; kędy na mogiłkach między zagonami ponuro sterczy kaplica napół rozwalona, dalej w wianku słomianych strzech kościółek z drzewa, a w nim za wiecznie płonąca lampą w złotej błyszczy koronie dobra Matka Boża, uśmiecha się i łaski zsyła sercom pokornym... Tam to jedna lipa rozłożysta między ulami i gruszami cień gęsty rzuciła w skwarne lato; tam za ogrodami w wilgotnych rowach rosły trawy smaragdowe, pochylały się nad drogą wierzby, a między trawami ku słońcu lśniła złota lilja...

O zanieś mnie tam, niech na zawsze pozbędę się pacholących łkań z wątpliwego serca i uzbroję na życie w twardy hart stali...

Ha! Spełniłeś moje życzenia! Bądźcież mi pozdrowione, a za śladem moim nie ciskajcie kamieniem, jako i ja dobrem jeno słowem pamięć waszą znaczę.

— Przestań już płakać...

— Nie mogę. Tak do głębi przenika myśl o znikomości wszystkiego, a zwłaszcza niepowrotnej stracie anielskiego dzieciństwa.

— Jeszcześ nie postarzał, a drżysz, jak zgrzybiały starzec. Wstydz się. Własnej wiedzy i wierze wpoprzek stajesz.

— Zaiste, prawdę mówisz. W górę czoła i serca! Do jaskini teraz mnie zanieś i radź, jak się uwolnić od zbójów.

— Mówilem i powtarzam: Każdemu własna moc rady i doświadczeń najskuteczniejsza.

— Więc żegnaj. Niepotrzebny mi już jesteś.

— Jak król sobie poczynasz. Odchodzę i nigdy cię nie nawiedzę, chyba na trzykrotne zaklęcie.





XVIII.

OCALENIE — MIESZKANIE W NORZE — POGROM WILKÓW

Obudził się Zygmus i rychło smutna rzeczywistość pomogła mu do zwalczenia silnych wrażeń, doznanych we śnie. Pragnął wstać i rozejrzeć się po jaskini, ale poczuł, że ręce i nogi ma skrępowane. Smuga światła padała przez szczelinę, obok szemrało źródło i leżał kawałek chleba. Z napoły wygasłego ogniska przeświecały przez popiół iskry.

Pomagając sobie łokciami i kolanami zdołał podsunąć się do źródła i spragnione usta zanurzyć w wodzie. Pił z rozkoszą, przypominając sobie bajki o źródłach życiodajnych. Poczłgał się potem do chleba i rozgryzał go zębami, myśląc:

— Oto żreć muszę, jak pies albo krowa!

Pierwszy głód nasyciwszy, uważnie obejrzał całą grootę. Wejście zawalone było gładem, z za którego przez szpary nawiało nieco śniegu; po stronie przeciwnej z wąskiej szczeliny spływał strumyk i przepływając grootę wpoprzek ginał w skale blisko wejścia; całe wnętrze zakopcone ze śladami wygasłych ognisk. Zresztą nigdzie nic więcej. Widocznie grota służyła do chwilowych wypoczynków. Łatwo też poznać można było po najświeższym ognisku, że zbój wyszedł niezbyt dawno i może tylko dla upolowania pożywku.

— Jeżeli mam uciekać, — myślał Zygmus — to uczynić to muszę natychmiast. Ale jak? Ręce mam z tyłu związane pasem, toż samo nogi; o zerwaniu lub przetarciu tych więzów nie może być mowy. Trzeba szukać innej rady.

Począł z wielkim móżdłem podpełzać na brzuchu w kierunku szczeliny, pragnąc zbadać, czy tamtędy nie dałoby się wydobyć; i znowu przyszło mu na myśl, że tak pełznąć, naśladuje ruchy węża. Blisko szczeliny przekonał się, że bez znacznego jej rozszerzenia nie przepełźnie nazewnątrz. Zmęczony legł, ciężko oddechając, wypoczywał i rozmyślał.

— Może mi uda się rozluźnić rzemienie na nogach.

Miarowo i cierpliwie długi czas to kurczył, to rozprężał nogi. Jednak wreszcie i tego zaniechał, doszedłszy do przekonania, że sposób ten chyba po kilku dniach dopiero mógłby mu dać wyzwolenie, o ileby do tego czasu zbój nie wrócił, a siły do szczętu nie wyczerpały się z głodu.

— Muszę uwolnić się, muszę, muszę! — powtarzał zacięcie.

I gdy biedził się z rozmyślaniami, w jaki sposób tego dokonać, usłyszał przy szczelinie groty silne drapanie, w strumyku zaś plusk i cichy skowyt. Ledwo głowę w kierunku tych szmerów odwrócił, gdy nagle przypada mu do twarzy... co?... łasiczka jego, a ze strumyka zwinnie i z radosnym skowytem wyskakują obie wyderki jego: i kręcą mu się po piersi, po twarzy, przytulają główki, łaszą się, piszczą, skaczą, okazując oczkami i każdym ruchem szaloną radość. Nie mogąc rękami utulić, całował chłopak ich kochane główki i szeptał pieszczoty:

— Szłyście w ślady za mną, tęskniłyście, nie bałyście się ani zbója, ani głodu, ani trudu? Kochane, kochane! Nie mogę was rękami utulić.

Odwrócił się i pokazał ręce, rzemieniem skrępowane na plecach.

Ale łasiczka, jak rozumna istota, pojmująca powód ubezwładnienia, zawzięcie jęła ostremi zębami szarpać rzemienie, wyderki zaś do nóg się rzuciły obie i tak zapalczywie gryzły rzemień, że co chwila któraś z nich przewracała się, dawała koziołka i wnet skokiem wracała znowu do gryzienia i szarpania.

Nie upłynęło pół godziny — Zygmus był wolny. Z rozkoszą zerwał się na nogi i prostował zdrętwiałe członki, a na ten widok zwierzątko do piersi mu podskakiwało z radości.

Bez zwłoki poskoczył do głazu, zamykającego wejście; nie zdołał go jednak odwalić, ani szczeliny w twardej skale rozszerzyć. Więc pobiegł w przeciwną stronę, którędy spływał strumień; tu w syrkim szutrze rozszerzał otwór, w czym znakomicie pomagały mu wydry. Podrapał sobie palce, połamał paznokcie, ale dopiął celu i już miał wyłazić, gdy mu przyszło na myśl, że zbyt pobieżnie zbadał był grootę. Wrócił tedy i starannie obmacując ściany, znalazł w skalnej szczelinie spory kawał szabli z rękojeścią. Równocześnie zauważył, że wydry zawzięcie grzebią w samym kącie groty. Po dłuższem rozkopywaniu w tem miejscu znalazł drewnianą skrzynię z wielkimi zapasami strzelniczego prochu, kul, pakułów, lontów, a nadto kilkanaście strzelb i różnej innej broni. Wybrawszy sobie strzelbę i zaopatrzywszy się w torbę z kulami i prochem, resztę zasypał napowrót ziemią i udeptał nogami. Wreszcie wydobył się nazewnątrz groty, której otwór przezornie przysypał kamieniami i szutrem.

Z dumą, acz zmordowany do upadłego, rozglądał się po drzewach i śnieżnych zaspach, zdecydowany na śmierć i życie bronić swej wolności.

— Prędzej zginę, — powtarzał — niż dam się im teraz schwytać!

W którą jednak iść stronę? Gdzie i jak szukać pożywienia i spoczynku? W kieszeni prócz nożyka i krzesiwka miał tylko mały kawałek

chleba. Lada chwila mógł powrócić zbój i rozpocząć pościg. Położenie tedy nie było przyjemne.

Tymczasem łasiczka i wydry bez wahania pobiegły przodem, to przystając, to oglądając się, jakby dla zachęty. Widocznie pragnęły wskazywać



mu drogę. Szedł za nimi, odłamkiem szabli starannie zasypując za sobą ślady. Miejsce było skaliste, pełne wyrw i nierówności, śniegiem zasypa-
nych krzaków i korzeni; gdzieśniedzie na kilkanaście metrów w górę
sterczały nagie skałki, miejscami z głębszych pokładów ziemi wysoko
w górę strzelały drzewa.

Brnął tak ostatnim wysiłkiem za przewodnikami, aż zatrzymał się nad stawkiem, do którego wpadało poznane w grocie źródło.

— A nuż — myślał — w stawku tym znajdują się ryby? Pyszny mielibyśmy pokarm!

Palcem pokazując wodę, kilka razy na próbę zawołał ku wyderkom: „hul! hul!“, zwykłą zachętę do połowu. W mig obie wskoczyły, dały nurka i po pewnym czasie wydobyły się, trzymając w pyskach karasie. Toż samo powtórzyło się kilka razy, tak zawsze skutecznie, że nietylko wydry mógł suto nakarmić, ale i sam miał zabezpieczony posiłek; rozmyślał jeno, gdzieby rozniecić ognisko i upiec złowioną rybę.

Ale łasica niespokojnie kręciła się, to obwąchując gruby i stary pień drzewa, to grzebiąc u potężnych jego korzeni, to nawet znikając w ich wnętrzu i znowu wyłazając i podbiegając do Zygmuścia. Zachęcała widocznie do grzebania.

Jakże się zdziwił, gdy po dłuższem w tem miejscu kopaniu odkrył wylot głębokiej i ciemnej nory, ukrytej między korzeniami tuż pod samem drzewem. Ostrożnie nasłuchiwał, czy nie będzie tam mruku jakiego albo ruchu; potem długim kijem badał rozległość nory; wreszcie krzesiwkiem roznieciwszy płomyk i zapaliwszy smolny koniec kija, zajrzał do wnętrza. Puste było. Włazł tedy do środka, trzymając w ręku kawałek zapalonego łuczywa i zobaczył rzecz zgoła nieoczekiwaną i niezwykłą: kilka korzeni grubości dorosłego człowieka wrastało w głąb ziemi, dźwigając, niby filary, olbrzymi pień ze spróchniałem od dołu wnętrzem. Między korzeniami była wolna przestrzeń wielkości sporej izdebki, z dnem w próchnicy wyłożonem, z bokami w gliniastej ziemi ustalonymi gęstą siecią drobnych korzonków, z sufitem, wysoko kończącym się w dziuple. Miejsce to było na dłuższe nawet mieszkanie dogodne, od wiatru i śniegu zakryte, suchego mchu i liści pełne, przytulne. Przechodziło też ono niejednego już pewno lisa, a może i niedźwiedzia. I teraz szmer, z górnej części dziupła dochodzący, wskazywał, że siedzi tam i niepokoi się jakaś żywa istota, zapewne wiewiórka, bo co do drobiazgu innych różnych istot, rozbiegł się on zawczasu w różne strony. Dym zapalonego łuczywa zwolna szedł do góry i ginał, widocznie mając odpływ w górnym otworze nazewnątrz.

Nie zwlekając, począł Zygmuś zgartywać suche mchy, liście i próchno w jedno miejsce na wygodne legowisko; następnie wylazłszy z nory i nabierawszy sporo kamieni i paliwa, wszystko to powciągał do środka, wykopał na środku komory dół, wyłożył go szczelnie kamieniami i na urządzonem w taki sposób palenisku rozniecił płomień.

Kręciły się i skakały w miłym cieple obie wyderki, łasiczka zaś wylazła w górę dziupła i spłoszywszy wiewiórkę, *iure caduco* zagarnęła jej spiżarnię, o czem zaświadczył grad bukiew i orzechów, z góry na dół spadający. Żal było chłopcu biednej lasów taneczniczki, pozbawionej zapasów, skrzętnie zebranych na zimę; pocieszał się jednak zwykłem w podobnych

wypadkach rozgrzeszeniem, że orzechy były wyśmienite, wiewiórka zaś nie zginie z głodu, mając w lesie dostatek buczyny, szyszek i różnego innego jadal.

Pierwsza rzecz — rozważał — zaspokoić głód i dobrze wyspać się; później postanowimy, co czynić dalej.

Karasie, nożykiem wypatroszone, z łuski oskrobane i starannie w wodzie wymyte już skwierczały na węglach, wydając zachęcający aromat. Zanim zwęgliły się, zjadł je z wielkim apetytem, przegryzając kruszynami chleba. Na wety posilił się orzechami i popił czystą, jak kryształ, wodą.

— Miał tatuś rację — pomyślał — że głód i fizyczne zmęczenie są każdego jadal najsmaczniejszą przyprawą. Ciekawym, czy równie sprawdzi się twierdzenie mamy, że po skrzętnej pracy i dostatecznym posiłku twardy sen daje czyste sumienie, po śnie zaś — dobrą radę. Byłe mi zimno snu nie spłoszyło.

Dołożył łuczywa, zakopał się w mchu, przytulił do siebie obie wyderki i zasnął.

Wydry, jakby rozumiejąc, o co chodzi, leżały cichutko, a łasiczka, korzystając ze swobody, pomknęła na polowanie, myśląc:

— Wszystko to bardzo pięknie, jednak nie zawadzi własnemu także żołądkowi dogodzić.

Długo spał; łasiczka z nasyconym żołądkiem wróciwszy z polowania, zwinęła się w kłębek i także zasnęła, a zamiast bladego słońca jeszcze bledszy księżyc ciekawie z za chinur wyjrzał przez gałęzie na białą w śniegu puszcę, wtargnął promykami do jaskini i bardzo się dziwił, że w pieczarze dawno już ognisko wygasło. Wreszcie, znudzony skrzywił twarz i z wolna odszedł ku zachodowi, po przeciwnej zaś stronie widnokręgu bojaźliwie, jak na zwiadach, zamigotało kilka smutnych promyków świtu.

Słońce wychyliło się już ponad las, gdy Zygmus wstał ze snu porzeczony, wypoczęty i pełen otuchy. Nie zapomniał pomodlić się, a potem łowił z wydrami świeże ryby i rozłukiwał orzechy.

— Muszę mieć — rozmyślał — dostateczny zapas gotowego jadal. zanim ku Toni wyruszę. Nie mnie do pośpiechu nie zmusza; mam wygodną i bezpieczną kryjówkę, mam ryby w wodzie, których, ile zechcę, nałowić i nasuszyć mogę; upoluję nieco zwierzyny, a może jeszcze jedno dziupło z orzechami znajdę; zresztą, sama przezorność każe mi poznać całą okolicę leśną i dobrze się zorientować, którędy iść trzeba do domu najprostszą i najbezpieczniejszą drogą.

Tego dnia i następnych robił w głąb puszczy wycieczki w różne strony, przypominając sobie kierunek drogi, odbytej ze zbójami. Ale łupy myśliwskie zupełnie go zawiodły. Zwierzyna jakby powymierała, chociaż na śniegu sieć rozlicznych śladów, w różne krzyżujących się zygzaki, nie potwierdzała tak smutnego przypuszczenia. Nie powymierały zwierzęta,

jeny chytrzej umiały unikać młodego myśliwego, niżli ten je tropić. Za to ze znacznem uspokojeniem zobaczył, że jaskinia zbójcka, z której umknął, ciągle była głazem zawalona, co dowodziło, że zbój albo wcale nie wrócił, albo wróciwszy i nie znalazłszy więźnia, odszedł, zawaliwszy wejście.

Już wszystko przygotował do podróży i miał ją nazajutrz rano rozpocząć. Właśnie popołudniu leżał na swym miękkim barłogu z mchów i liści, czując, że mu nieco żal będzie na zawsze opuszczać to ciche schronienie: gdy nagle z niemałym zdziwieniem usłyszał pojedynczy strzał, rozlegający się echem między drzewami a niemal równocześnie przeciągłe, skowyczące, gromadne i przeraźliwe jakieś wycia.

Zerwał się; skoczyły z legowiska drżące ze zjeżonym włosem wydry i łasica. Wilki! Drugi strzał. Znowu piekielny wrzask wilczej gromady. Wszystko to mniej więcej w odległości zbójckiej groty i w tamtej stronie.

— Napadły kogoś głodne wilki — pomyślał Zygmunt. — Straszny to wróg, z którym niema żartów. W jednej chwili rozszarpia na kawałeczki, jeżeli napadnięty w porę nie wdrapie się na drzewo lub na niedostępną skałę. Dobrze, że mocny wiatr dmie ku mnie. Byłem już raz węzem w grocie, spróbuję być nim drugi raz, aby jak najbliżej podpełznąć i zobaczyć, czy nie zdołam dać napadniętemu pomocy.

Lecz nagle zachwiał się w postanowieniu.

— A nuż wilki napadły zbóję, który mnie uwięził w grocie? To bardzo prawdopodobne! Sprawdziłoby się przysłowie: Niósł wilk, ponieśli i wilka.

Rychło jednak dobra w chłopcu zwyciężyła natura.

— Jeżeli wilki napadły zbóję, tem piękniej będzie z mojej strony, jeżeli zdołam mu w czem pomóc i za zło odwdzięczyć się dobrem. Tylko mądrze i chytrze weźmy się do rzeczy, naśladować przebiegłość węży i zwinność odważną łasicy. Pamiętajmy także, co mówił duch puszczy, i bieliznę włożmy na wierzch odzienia, by do śniegu się upodobnić. Strzały powtarzają się w równiejszych odstępach, widno napastowany z bezpiecznego już strzela miejsca. Tak będzie strzelał, dopóki mu prochu i kul nie zabraknie. Teraz naprzód, byle cichutko, ostrożnie, od krzaczka do krzaczka. Cicho, wyderki, nie skomleć! Czy chcecie zgubić mnie i siebie? Powtarzam wam, z wilkami niema żartu! A ty, łasiczko, pełnij ciągle naprzód i prowadź; masz węch o wiele czulszy od mojego i znacznie bystrzejsze oczka, słusznie tedy należy ci się przewodnictwo. Mądrze robisz, że nas prowadzisz ku tylnej szczelinie groty. Tam można bezpiecznie schronić się albo na cypel skalny, albo i w samej grocie; a także widok stamtąd lepszy.

Prawda, prawda! Proch, pakuły, lonty i broń tam zakopane! Kto wie, czy rychło nie przyjdzie odkopywać tego skarbu.

Minęło pół godziny, zanim przyczółkał się do miejsca, w którym źródło wpływało do jaskini; przez ten czas strzały coraz były wyraźniejsze

i coraz głośniejsze wycia, szczeki i ujadania wilczej gromady. Zwinnie, z wolna i z największą ostrożnością wdrapał się Zygmunt na skalny cypel, wychylił z za krzewów nad urwiskiem głowę i zdrewniał ze zgrozy. Tuż pod sobą o jakie 30 do 40 łokci w dole, niemal przy samem głównem wejściu do groty zobaczył liczne stado wilków. Przeciągłe, przeraźliwe ich wycie i kłapanie zębami przejmowało dreszczem i włosy podnosiło na głowie. Rozwarte ich pyski i rude



kudły krwią były zbroczone, kose ślepia rzucały wściekłe błyski; niektóre kłębiły się jeszcze obok wywróconego wozu, potężnemi szczękami rozgryzając do szczeru jakieś grube kości, zajadłe przytem charcząc i gryząc się między sobą; inne ze świeżą krwią na pyskach pokładły się na ziemię; tamte, półkołem stanawszy na zadach, to wyły w niebogłosy, to zgrzytając zębami lub ciężko dysząc, z wywalonemi ozorami wściekłe ślepia

zwracały w jedną stronę, ku górze; te zgrzytając zębami wspinały się przednimi łapami na drzewo lub podskakiwały zajadle ku jego gałęziom.

Spojrzał Zygmus na to drzewo i ledwo całą siłą woli i przytomności zdołał wstrzymać się od okrzyku: dziadunio! Tak, nieinaczej, on we własnej osobie, siedzi na konarze drzewa w zimowej swej wilczurze, z baranicą na głowie; spokojnie nabija strzelbę, potem mierzy, daje ognia, a za każdym strzałem jeden wilk ze straszliwym wrzaskiem wywraca w powietrzu koziołka i pada martwy na ziemię; gromada każdy taki cios przyjmuje wyciem, szczekaniem, skakaniem ku gałęziom drzewa.

— Gdybym był nie powstrzymał się od okrzyku na widok dziadunia, okrążyłyby wilki skałkę i miałbym ich pewno na karku. Ale dziadunio w trudnem położeniu! Skąd tu wziął się sam jeden? Co zrobić, żeby go od obłężenia uwolnić?

Pogrążył się w cichych, skupionych rozmyślaniach. Wreszcie zabłysły mu oczy radością.

— Tak, — szeptał — tak, przygotuję im dobrą łaźnię. Wieczór już, noc **rychło** zapadnie. Ale przez tę noc jeszcze dziadunio wytrzyma.

Jakoż rychło noc zapadła; wilki ani myślały odejść; przeciwnie, usadowiły się wygodnie pod drzewem, z którego strzały coraz rzadziej raziły.

Co przez tę noc robił Zygmus, łatwo się domyślimy, zabaczywszy scenę, która rozegrała się skoroświt nad ranem.

Wzdłuż skalnego cypla leżało kilkanaście nabitych i do strzału gotowych strzelb, niektóre z nich, lontowe garłacze, gdzieś z okopowych obwarowań zrabowane, mogły odrazu pełną garścią kulek sypnąć. Leżał także obok pokaźny stos jakby piłek, a każda strzelniczym prochem napełniona, szczelnie pakułami i szpagatem owinięta — miała lont, wnikaający do środka prochu i nazewnątrz wystający. Obok w ukrytym dołku przygotowane było ognisko do szybkiego zapalania lontów.

Ledwo świtać zaczęło, przystąpił Zygmus do ataku, a związał się szybko, aby w stadzie wilczych zbójów wywołać jak największe przerażenie i zamieszanie: najpierw pokolei zapalał lonty garłaczy i raz poraz ze wszystkich powystrzelał. Nie sposób opisać, jak piekielnem wyciem przyjęło stado wilków tę kanonadę, zwłaszcza gdy zaraz potem nastąpiło bombardowanie pociskami, które, padając, wybuchały i zapalały wilcze kudły. Przerażającym, przeciągłym, wrzaskliwym wyciem w niebogłosy przyjęły wilki ów atak. Powstał nieopisany zamęt; wrzeszczał Zygmus z całych sił, nie posiadając się z radości na widok wilków, gromadnie uciekających w zupełnem rozbiciu i popłochu; krzyczał także z całych sił na swem drzewie doktor, który nie posiadał się ze zdumienia i radości na widok Zygmunia i jego dzieła.

Na dobitek wszystkiego zaszedł nowy najmniej spodziewany wypadek, który popłoch wilczej gromady zamienił w zupełny jej pogrom. Zagrzmiały od strony drzewa, na którym siedział doktor, nowe jakieś strzały i tuż

potem z gwałtownem szczekaniem na karki uciekających wilków rzuciły się dwa ogromne psy.

Z jakąż radością, z jakim zdumieniem w psach tych poznali doktor i Zygmus Chana i Beja, a tuż za psami z leśnej gęstwiny wydobywających się na widownię walki Jerzego i Franka we własnych osobach.

Nikt już nie zważał na bohaterskie czyny rozjuszonych psów i na ich pogoń za wilkami. Doktor w komicznym pośpiechu zląkł z drzewa, a Zygmus z wydrami i łasicą pędem wiatru gonił i skakał po skałach, aby czempredzej paść w ramiona ojca i dziadka.

Na pobojuwisku, wileczą posoką mocno zbroczonem, rozegrała się żywa scena wykrzykników, uścisków, krótkich pytań, urwanych odpowiedzi, której inny, weselszy obrót nadał dopiero Franek żartami.

— To jegomość na tem drzewie nocował? Wygodna musiała być taka pościel. Nikt mnie jednak nie przekona, że jegomość własną mocą wlaźł na tak wysoką i bez konarów sosnę; że jednak zląkł sam i to bardzo zwinnie, widziałem na własne oczy.

— Gdybyś był w mojem położeniu, pewnobyś nie zdołał umknąć na sosnę, aleby zjadły cię wilki razem z koniem. Teraz żartujesz, bo masz pełny żołądek; mnie z pustym nie do żartów. Z głodu omal nie spadłem na śniadanie w rozwarte paszcze tych bestyj.

Dajcież mi wreszcie co zjeść do licha, jeżeli nie chcecie, abym was pożarł.

Nikt jednak nie miał przy sobie pokarmu, więc Zygmus z wielką dumą i uroczyście zaprosił wszystkich na posiłek i wypoczynek do własnego domu. Wkrótce też i psy, pogonią mocno zżijane, powróciły; cała tedy familja w krótkim czasie zasiadła w norze Zygmuta dookoła roznieconego ogniska, z zadowoleniem racząc się jego skromnemi zapasami ryby i orzechów. Opowiadano sobie przy tem najświeższe przygody; zwłaszcza Zygmus wszystko, co go spotkało od chwili uprowadzenia, opowiadać musiał z najdrobniejszymi szczegółami. Z zajęciem słuchano także opowiadań doktora, który przed bandą wilków ledwo uszedł z życiem, rzucając na ich pastwę konika i wóz, zapelniony zapasami i ciepłą odzieżą.

— Szelmy zaskoczyły mnie najniespodzianie; bo kto mógłby przypuścić, że już w grudniu zaczęły się zrzeszać, gdy dzieć się to zwykło dopiero koło Gromnicznej. Najwięcej żał mi konika i nie wiem, jak z jednym damy sobie rady. Co do zbója, o którym Zygmus opowiadał, myślę, że go rozszarpały wilki, gdyż po drodze blisko jaskini oglądałem liczne wilcze ślady, oraz szczątki ludzkiego odzienia, co mi kazało mieć się na baczności.

— I na pierwszy widok wilków wdrapać się na wysoką sosnę — dodał Franek.

— Nie wstyd umykać na drzewo przed głodnem stadem wilków. Straszny to wróg, przed którym nie ostoi się ani żubr, ani niedźwiedź.

Wilcze stado zmoże nawet liczną gromadę dzików, dościga w nieznuzonej pogoni każdego wroga, nawet szybko nogiego jelenia. W tem dowód, jaką stanowi potęgę zrzeszenie się jednostek dla własnej obrony lub zgodnego dążenia do wspólnego celu.

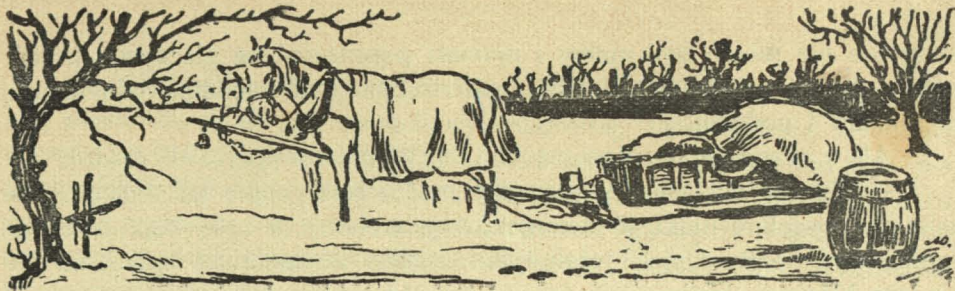
— Ładny mi dowód, skoro sam jegomość twierdzi, że dzikom nie to zrzeszenie się nie pomaga do obrony przed wilkami.

— Ty, Franku, dobry byłbyś na posła sejmowego, lubisz bowiem wszystkiemu przeczyć i na nic się nie zgadzać.

Tak gwarzyli, zanim zmęczenie do snu ich nie skłoniło. Przed samym snem mówił Jerzy do syna:

— Dzięki Bogu, żeś się nam znalazł, a niemniej, że dzielnie się spisałeś, z czego w swoim czasie wypłyną korzystne dla ciebie skutki. Nie zwlekając zaraz jutro rano udamy się w powrotną drogę, a po drodze zabierzemy kilka cennych skór, które mnie i Frankowi udało się zdobyć w naszej włóczędze po puszczy.





XIX.

POWRÓT — KISIEL — POSŁANIEC — BOŻE NARODZENIE — PROŚBA ZYGMIUSIA — OFIARA HERSZTA ZBÓJÓW

Zmęczeni, zabłoceni, zziębnięci i głodni wracali do osady, która zdaleka jak czarodziejskie wyglądała siedlisko, tak roila się od różnego ptactwa, tak była obleżona różną zwierzyną, Hania bowiem nie tylko ptakom rozsypywała ziarna, lecz za palisadami rozrzucać kazała pokarm dla wszelkich innych zwierząt.

Radość jej na widok wracających nie da się wyśłowić. Zwłaszcza Zygmiusia ze łzami w oczach ścisnęła. Na wiadomość o jego przygodach łzy te zmieniły się w błysk szlachetnej i błogiej dumy.

— Odwagą swoją i roztropnością udowodniłeś, że już nie chłopcem jesteś, lecz młodzieńcem. Jestem dumna z ciebie!

— Mamusiu złota, — szeptał odwzajemniając uściski, — pragnę być w całym życiu dobry, pracowity i pożyteczny.

— Niech Bóg błogosławi cię, mój synu, i umocni w tem postanowieniu.

Niedługo wypoczywali nasi koloniści po ostatnich przygodach. Jedni na żarnach przerabiali świeżo wymłócone zboże w grubą mąkę, inni w stępie tłukli jęczmień i proso na kaszę. Gospoia już rozmyślała o zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, postanawiając zwłaszcza wigilijną ucztę urządzić jak najwspanialej. Dostatku ryb była pewna, o to nie bolała głowa; wypiek razowego chleba również nie nastroczał trudności, gdyż miała w dzieży kwas na roczyn, miała dostatek żytniej mąki i soli a dla przysmaku wisiwały w spiżarni pełne woreczki kminku i czernuszki, zebranej w lecie na łąkach; miała także zapas miodu, maku, starannie obtłuczonej na kutię pszenicy, dostatek grzybów i orzechów, a z daru kupców nawet rodzynki i migdały. Natomiast kłopot był z masłem i mlekiem, gdyż krowy na wycieleniu poskapiły mleka; żadnego także zapasu jaj nie było, ani pszennej mąki cieniutko mielonej, o drożdżowych tedy

struclach nie mogło być mowy i musiała poprzestać na pieczywie pszen-
nem z grubej mąki i bez drożdży, osłodzonem jeno miodem, rodzynkami,
migdałami i makiem.

Ale z niespodzianą pomocą w tych kłopotach przyszedł doktor.

— Nauczę cię, jak bez pszenicy można mieć mąkę tak delikatną, że
zakasuje wszelkie nulki. Z ziemniaków ją zrobimy, a z tej mąki ziemnia-
czanej wyśmienity kisiel, jeżeli tylko między kuchennemi sprzętami po-
siadasz blaszaną tartkę.

Okazało się, że tartka była. Obrane tedy ziemniaki rozcierano na
tartce do wody. Ich mączny osad, należycie wysuszony, okazał się jak
śnieg bielutki i delikatny, jak puder.

— Widzisz — mówił doktor — z tej mąki możesz na mleku ugo-
tować kisiel.

— Ależ nie mam mleka!

— Prawda, nie mamy mleka! No, nie to. Obejdziemy się bez kro-
wiego mleka. Wszak mamy orzechy i migdały. Zrobimy z nich mleko
smaczniejsze od krowiego. Mamy także owocowe soki. Kisiel migdałowym
zabarwiony sokiem będzie biały, a sokami z jagód — kolorowy. Czyż nie
wspaniale wypadnie uczta wigilijna? Pomyśl: barszcz z uszkami, ryby,
grzyby, kutia z makiem, kisiel, słodkie ciasta, gorący krupnik na miodzie
Czegoż więcej żądać? Nawet opłatki jakoś wymajstrujemy.

Jerzy tymczasem z Frankiem inne mieli zajęcia, w których także
Zygmus uczestniczył: polowania. Chodziło im o to, aby skorzystać z zi-
mowej pory i zaopatrzyć się w cenniejsze futra zarówno na codzienny
użytek, jak na sprzedaż. Każdego dnia tedy skoroświt wyruszali z psami
w puszcę na łowy, a codzień wracali ze skórami lisów, bobrów, kun
leśnych, gronostajów, rysiów i żbików. Resztę dnia poświęcali na praco-
wite odczyszczanie owych skórek i należyte nacieranie ich tłuszczem.

Rozkoszne były to dla Zygmunia wyprawy. Mężniał on, krzepiąc nie-
tylko fizyczne siły lecz wzbogacając bystrość swą, przytomność umysłu,
wytrwałość i odwagę. W ustroniach puszczy wytropiono nawet w paru
miejscach legowiska niedźwiedzi i zamierzano urządzić zbiorową wyprawę
na tego zwierza. Na szczęście śladu stad wilczych dotychczas nie spotkano.
Miano się jednak na ostrożności, wiedząc, że w swoim czasie zgłodniałe
wilki poczną niepokoić całą okolicę puszczy.

W owym to czasie herszt zbójów, który coraz szybciej wracał do
zdrowia, wstawać począł ze swego posłania i już nawet przebąkiwał o ry-
chłem opuszczeniu dotychczasowej gościny. Ani słyszeć nie chcieli o tem
nasi koloniści, którzy przywykli już do swego małowownego gościa,
zwłaszcza że od pewnego czasu znacznie on złagodniał.

— Całe życie za waszym tu przypięciem mam spędzać? — pytał.

— Tak długo w każdym razie, dopóki nie skrzepnie ci zdrowie —
odpowiadali Jerzy i doktor.

Ów szczególny herszt zbójów okazywał, rzecz dziwna, coraz wyraźniej niezwykle w owych czasach wykształcenie, lubo krył się z tem widocznie. Obcował najchętniej z Zygmutem i w rozmowach z nim najwięcej jeszcze odsłaniał duszę, zwłaszcza że Zygmunt, kierowany wrodzoną naturalnością, swobodą i żywością umysłu, zwierzał mu się ze wszelkich myśli, zamiarów i uczuć. Instynkt chłopca odczuwał tragiczny ból w krótkich, szyderczych zdaniach zbója; ból ten uśmierzał bezwiednie i łagodził gorącami wybuchami żywotności, pełnej zapału i wiary. Herszt, oceniając szczerłość, nie posuwał się do drwin cynicznych, a nawet z mimowolną przyjemnością poddawał się kojącym wpływom, nawzajem obdarzając chłopca niejedną uwagą, z doświadczenia i znajomości życia zaczerpniętą.

Zbliżały się święta i wszyscy mniej lub więcej ulegali wpływom tej okoliczności, a najbardziej gospośia.

Parę dni przed samą wigilią w południe zdarzył się najmniej oczekiwany wypadek. Jakiś chrapliwy krzyk poza palisadami, przyjęty ujadaniem psów, zdziwił i zaniepokoił naszych osadników. Okazało się, że przybył pieszy posłaniec z Gnójna od brata Jana. Nad Dolną Toń dobrnął on po długim błędzeniu w puszczy, a w jakim stanie, trudno wysłowić: wynędzniały, obszarpany, zziębnięty, głodny, ledwo mógł utrzymać się na nogach. Czempredziej zaprowadzono go do izby, zdjęto z pleców spory toból, ogrzano przy ognisku, pokrzepiono gorącym, do wilji przygotowanym, krupnikiem, a potem jadłem. Był jak oszołomiony; ale wreszcie rozwiązał mu się nieco język:

— U, chwała Bogu — powtarzał — żem trafił wreszcie. Myślałem już, że w puszczy zamarznę, jak suchy pień. Kupcy mówili, opisywali, nawet rysowali. Cóż? Puszcza — nie żarty, jeszcze w zimie. Sto razy zabłądzisz, z mrozu i głodu zdechniesz. U, no! Chwała Bogu. Listy tam jegomość oddać mi kazał, zaraz wyjmę z za pazuchy.

Brat Jan wyjaśniał w liście do doktora, że długo rozważał, jakby nawiązać z kolonistami stosunki. Ułatwili sprawę kupcy, których spotkał wracających z towarami. Opowiadali oni o walce ze zbójami i roli, jaką w niej odegrali koloniści. Dowiedziawszy się o tem i dokładnie wypytawszy o drogę, miał zamiar wyruszyć zrazu sam wózkami lub sankami. Rozwaga jednak nakazała mu odłożyć wykonanie tego zamiaru na kilka miesięcy, zwłaszcza, gdy znalazł się ochotnik, znający puszcę, jak własną kieszeń, chłop silny, kłusownik zawołany, który obiecał najpierw pieszo wypróbować drogę, listy i przesyłkę odnieść, najpilniejsze potrzeby wybadać, a po swym szczęśliwym powrocie na pewniaka już jezdnej wyprawie przewodniczyć. Niech tedy wraz z opłatkami, które posyła, przyjmą uściski, pozdrowienia i życzenia świąteczne; prócz paru setek zrazów do szczepienia, listów i pism do doktora, przysyłanych z zagranicy, nie przesyła im nic więcej, aby posłańca nie obciążać. Za to w maju, gdy osobiście na parę tygodni przyjedzie, przywiezie, czego najpilniej potrzebują.

Ów pierwszy w puszczy poseł z siedzib ludzkich był niebyłejakim świątecznym podarunkiem pocziwego Jana. Zrazy grusz, jabłoni, śliw i innych drzew szlachetnych spełniały najgorętsze życzenia doktora, pragnącego na wiosnę jak najwięcej szczepić. Również listy i naukowe pisma ogromnie go ucieszyły, gdyż zawierały chlubne oceny dawnych jego prac przyrodniczych i wyróżnienia zagranicznych naukowych instytucyj. Radość była powszechna.

Dzień wilji Bożego Narodzenia nadszedł, a Hania zapowiedziała zgóry, że aż do pierwszej wieczornej gwiazdy wszyscy tego dnia muszą suszyć i być jej pomocni.

— Jest coś szlachetnego — mówiła — w zachowywaniu tradycji, żaden naród lekceważyć jej bezkarnie nie śmie. Niektórzy śmieją się z postów. A jednak, pominąwszy korzyść higieniczną, szczerzy post jest gimnastyką woli, jest triumfem ducha nad cielesnym popędem, jest tradycją przodków, przekazaną potomkom.

Od samego rana dnia tego osada była w ruchu. W okolicy jej rozsypano dla zwierząt podwójną porcję pożywienia, na stolniach zaś palisad podwójną porcję ziarna dla ptaków. Całe mieszkanie odczyszczono i umajono zielenią. Zygmus zajął się choinką, którą ozdobił stoczkami, zawiesiwszy na gałęziach orzechy, migdały i pierniki. Wielki stół w jadalni pokryto cienką warstwą siana i białym obrusem; w jednym jej kącie postawiono snop żyta z pełnemi ziarna kłosami.

Gdy wieczorem na niebie zabłysła pierwsza gwiazda, zebrali się wszyscy w jadalni i w uroczystym nastroju dzielili się opłatkiem, składając sobie życzenia. Nie było przytem ani zbytków, ani nieprzystojnych żartów. Powaga Hani, Jerzego i doktora tak była wielka, że pohamował się nawet Franek, nawet herszt zbójów w milczącej zadumie i bez żadnych uwag uczestniczył w tradycyjnym obrzędzie.

Dopiero podczas uczty gorący krupnik rozwiązał języki. Wszczęły się rozmowy, wspomnienia, anegdoty. Gdy zaś wstano od stołu i zapalono świeczki na drzewku, śpiewano kolendy.

Wreszcie Jerzy po naradzie z ojcem i żoną w te odezwał się słowa:

— Sprawiedliwość każe mi wynagrodzić dziś tego, który w ostatnim czasie w największym był niebezpieczeństwie, a zniósł wszystko cierpliwie, postąpił także roztropnie i odważnie. Mówię o Zygmysiu, którego dotychczas uważaliśmy za chłopca, a który okazał się młodzieńcem. Myślę, że zgodzimy się wszyscy na to, by odtąd był nam równy pod każdym względem, w dowód czego wręczam mu tę strzelbę, narzędzie obronnej walki i znak samodzielności, żywiąc przekonanie, że władać niem będzie godnie, honorowo i rozsądnie.

Zygmus, po białka ocz zaczerwieniony, odebrał broń z rąk ojca i ścisnął się pokolei ze wszystkimi. Poczem Jerzy mówił dalej:

— Nie jest to żaden dar łaski, lecz własna twoja zdobycz. Jako ojciec, pragnąłbym ofiarować ci coś takiego, czego sam najwięcej byś sobie życzył. Zawsze byłeś szczery, bądź nim i teraz.

Na to odpowiedział Zygmunt:

— To, czegobym sobie teraz życzył z całej duszy, trudne jest narazie do spełnienia, ale gotów byłbym poczekać, byle spełniło się możliwie rychło.

— Mów tedy śmiało.

— Pragnę wszystkich was, kochani moi, porzucić, a nie tylko was, lecz i tę piękną puszcę leśną.

— Wytlómacz się, mój drogi, nikt cię nie rozumie.

— Życzenie to jest ofiarą, ciężką dla moich uczuć, ale konieczną; do tego przekonania doszedłem po długim wahaniu się i zastanawianiu. Nie przeczę temu, co mi ojciec, mama i dziadunio mówili, że dużo skorzystałem z dotychczasowego pobytu w puszczy. Nie miejcie mi za złe jednak, że z pożytku tego nie zupełnie jestem zadowolony, a sama myśl o dłuższym tu pozostaniu dręczy mnie, powodując ciężkie wyrzuty sumienia. Prawda, że kilka lat już uczyłem się w szkołach, że poznałem nieco dziejów, geografii i łaciny, że i tu nie byłem bez nauki. Czemże jest jednak ów zasób nabytej wiedzy wobec jej ogromu i różnorodności? Cóż stanie się ze mnie, jeżeli nie zdobędę praw korzys-

stania z fachowej wiedzy w wyższych uczelniach? Jeżeli prawdą jest, co mi tyle mówiliście razy, i czego sam się domyślałem, że duch ludzki w stopniowym swym rozwoju tak wysoko wzniosł się nad pierwotny poziom ducha tej puszczy w religii, sztuce, literaturze, w różnych gałęziach wiedzy, w społecznym prawodawstwie i w ekonomicznym wszelkim postępie: to czemuż mam młode lata więzić tylko w pierwocinach zdala od olbrzymiego wiru wszelkiej cywilizacji? Wiem że i tu można pożytecznie dla ojczyzny i dla ludzi pracować. Pozwólcie mi jednak rozwinąć i wypróbować siły do tej pracy w głównym jej ognisku: między ludźmi, do-



póki jestem młody; a gdy moje skrzydła zapału i woli zwątleją: wróce skromnie i z rezygnacją choćby do garncarskiego krążka.

— Spełni się twoje życzenie — odpowiedział z rozwagą i namysłem Jerzy. — Nie zamierzaliśmy zatrzymywać cię długo w puszczy. Będzie nam przykro bez ciebie, lecz taki jest porządek rzeczy, że rodzice dla dobra dzieci muszą niejedną przyjmować przykrość. Mamy już pewien zasób futer, upolujemy więcej na twoje kształcenie w szkołach, a tymczasem nadejdzie cieplejsza pora i będziesz mógł odjechać.

Z wdzięcznością i rozrzewnieniem ścisnął Zygmund ojca, matkę i dziadka.

A herszt zbójów, który w milczeniu słuchał rozmowy, zbliżył się do Jerzego, odprowadził go w kąt izby i mówił:

— Pogratulować ci syna. Wszystko, co mówił, słuszne i nad wiek jego rozsądne. Mam znaczny skarb, ukryty w jaskini, a mnie niepotrzebny. Przyjmij na jego kształcenie, jako zwrot za moje tu leczenie.

Zachnął się Jerzy:

— Postąpiłeś porywczo w szlachetnym może, ale nierozważnym poście. Chcesz mi płacić za gościnę? Pomyśl tylko! Gdybym przyjął, sam w duchu miałbyś mnie za szubrawca.

— Więc Zygmund przyjmie.

— I on nie przyjmie.

— Tak? Chyba przeceniacie wartość złota, które mam narówni z piaskiem?

— Mylisz się. Nie taki powód.

— Nie taki powód? Jakiż tedy? Ach, wiem już! Kramarski wzgląd na t. zw. obrazę publicznej moralności. Zawsze i wszędzie to wpychanie w beznadziejny dół potępienia. Tak, wolno wam mnie obrażać. Ale i mnie wolno natychmiast się wynieść.

— Ty nas więcej obrażasz.

Ale doktor, zauważywszy jakąś zwadę, podszedł, a dowiedziawszy się, o co chodzi, jął uśmierzać gniew zbója.

— Wiem — mówił — co cię gniewa. Nie lękaj się prawdy. Chcesz zlikwidować skarb, który parzy ci ręce. Rozważ, czy wolno nam przyjąć go, czy w naszym będąc położeniu sambyś przyjął. Ale zamiar twój szlachetny jest i godziwy, wykonania jeno sposób mylny. Skarb twój winien pójść na jakikolwiek użytek dobroczynny. Słyszałem, że w Warszawie zbierają fundusz na szpital i przytułek dla porzuconych bez opieki dzieci. Błogosławić cię będą sieroty, gdy skarb na ten cel ofiarujesz.

— Żadnego nie pragnę błogosławieństwa!

— Tedy bez błogosławieństwa daj, a w sumieniu własnym skarb posiadasz, który błogim spokojem cię obdarzy, uciszając wszelkie udręki.

— Udręka miła mi, a spokój obmierzły. Ale dobrze! Rób, jak chcesz i po swojemu, byleś zrobił i byłem nie potrzebował o tem myśleć.

— Zrobię, z radością zrobię, a Zygmund nam pomoże. Przyjmujemy to zadanie, jeżeli już koniecznie tak życzysz sobie, jako zapłatę za pomoc

tobie udzieloną, abyś dogodzić mógł własnej dumie, przez co czyn twój nie przestanie być pięknym.

— Noc teraz, jutro zaprowadzę was i zdam wszystko.

— W gorącej kąpanys wodzie. Jutro święto.

— Cóż przeszkadza święto? Droga daleka, mnie pilno, więc jutro! Przewozić tu nie trzeba, ukrycie bezpieczne. Poznacie kryjówkę, a na odjeźdźnym Zygmus zabierze.

— Ty zaś jakie względem siebie masz zamiary?

— Zamiary moje należą do mnie, a czynu nie przyspieszą słowa.

— Dumnyś i prędki.

— Wiem. Tego nie zmieni już nikt i nic.

Nazajutrz dobrze uzbrojeni i w żywność na kilka dni należycie zaopatrzeni, ruszyli Jerzy, Franek i Zygmus z psami pod przewodnictwem herszta, okrążając szybkim marszem brzegi jeziora i kierując się ku północy. Poważne niebezpieczeństwo mogło im grozić tylko od stada wilków; obliczali jednak, że w najgorszym razie zawczasu czujnością psów ostrzeżeni schronić się będą mogli przed wilkami na drzewa, a ponieważ każdy miał w zapasie dużo kul i prochu, więc strzelając celnie, zwalczą nawet większe stado.

Nie był to łatwy spacer, ale przeprawa bardzo mozolna. Lubo śniegu niewiele było i pogoda sprzyjała, brnąć jednak musieli z wysiłkiem po leśnych bezdrożach, zapadając gdzieniegdzie w doły śniegiem nawiane, potykając się o kłody i korzenie, zawadzając o krzaki. Szli jednak wytrwale, zwyciężając trudności, tem łatwiej znosząc mróz i trudy, że mieli odzież najpraktyczniejszą, która zabezpieczając przed zimnem, niezbyt zawadzała i obciążała: ciepłe futrzane kurty i spodnie łosiowe, od chodaków do kolan szczelnie owinięte szerokimi skórniami.

Noce spędzali w znanych nam z przygód Zygmuta i innych podobnych kryjówek. Wreszcie po kilku dniach dobrnęli do jeziora, zwanego Górną Tonia, którego malowniczy, acz nieco ponury wygląd pochodził od wapiennych pagórków i nagich nadbrzeżnych skałek.

Nie zwlekając, skierował się herszt zbójów w ciasny, gęsto zarośnięty wąwóz i stanął przed otworem ukrytej w gęstwinie groty. Tu skinął na towarzyszących ręką, by zaczekali, sam zaś wydobywszy ze szczeliny pochodnię, zaświecił ją i wszedł do wnętrza. Nie wracał jednak tak długo, że zniecierpliwieni jęli wreszcie rozniecać ognisko, aby ogrzać się, posilić i wypocząć.

Upłynęło parę godzin, zanim wyszedł wreszcie, zgasił pochodnię i legł przy ognisku, mówiąc:

— Jeszcze zaczekamy.

Jakoż po upływie kilku minut głuchy huk rozległ się z wnętrza groty, wstrząsnęły się wapienne posady i dym począł wydobywać się ze wszystkich otworów i szczelin.

Ze zdziwieniem spojrzano na herszta. Spokojny, nieco szyderczy uśmiech towarzyszył jego odpowiedzi na nieme pytania:

— Eksplozja prochu, do której pomogły lonty i parę beczek rozlanego spirytusu. Gdy zgorzeje, co trzeba, a dym się rozejdzie, wejdziemy.

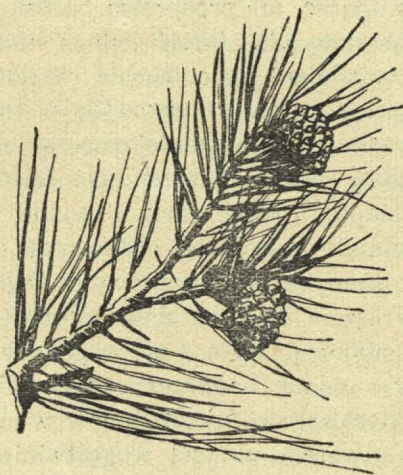
Lecz z powodu dymu, który bardzo powoli opróżniał grootę, musieli już przenocować u jej wejścia.

Dopiero na drugi dzień rano dostali się do środka. Tu nie zatrzymując się w głównem wnętrzu, zawałonem okopconemi kamieniami, zaprowadził herszt bocznym chodnikiem do ciasnej kryjówki, gdzie wskazując na dwie spore beczułki, powiedział:

— Uczynicie z tem wedle woli.

Poczem bezzwłocznie rozpoczęli powrotną drogę i szczęśliwie bez żadnych przygód wrócili do własnej osady.

Ale na drugi dzień herszta zbójów już nie było w ich siedzibie. Bez pożegnania odszedł nocną porą nie wiadomo dokąd.





XX.

ZAKOŃCZENIE.

Zapewne zapytacie, młodzi czytelnicy, jakie były dalsze losy naszej leśnej osady: czy udały się polowania na niedźwiedzia, czy dużo cennych skór na kształcenie Zygmunia upolowano, czy staczano jeszcze jakie walki z wilkami, kiedy i jak spełnił się zapowiadany przyjazd brata doktora, Jana, i odjazd Zygmunia.

Wszystkiego tego sami musicie się domyśleć, a w domysłach radzę zachować jak najwięcej optymizmu, gdyż koloniści nasi, jak mogliście zauważyć, nie tylko pracowici byli, lecz także przezorni, praktyczni i skromni, nie zrażając się drobnymi trudnościami, wytrwale działać umieli i dążyć do pożytecznych celów. Z tych powodów mieli we wszystkim stałe powodzenie.

Brat doktora, Jan, przyjechawszy do nich w odwiedzinę na wiosnę, nadziei się nie mógł, jak wiele w tak krótkim stosunkowo czasie dokonali, a odjeżdżając razem z Zygmuntem, prócz skarbu herszta zbójów zabierał ogromną furę, pełną najcenniejszych, znakomicie wyprawionych i zakonserwowanych futer.

Zygmunt w dzień przed swym odjazdem długą miał rozmowę z rodzicami. Nie należy dziwić się, że ci, choć znali piękne zalety umysłu i serca swego syna, choć zapewnioną mieli w Warszawie troskliwą nad nim opiekę, — jednak z wielkim niepokojem na świat go wysyłali, dobrze wiedząc, jakie w tym świecie na każdym kroku niebezpieczeństwa grożą ludziom młodym, przeto niedoświadczonym.

— Niech cię, mój drogi synu, Najświętsza Matka, której wizerunek na piersi nosisz, ustrzeże od złego! — mówiła ze łzami matka.

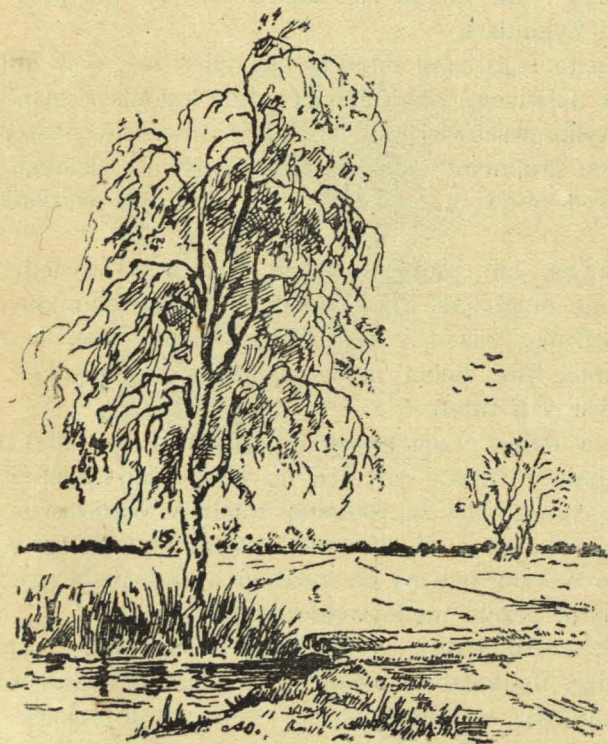
— Popadniesz, — mówił ojciec, — w wir interesów ludzkich i namiętności, w wir różnych wpływów, zarówno godziwych, jak przewrotnych i niecnym. Będziesz ciągle musiał sam własną wolą wybierać, z własnym borykać się rozumem, z własnym sumieniem. Łatwiej zablądzić w świecie

pełnym mamidół, niż w pierwotnej puszczy, która jest brutalna, lecz szczerza. Wiem, że przestrogi, rady, morały rodziców mało ważą, zwłaszcza tam, gdzie sama natura jest zawodna, nie znajdując w sobie samej oporu, hartu, pomocy, rady. Gimnastykuj wolę, ćwicz powściągliwość i władzę nad popędami! Oto pospolita rada, którą od początku świata z różnym niestety skutkiem starzy rodzice dają na drogę życia młodym swoim synom. Innej i ja dać ci nie umiem. Com mógł, tom już dał. Masz w sobie ducha prawości i zapału, masz dar osobistej godności. Nie przepadniesz! Obyś tylko zdołał uniknąć wielu złudzeń i doświadczeń, których zwykliśmy żałować poniewczasie!

Ścisnął Zygmunt matkę i ojca z rozrzewnieniem, powtarzając:

— Przyjadę tu za rok, mateczko, przyjadę, ojcze, przyjadę dziaduniu. Żadnych nie składałem przyrzeczeń. Co będę mógł uczynię; może, przyjechawszy tu, już zdołam złożyć wam jakie dowody mocnych moich postanowień.

KONIEC



SPIS ROZDZIAŁÓW

	str.
I. Oczekiwanie	5
II. Wywiady i wyjazd	9
III. Słowiki, potopy roślin, jarząbki, dysputa o drzewach	13
IV. Dalsza podróż, burza, nocne życie puszczy, cietrzewie, puhaćz i ptaki, sokół i łasica, słodka przygoda Franka	20
V. Łoś, modlitwa nad Tonią, wywiady i plany	28
VI. Karczunek, o poziomce, rybak i ryba, życie owadów w jeziorze, pierwszy siew, obfity plon łowów	33
VII. O czuciu roślin, sanitarjusze przyrody, bunt mrówek	45
VIII. Nawał prac gospodarskich	50
IX. O pleśni, mechach, grzybach, wątrobowcach, widłakach, skrzypach, paprociach, liściach i kwiatach, ukąszenie żmiji	55
X. Pierwszy sen Zygmunia	61
XI. Przebudzenie, garncarstwo, sad warzywny, łowy na jelenie, na grzybach	75
XII. Czaple, zwierzyńiec, uwagi doktora o stosunku ludzi do zwierząt, jesień, nocna wycieczka, widok nieba	87
XIII. Zbiory jesienne; tok, stępa i żarna; len i przedziwo, orzechy, palisady, mydło i świece, wyroje ptaków, rozmowa o naturze, jesień i tęsknota	99
XIV. Jesienna słota, wieczory przy ognisku, rozmowa o czystości, ziemniaki	106
XV. Kolonja bobrów, walka ze zbójami, gdzie Zygmunt	110
XVI. Karmienie ptaków, dyskusja	116
XVII. Zygmunt i zbój, drugie nawiedzenie ducha puszczy	122
XVIII. Ocalenie, mieszkanie w norze, pogrom wilków	137
XIX. Powrót, kisiel, posłaniec, Boże Narodzenie, prośba Zygmunia, ofiara herszta zbójców.	148
XX. Zakończenie	155

BŁĘDY DOSTRZEŻONE PO WYDRUKOWANIU

Strona	10	wiersz	11	zamiast :	Nic, że	ma być :	Nic-że
"	18	"	23	"	skąłę	"	skąłą
"	69	"	13	"	zostawny	"	zostawmy
"	91	"	14	"	na wznak	"	nawznak
"	96	"	40	"	38.400	"	380.400

